

ADAM

DZIERZEK



# SPÓŹNIONE POZEGNANIE

Duszny klimat głębokiej prowincji, zmowa milczenia,  
bezwzględne posłuszeństwo i walka o przetrwanie



ADAM DZIERŻEK

**SPÓŹNIONE  
POŻEGNANIE**



ADAM DZIERŻEK

SPÓŹNIONE  
POŻEGNANIE

*Dla Katii*



KRAKÓW 2023

Copyright © 2023 ADAM DZIERŻEK  
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2023 WYDAWNICTWO INITIUM  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW

Korekta: KATARZYNA KUSOJC

Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Konsultacje: IZABELA NESTIORUK-NAROJEK

Fotografia wykorzystana na okładce:

JAROSŁAW BLAMINSKY / ARCANGEL

WYDANIE I

ISBN 978-83-67545-38-9



Wydawnictwo INITIUM  
[www.initium.pl](http://www.initium.pl)  
e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)  
[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)

# SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Trudno opisać, jaki dźwięk wydaje uderzające o beton ciało. Głośny chlupot, jakby jakiś żartowniś spuścił z góry olbrzymi balon z wodą. Tylko że zamiast wody była krew. Parowała na nagrzanym słońcem betonie i leniwie zawłaszczła całą przestrzeń dookoła. Ściekała do rynsztoku, zakręcając na nierównościach chodnika jak strumień.

Mężczyzna parzący się w zdecydowanie za grubym jak na tę pogodę garniturze przez chwilę stał, jakby wyrzeźbili go w kamieniu. Stał i przyglądał się tej niegdyś pięknej twarzy rozsmarowanej na chodniku pół metra od reszty ciała. Ludzki mózg w takich sytuacjach zwyczajnie się zacina. Żadne z instynktownych zachowań nie pasowałyby do sytuacji, więc najlepiej jest po prostu zamrzeć w bezruchu i czekać, jak jeleń widzący zbliżające się w oddali światła ciężarówki.

Jak się tu znalazł? Co robił jeszcze kilka minut temu? No tak, był w sklepie. To znaczy szedł do biura, ale najpierw postanowił wstąpić do monopolowego. Pamiętał oceniający wzrok kasjerki, gdy tak wcześnie rano zgarniał z półki małe buteleczki whisky... Potem ta starucha, próbująca wcisnąć się w kolejkę. Wymienił z nią kilka nieuprzejmych zdań i wyszedł. Cała ta kłótnia zabrała mu góra pięć sekund. Gdyby nie cuchnąca gorzałą kobieta, wyszedłby pięć sekund wcześniej i w tym momencie byłby już jakieś osiem metrów dalej.

Osiem metrów.

Tyle brakowało, a blondwłosa piękność lecąca ku ziemi z balkonu dwunastopiętrowego bloku wpadłaby mu wprost w ramiona, urywając je pewnie aż przy kręgosłupie.

Chyba powinien tej napranej staruszce podziękować...

Podszedł bliżej, brodząc w ciemnoczerwonej kałuży. Musiał się upewnić. Tylko gdy kawałek czyjegoś mózgu spływa ci po nogawce, to prawda jest taka, że nie potrzebujesz niczego sprawdzać.

Kobieta nie żyła. Jej widok sprawił, że mimowolnie podrapał obszerną bliznę na szyi. Krzywo zrosnięte, poszarpane tkanki swędziały go teraz jak nigdy dotąd.

Nachylił się nad ciałem i ponownie spojrział w roztrzaskaną twarz. Wyraz przerażenia zastygł na niej jak w stop-klatce. Jedno oko wypłynęło i w przerażająco-groteskowy sposób wciąż spoglądało w górę.

W niebo.

Na balkon.

Podniósł głowę. Słońce świeciło mocno mimo wczesnej pory. Na najwyższym piętrze bloku, za barierką, wśród doniczek i kwiatów, stał mężczyzna. Chyba blondyn z włosami do karku i chyba blady jak śmierć, bo jego ledwie widoczna z poziomu chodnika gęba odbijała promienie słoneczne jak lusterko. Z dołu wyglądał jak biały punkt pośród różu i fioletu wszechobecnych roślin. Facet mocno się wychylał, spoglądając na chodnik pod sobą, ale gdy napotkał wzrok nieznanego, wycofał się z powrotem do wnętrza mieszkania.

– Chryste Panie! – Zachrypnięty głos rozszedł się echem po całej ulicy. Rozpuszczone w alkoholu struny głosowe trzeszczały jak stare radio. – Chryste! Chryste Panie! Dzwon! Po karetkę dzwoni!

Wstał i odwrócił się w stronę krzyku. Ta sama starucha, z którą pokłócił się w sklepie. Jego anioł stróż, którego najwyraźniej, tak jak rodziny, się nie wybiera.

– Nie gap się! – Poczul jej kwaśny oddech, gdy zbliżyła się na odległość rażenia śliny. – Dzwon pan po karetkę!

– Nic tu po karetce, kobieto – odparł, sięgając po telefon.

– Znieczulica! Co za ludzka znieczulica!

Wykręcił numer i wezwał służby, obserwując, jak staruszka wymiotuje do studzienki kanalizacyjnej, po czym wykonuje znak krzyża i zataczając się od krawężnika do krawężnika, odchodzi w siną dal. Krzyki o ludzkiej znieczulicy stawały się coraz cichsze, by w końcu zestroić się z odległym warkotem przejeżdżających samochodów. Znowu został z tym sam.

Jeszcze raz zatrzymał wzrok na martwej kobiecie. Na jej wykręconych na drugą stronę długich nogach wciśniętych w kraciastą piżamę, na roztrzepanych, posklejanych od krwi włosach. Trudno było stwierdzić, ale chyba nie miała na sobie makijażu. Wyglądała na kogoś, kto dopiero z trudem podniósł się z łóżka, nie na kogoś, kto szykował się na spotkanie. I to nie było jakie spotkanie, bo z samym Stwórcą.

Nie mogła wiedzieć, kogo przyjdzie jej za chwilę zobaczyć. Tego był pewien.

Bo gdy ludzie wiedzą, chcą wyglądać jak najlepiej.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Przekręcił klucz w zamku i przez chwilę siłował się z zardzewiałą klamką. Poprawił kartkę przyklejoną na taśmę do drzwi. Czarne litery na białym papierze: „M. Mejza – Usługi detektywistyczne”. Oczami wyobraźni widział, jak pewnego dnia przybija tu w jej miejsce piękną złoconą tabliczkę z grawerem, ale na razie musiał wymienić taśmę, bo te krzywo odgryzione listki już się odklejały.

W środku było parno jak w amazońskiej dżungli. Przepchnął się przez stos pudeł i dopadł do okna, otwierając je na oścież. Z nieba sypał się popiół, a upał ani myślał odpuścić choć na chwilę. Wyrzał na pustą ulicę i zapalił papierosa, dokładając do panującej na zewnątrz temperatury swoją cegiełkę.

Okolice o tej porze świeciła pustkami. Wszyscy chowali się w cieniu własnych mieszkań i klimatyzowanych biur, zupełnie jak południowcy w czasie sjeisty.

Jego świeżo zakupiony lokal mieścił się na parterze ciągnącego się przez całą ulicę bloku. Wąskie trzydzieści pięć metrów kwadratowych, ukryte za oklejonymi mleczną matową folią szybami, wciśnięte pomiędzy oddział poczty i sklep zoologiczny. Podbity upałem, specyficzny zapach karmy dla ryb i niemytych klatek dla chomików roznosił się po całej okolicy. Nad biurem agencji wciąż wisiał fragment szyldu, przypominając odwiedzającym, że wcześniej mieścił się tu punkt ksero.

Zaciągnął się leniwie, drapiąc bliznę na szyi i myśląc o kobiecie, która spadła mu z nieba w drodze do pracy. Dwie godziny wyrwane z życia na składanie zeznań. Nikt nie chciał wrócić na posterunek z pustymi rękami, więc ten jeden świadek, którym miał nieszczęście zostać, był na wagę złota. Funkcjonariusze wyrywali go sobie z rąk, sprawiając, że przez chwilę czuł się jak najfajniejsza laska w szkole.

Opowiedział im o blondynie, którego dostrzegł na jedynym z balkonów na najwyższym piętrze. Może to nawet nie był ten, z którego skoczyła. Może facet popalał tam papierosa, tak jak on teraz, nie wiedząc, że właśnie spotkał go zaszczyt awansu na świadka numer dwa? Tylko dlaczego tak szybko schował się w mieszkaniu? Dlaczego zaprzeczył definicji gapia, którego ciekawość nasycy się, dopiero gdy ciało ląduje w czarnej folii?

Nie był to już jego problem. Od tego jest policja, nie on.

Żar, nieuchronnie zbliżający się do filtra, był jak licznik czasu – klepsydra, w której zostały już ostatnie ziarna piasku. Gdy się przesypią, będzie musiał zabrać się do pracy, zmierzyć z górą sprzątanego, pudeł do rozpakowania i rozpocząć nowy rozdział



w swoim życiu. Zgasił pęta o parapet, starając się nie niepokoić przechadzającego się po nim pajaka, zrzucił marynarkę, podwinął rękawy przepoconej koszuli i wziął się do roboty.

Podłączył wiatrak, złożył biurko i ustawił na wprost drzwi, rozpakował nową szafę na dokumenty. Kurz, którego się nawdychał podczas sprzątanía, powinien uprawniać go do wcześniejszej emerytury, jak górników, z racji pracy w warunkach niebezpiecznych dla zdrowia. Rozpakowywanie, ustawianie i sprzątanía zajęły mu większość dnia, ale było warto.

Teraz to nawet jakoś wyglądało.

Na sam koniec podłączył stacjonarny telefon i laptop, po czym rozsiadł się wygodnie w fotelu i podrapał bliznę. Cały czas miał przed oczami ciało tej kobiety. Z tak nienaturalnie wygiętymi kończynami przypominała monstrum wychodzące z telewizora w azjatyckich horrorach. Musiał jakoś się go pozbyć, wyrzucić ten obraz z pamięci za wszelką ceną. A ta wcale nie musiała być wysoka, a skoro i tak już zapłacił ją w kasie monopolowego, to czemu miałby nie skorzystać?

Nastawił wodę. Po kilku minutach para uciekająca z elektrycznego czajnika wypełniała całe pomieszczenie, podnosząc temperaturę w środku o co najmniej kilka stopni. Do wypełnionego brązowym proszkiem kubka jednocześnie lał wrzątek i kupioną wcześniej setkę najtańszej whisky.

Odpalił laptop i popijając tak przyrządzoną kawę, wziął się do przeglądu dzisiejszych wiadomości. Leciał głównie po nagłówkach, chyba jak każdy w tych przepelnionych informacjami czasach, ale już same nagłówki wystarczyły, by przekonać go, że jego poranek wcale nie był taki zły.

Świat przedstawiany przez brukowce jawił się jak wielka maszynka do mielenia mięsa. Kolejne newsy malowały czytelnikom tylko jedną wersję przyszłości, budując przeświadczenie, że kogo nie wykończyły wojny i epidemie, ten z pewnością wykończy się sam.

Pierwszy lepszy artykuł: Facet rzucił swoim szwagrem o kredens podczas kłótni... Potem go jeszcze przydusił, bojąc się, że ten mu odda, jak wstanie. Zwłoki zawiązał w dywan i schował w rozkładanej kanapie, na której spał przez kolejne dwa tygodnie, dopóki żona mężczyzny nie zgłosiła zaginięcia. Po prostu pięknie.

Mało?

To może kolejny? Tym razem o matce pozwalającej używać sobie sąsiadowi na swoim pięcioletnim synku w zamian za pieniądze na alkohol, który pozwoli jej nie rozmyślać za mocno nad tym, co robi.

Co by tu dalej...

Kilka przewinięć myszą i znalazł coś o nastolatce zgwałconej w lesie. Koleś, którego poznała w klubie, obiecał ją odwiedzić prosto do domu, więc koleżanki pozwoliły jej wsiąść do auta kompletnie pijanej. Nie chciały przerywać przez nią zabawy...

Rozumiał cel tych artykułów. Wiedział, dlaczego tak dobrze się klikały. Znał kryjące się za nimi drugie dno, głębszy przekaz:

„Jakkolwiek źle by ci się nie wiodło, to patrz, ci ludzie mają jeszcze gorzej. Może jednak twoje życie nie jest takie złe? Przeczytaj jeszcze jeden i pocuj się lepiej... No, dalej. Przy okazji spójrz na wyskakującą w rogu reklamę...”.

Tak... Może to jeszcze nie koniec, ale stąd na pewno już go widać.

Czy można winić tych, którzy postanawiają zakończyć grę przed czasem? Po prostu się z tego przedsięwzięcia wypisać?

Być może zwyczajnie skacząc z dwunastego piętra?

Drapiąc bliznę na szyi, wertował kolejne portale. Szukał czegokolwiek, co przyciągnie jego uwagę na dłużej. W końcu znalazł. Zdjęcie artykułu idealnie wpasowało się w obraz wypalony w mózgu. Zdjęcie balkonu. Pełnego kwiatów... Róż i fiolet.

„Samobójstwo dwudziestopięciolatki. Skok z dwunastego piętra”.

Czyli jednak...

Wypisała się.

Chwycił za telefon i wykręcił numer, który znał na pamięć.

– Starszy aspirant Piotr Głowacki, słucham... – odezwał się znudzony głos w słuchawce.

– Zapisz sobie ten numer, mogę często dzwonić.

– Maks? M&M's?

– Kto inny dzwoniłby do ciebie z własnej woli?

– Ten zachrypnięty głos poznam wszędzie... Zmieniłeś numer? Skąd dzwonisz?

– Ze swojego świeżo urządzonego biura.

– Zamiast zapisywać numer, od razu go sobie zablokuję.

– Zabawne.

– Więc nowe biuro? Pogratulować... I już potrzebujesz pomocy ze sprawą? Klienci walą do drzwi?

– Jeszcze na dobre nie otworzyłem, więc nie. Muszę wystawić jakiś baner przed wejściem. Na razie wygląda to dalej jak punkt ksero.

– To po co dzwonisz?

– Kobieta, która rano postanowiła sobie trochę polatać.

– Co z nią?

– Co się tam wydarzyło?

- Czyli w raporcie to nie była zbieżność nazwisk? Naprawdę to ty ją tam znalazłeś?
- Nie znalazłem. Dosłownie spadła mi z nieba. Niewiele brakowało, a rzekę Styks przepłynęlibyśmy w jednej łodzi. To co się stało? Wiesz już?
- A co się miało stać? Wzięła i skoczyła.
- Tak po prostu?
- Wypaść nie mogła. Bariierka była za wysoka, musiałyby się naprawdę postarać, żeby...
- A ten facet? To był mąż czy...
- Facet?
- Opisałem go. Na tyle, na ile było widać z dołu... Blondyn, włosy do karku, blada gęba i...
- A, tak... Nie było żadnego faceta. Męża faktycznie ma, ale jest w delegacji. Siedzi na drugim końcu kraju, ma alibi.
- Ale ten balkon ze zdjęcia w artykule... To ten sam, na którym go widziałem. Jesteście pewni, że...
- Była w mieszkaniu sama. Drzwi były zamknięte na klucz. Maks, mój drogi... Daj sobie siana. Już nie jesteś gliną, zmieniłeś branżę, może skup się na swojej robocie, zamiast wpieprzać się w moją?
- Czyli nie było faceta?
- Nie było. Przywidziało ci się, dostałeś udaru od tego słońca albo źle policzyłeś piętra. Opuść. Zwykła przykra sprawa i tyle. Samobójstwo... To się zdarza u kobiet w tym stanie. Depresja i w ogóle.
- W tym stanie?
- Była w ciąży. Siódmy miesiąc. Nie zauważyłeś?
- Na chodniku ciężko było dostrzec.
- Brzuch matki potrafi czasem działać jak poduszka powietrzna, no, ale nie tym razem. Nie z dwunastego piętra... Szkoda dzieciaka tylko. Co on zawinił?
- Mejza zamilkł na moment. Opuścił rękę, przycisnął słuchawkę do piersi i odpłynął myślami. Rozmówca mówił dalej, ale dźwięk był przytłumiony, jakby ktoś go przyduszał. Blizna na szyi swędziała go teraz tak mocno, że miał ochotę wyrwać sobie z niej kawał mięsa, żeby tylko przestała.
- Dzięki za wyjaśnienia - odezwał się ponownie po chwili, znowu dociskając telefon do ucha.
- Maks, wszystko w porządku? Jak potrzebujesz z kimś pogadać, żeby się po tym otrząsnąć, to myślę, że mógłbym ci załatwić wizytę u naszego psychologa, tylko...
- Nie, nie trzeba. Wszystko gra.
- Na pewno?

– Tak. Dzięki. Zdzwonimy się jeszcze.

– Jasne...

Rozłączył się i przez moment siedział w ciszy w pustym biurze. Nie miał co liczyć na klientów. Nie tak szybko. Reklama, którą wykupił w internecie, dopiero zaczynała hulać. Nie było sensu dalej tu tkwić, a skoro teraz sam był sobie szefem, to mógł przedwcześnie zwolnić się do domu.

Tylko jedno nie dawało mu spokoju.

Był pewien, że widział faceta...

## ROZDZIAŁ TRZECI

Światło na klatce znów nie działało, podobnie jak wiecznie zacinająca się winda. Targał w dłoniach torby z zakupami, które zrobił tuż po wyjściu z biura, a z którymi po drodze zawędrował jeszcze do baru. Mozolnie brnął w górę schodów, starając się nie zabić w tym mroku. Omal nie dostał zawału, gdy nagle, na jego piętrze, ciemność dała głos.

– Dzień dobry – odezwał się chórek dziecięcych głosów.

Wyteżył wzrok. Była ich piątka. Dzieci sąsiadów. Siedziały wzdłuż zimnych i brudnych schodów, niemal całkowicie blokując przejście.

– To nie dzień – odparł Mejza. – Zaraz dziewiąta. Czemu siedzicie tu w nocy, po ciemku?

Dzieci milczały. Czterech chłopców w wieku od ośmiu do dwunastu lat i jedna dziewczynka, najmłodsza, może sześćioletnia. Wprowadzili się naprzeciwko niecały rok temu, Maks cały czas zastanawiał się, jakim cudem radzą sobie w dwóch pokojach w tak liczny składzie. Zauważył, że dzieciaki większość dnia spędzają na podwórku albo na klatce, w domu głównie spały.

– Bo światło nie działa – odezwał się po chwili najstarszy.

– Nie o to mi chodziło. Czemu nie wejdziecie do domu?

Po klatce rozszedł się przytłumiony dźwięk tłuczonego szkła dobiegający z mieszkania naprzeciwko. Po chwili wybrzmiała wiązanka przekleństw. Zarówno męski, jak i kobiecy głos. W środku musiała trwać właśnie kłótnia. Dzieci spojrzały niechętnie w stronę drzwi. Najmłodsza dygotała.

– Dacie przejść? – zapytał. Ciężkie reklamówki wpijały mu się w dłonie coraz mocniej. Cokolwiek się tam działo, nie chciał się w to mieszać. Awantury nie były w okolicy niczym nadzwyczajnym.

– Julka, weź się przesun. – Jeden z chłopców pchnął najmłodszą w bark. – Pan nie ma jak przejść.

Dziewczynka bez słowa wczołgała się na górę, zostawiając pomiędzy braćmi niewielką wyrwę, przez którą Mejza z trudem się przecisnął. Torby z zakupami obły się lekko o siedzących chłopców.

– Będzie pan to jadł? – zapytał najniższy zachrypniętym głosem. – Te chipsy – spreycyzował, wskazując palcem na reklamówkę.

– Po to je kupiłem – odparł, próbując wyłowić klucz z kieszeni spodni.

Chłopiec zamilkł, na powrót wbił spojrzenie w czubki swoich porwanych kapci. Palcem kręcił kółka w mieszance piasku i kurzu, którą pokryte były schody. Wzrok Maksa powoli przyzwyczajał się do ciemności. Sylwetki dzieci stawały się coraz bardziej wyraźne.

Spojrzał na dziewczynkę. Była bardzo chuda, drobna. Trzymała dłonie wciśnięte głęboko pod pachy, jakby próbowała się rozgrzać. W skupieniu wpatrywała się w drzwi swojego mieszkania, nasłuchując jakichkolwiek wskazówek odnośnie do tego, co dzieje się w środku. Odgłosy kłótni chwilowo umilkły.

Sięgnął do reklamówki i wyjął paczkę chipsów, po czym bez słowa podał ją dziewczynce. Mała patrzyła się w niego swoimi wielkimi oczami, podnosząc głowę tak wysoko, że omal nie skręciła karku. Nie zareagowała.

– To chcesz czy nie? – Zaszleścił paczką.

– Julka, weź to! Nienormalna jesteś?! – zawołał jeden z chłopców.

Dziewczynka przyjęła podarunek, wyciągając po niego swoją kościstą dłoń. W tym momencie w drzwiach mieszkania naprzeciwko szczerknął zamek. Po chwili ciemną klatkę zalała powódź wydobywającego się ze środka światła.

– Do domu! – krzyknęła kobieta w zaawansowanej ciąży, otwierając szerzej drzwi. Stała odziana jedynie w szlafrok. Potargane cienkie włosy opadały jej na oczy, które musiała odgarnąć, żeby móc się lepiej przyjrzeć scenie na klatce. Za jej plecami, w głębi mieszkania, dało się zobaczyć wyglądającego z zaciekawieniem mężczyznę. Kobieta utkwiała wzrok w Maksie. – Do domu powiedziałam!

Chłopcy podnieśli się gwałtownie, jak rażeni piorunem, po czym przepychając się jeden przez drugiego, wgramolili się do środka mieszkania. Dziewczynka wciąż stała na klatce, ściskając w dłoniach paczkę chipsów. Światło wydobyło z mroku liczne zadrapania, jakimi pokryte były jej ramiona. Miała długie, poskręcane od brudu włosy i umorusaną ziemią twarz, jakby cały dzień spędziła, bawiąc się na dworze.

Kobieta chwyciła ją za nadgarstek i pociągnęła do środka. Zrobiła to tak agresywnie, że omal nie wyrwała jej barku ze stawu. Po chwili zauważyła, że dziewczynka trzyma coś w dłoni.

– Skąd to wzięłaś?! Wyrzuć to, kurwa! – Paczka upadła na ziemię, a twarz kobiety zwróciła się w stronę Mejzy. – Nigdy nie bierz nic od obcych! – Szarpnęła dziewczynką. – Rozumiesz?! Nigdy nie wiesz, co za pojeb mieszka na drugim końcu korytarza! Nic nie przyjmuj!

Drzwi zamknęły się z hukiem. Reszta krzyków była już zbyt przytłumiona, żeby móc cokolwiek z nich zrozumieć.

Mejza podniósł z ziemi paczkę, wpatrując się przez chwilę w zatrzaśnięte mu przed nosem drzwi, po czym odwrócił się i wszedł do swojego mieszkania.

Powietrze w środku było lepkie. Zapalił niewielką lampkę, wynurzając z ciemności swoje dwadzieścia metrów powierzchni mieszkalnej. Pojedyncze łóżko ustawione naprzeciwko telewizora po jednej stronie. Piekarnik, kuchenny blat i zlew po drugiej. Środek mieszkania pusty.

Jedyne miejsce, które mógł nazwać domem. Tutaj mieszkał i to tutaj znajdowało się wszystko, co miało dla niego jeszcze jakąkolwiek wartość i w jakimś stopniu zastępowało rodzinę. Budowana latami strefa komfortu, której na złość wszelkim coachom i całej zgrai głośzących motywacyjne hasła miernotom nie chciał opuszczać. Nie po to ją budował, żeby teraz chcieć porzucić.

Wyjeżdżając rano do biura, zapomniał o zasunięciu zasłon, kawalerka przez cały dzień ochoczo wpuszczała więc do środka promienie słońca, niemiłosiernie się przez to nagrzewając.

Pstryknął przełącznikiem obok włącznika światła, uruchamiając wiszący pod sufitem wiatrak i klnąc w duchu na rachunki za prąd, jakie przyjdzie mu przez to zaniedbanie zapłacić. Ostrza wiatraka załopotwały, niespiesznie się rozkręcając, jakby same nie miały ochoty pracować w tym upale.

Zakupy odłożył na kuchenny blat. Znajdujące się w środku butelki zaklekotały, objając się jedna o drugą. Tuż obok spoczywały piętrzące się pudełka po pizzy. Tłuszcz, jaki się z nich sączył, zaczynał powoli przebijać się do drewnianego mebla, sprawiając, że ten puchnął jak gąbka.

Zrzucił z siebie koszulę, odsłaniając zaniedbane i zwiotczone ciało. Chude i zatłuszczone jednocześnie. Brzydki urzędniczy krawat poszybował w górę, ale, zamiast trafić na krzesło, jak koszula, zatrzymał się na jednym z ostrzy wiatraka. Mejsza przyglądał się przez chwilę wirującemu pod sufitem kawałkowi paskudnego materiału, po czym zajrzał do lodówki, wyjął kawałek zimnej pizzy i zanurzył w nim zęby. Zaraz potem dopadł do siatki z zakupami i odkapsłował pierwsze piwo, uderzając nim o kuchenny blat.

Usłyszał głośny trzask dochodzący zza drzwi. Coś jakby dźwięk łamanych mebli. Wziął pierwszy łyk. Już nawet butelka zdawała się intensywnie pocić, krople ściekały po szyjce jedna za drugą, po chwili dłoń miał tak wilgotną i śliską, że z trudem ją utrzymywał. Wziął kolejny łyk, zagryzł pizzą i zapalił papierosa.

Za drzwiami coś huknęło. Jego myśli powędrowały do dziewczynki z klatki. Przed oczami miał już tylko jej twarz. Pomyślał, że tyle lat mogłaby mieć teraz jego...

Nagle poczuł ostry ból głowy. Zgiął się wpół. Wszelkie źródła światła w pokoju raziły go, wpijając się w nerwy i tylko potęgując cierpienie. Szumiało mu w uszach, jakby przyłożył do nich wielkie muszle. Zaczynał się atak. Wiedział, że w końcu minie. Zawsze mijał. Wystarczy tylko go przeczekać.

Gdyby spróbować do czegoś porównać ten ból, byłoby to coś na wzór położenia głowy pod koło ruszającej z wolna ciężarówki. A może ostrza wbijającego się pomiędzy mózgową fałdę, tnącego każdą, nawet najmniejszą myśl? Ból niemożliwy do wytrzymania. Zachęcający do pójścia na skróty.

Spojrzał w stronę balkonu. Falująca od wiatru zasłona zdawała się go wołać. Zapraszać. Podeszedł bliżej i stanął przy barierce, obserwując przejeżdżające w dole samochody. Mieszkał o jedno piętro wyżej niż tamta kobieta. Nawet nie słyszał panującego na ulicy gwaru. Ból znowu wstrząsnął całym ciałem, tak że papieros wypadł mu z ust i poszybował w dół, prosto na chodnik.

Wypisała się...

Po chwili pomachał głową, jakby próbował się ocknąć, i wrócił do środka. W pierwszej kolejności wparował do łazienki i włądził głowę pod strumień zimnej wody z kranu, ale i to nie pomogło. Spojrzał w lustro. W swoje przekrwione oczy i niedokładnie ogoloną twarz, pełną zmarszczek wyglądających jak znaczki lat wyryte na ścianie więziennej celi. Jeśli dobrze liczył, powinno już być ich już czterdzieści osiem. Czarno-siwe włosy ociekały wodą.

Wrócił do pokoju, zapalił kolejnego fajka, rozmasował powieki i spojrzał w stronę nocnej szafki, przez chwilę odlatując gdzieś myślami. Papieros kurczył się w ekspresowym tempie, by w końcu rozgnieść się o spodek od filiżanki robiący za popielniczkę. W końcu mężczyzna podeszedł bliżej i wysunął jedną z szuflad. Przedzierał się przez stosy skotłowanych majtek i skarpet, by w końcu odsłonić schowane na dnie pudełeczko. Wyjął je bardzo ostrożnie, jakby trzymał w dłoniach pisklę, i położył przed sobą. Upił trochę piwa, cały czas błądząc gdzieś myślami. Otworzył pudełko.

Wnętrze skrywało pocisk. Rozpłaszczony fragment ołowianej kuli kaliber dziewięć milimetrów, spoczywający na wyłożonym niebieską aksamitną wyściółką wnętrzu pudełeczka. Zapakowany jak jakiś drogi pierścionek na prezent dla ukochanej. Nie wyjął go, jedynie mu się przyglądał, zupełnie tak, jakby wpatrywał się w telewizor. Jakby kula opowiadała mu jakąś historię.

Ból głowy stawał się coraz cięższy do zniesienia. Nadchodziła kolejna faza. Teraz słyszał też muzykę. Utwór *Late Goodbye* zespołu Poets of the Fall. Słyszał ją bardzo wyraźnie, mimo że wszystkie sprzęty w mieszkaniu były wyłączone. Wiedział, że muzyka gra tylko w jego głowie. Prywatny koncert, tylko dla niego.

Włączył telewizor, ustawiając na maksymalną głośność. Musiał to zagłuszyć. Pił coraz szybciej i coraz łapczywiej. Wiedział, że to jedyny sposób.

Jedyny sposób, żeby muzyka ucichła.



Ale nagle telewizor zamilkł. Czarno-biały film wyświetlający się na ekranie dotarł do sceny, w której panowała głucha cisza. Wyrwany z transu, zamknął pudełko i z powrotem zakopał na dnie szuflady. Atak minął tak nagle, jak się zaczął. Głowa przestała boleć. To zawsze w końcu mija... Musi o tym pamiętać.

Po chwili znów usłyszał donośny trzask. Zdecydowanie dochodzący z mieszkania naprzeciwko.

Tym razem przy akompaniamencie płaczu.

Płaczu dziecka.

Wziął krzesło i postawił je naprzeciwko drzwi wejściowych. Usiadł okrakiem, kładąc ramiona na oparciu, i przez chwilę sączył chłodzący napój, wpatrując się we wrota własnego mieszkania i słuchając tego, co dzieje się po drugiej stronie. Płacz dziecka przeplatał się z krzykami dorosłych i kolejnymi trzaskami.

Zastanawiał się, czy warto się w to mieszać. Już od jakiegoś czasu jego myśli zaprzętały możliwe scenariusze tego, co dzieje się w mieszkaniu sąsiadów. Takich nocy jak ta było więcej. Dawno już nie mijał na klatce tej kobiety, nie wiedział, że jest w kolejnej ciąży. Piątka dzieci, szóste w drodze, w mieszkaniu niewiele większym od klatki dla chomika. Czasem miał wrażenie, że wzywając na świat kolejne dzieci, wyrządza im tylko krzywdę.

Bił się z myślami przez całe jedno piwo.

W końcu wstał, wsunął na stopy zrzucone niedawno pantofle i ruszył na korytarz. Załomotał w drzwi. Odgłosy ze środka nie ustawały. Załomotał znowu, mocniej. Tym razem odpowiedziała mu głucha cisza. Po chwili stanął przed nim mężczyzna w białej koszulce na ramiączkach. Była cała poplamiona jakimś sosem i obłana piwem.

– Słucham – oznajmił sąsiad, przyglądając się niezapowiedzianemu gościowi przez niewielką szparę. – Co jest?

– Wszystko w porządku? – zapytał Mejza. – Dość głośno dziś tam u was.

– Ta, jest okej... – Mężczyzna zerknął niepewnie po klatce, jakby chciał się upewnić, że Maks przyszedł sam.

– Jak nie będzie ciszy, to zadzwonię po policję. Rano muszę wstać, jeśli się nie wyśpię...

– To śpij, gościu, a nie sąsiadów nachodzisz. Każdy musi rano wstać.

– Dziecko płacze...

– Mówisz pan? – Mężczyzna zerknął przez ramię do wnętrza mieszkania. – Dobra – odparł, jakby tłumaczył coś sam sobie. – Dobra. Zaraz przestanie.

– To już nie pierwsza noc, po prostu zaczynam mieć tego...

– Dobra! Wyluzuj pan, OK? Powiedziałem, że będzie spokój czy nie? No... To idź pan spać, zaraz będzie cisza.

Mejza chciał jeszcze coś dodać, ale drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem.

Wrócił do siebie i otworzył kolejną butelkę. Usłyszał jeszcze tylko jeden trzask, tak głośny, że omal nie wytrącił mu piwa z dłoni. Potem nastąpiła cisza.

Tej nocy dziecko już więcej nie płakało.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Wdech! I wyyyydech... Wdech! I wyyyydech... – Instruktorka przechadzała się pewnym krokiem pomiędzy parami.

W jej głosie było coś niezwykłego. Słuchając jej, mieli pewność, że dadzą radę. Że można przez to wszystko przejść, bo nagroda na końcu będzie warta świeczki. Cały strach, gromadzący się pod skórą w ciągu tygodnia, magicznie zniknął na tę jedną godzinę.

– Panowie starają się wyczuć rytm partnerek. Oddychajcie w tym samym tempie. – Głos kobiety złagodniał, przeszedł w szept. – Poczujcie, jak pod dłońmi biją wam dwa serca.

Trzy młode pary siedziały na podłodze niewielkiej sali gimnastycznej. Ostatnie zajęcia szkoły rodzenia tego dnia. Mężczyźni za plecami kobiet. Obejmowali je w pasie zgodnie z poleceniami instruktorki. Zużyta, wyglądająca na poobgryzaną, mata przesiąkła nieprzyjemnym zapachem poprzednich grup i zaczynała właśnie parować, niemal szczypiąc w oczy. Spiekota panująca na zewnątrz, zamiast odpuścić jak pracownik korporacji widzący na zegarze zbliżającą się szesnastą, tylko przybierała na sile.

Otwarte na oścież okno robiło więcej szkody niż pożytku, rozsądniej byłoby je po prostu zamknąć i zasłonić żaluzje, nie pozwalając pomieszczeniu nagrzewać się do czerwoności. Postawienie stopy na nasłonecznionej macie było jak dotknięcie piasku na plaży. Wiatrak wiszący u sufitu był martwy i za nic miał sobie pełne żalu spojrzenia zgromadzonych w sali.

– Teraz proszę panów o wzięcie piłek. Pokażę kilka sztuczek, które pomogą złagodzić napięcie mięśniowe.

Mężczyźni puścili partnerki i rozeszli się po kątach. Każdy chwycił olbrzymią gumową piłkę i ze zrezygnowaną miną wrócił na swoje stanowisko.

– Siedzenie, balansowanie, podskakiwanie. – Instruktorka z gracją tarzała się po piłce. – Wszystko to pomoże nawet w pierwszej fazie porodu. Serdecznie zachęcam, żeby zaopatrzyć się w coś takiego również w domu. Takie piłki nie są drogie. Teraz spróbujcie się położyć, stabilnie opierając stopy na podłodze.

Kobiety, cały czas asekurowane przez stojących za nimi mężczyzn, ostrożnie przystąpiły do ćwiczeń.

– Gdy się kładę, czuję, jak mały mi się tam kotłuje – powiedziała szeptem rudowłosa kobieta do stojącego nad nią męża. Rozłożyła się na piłce, eksponując ciężowy brzuch. Okalająca go skóra zdawała się być bardzo cienka, jak guma w napompowanym do granic możliwości balonie. Kobieta uśmiechnęła się, gdy partner pogładził ją po brzuchu.

– W ogóle coś ci to pomaga? – zapytał mężczyzna. Oboje mieli nie więcej niż po dwadzieścia parę lat.

– W jakim sensie? No czuję, jak znika napięcie w mięśniach, ta piłka...

– Nie mówię o piłce, możemy kupić taką do domu, sama słyszałaś... Ja tu jestem potrzebny? Co ci to pomoże, że potrzynam cię za brzuch i pooddycham?

– Możesz nie zaczynać? – Kobieta rozejrzała się nerwowo, czy nikt się im nie przysłuchuje. – Nie możesz choć raz zachowywać się jak inni faceci? Nikt nie narzeka, tylko ty się non stop rozglądasz, wzdychasz i marudzisz.

– Skarbie, tu jest z trzysta stopni. Widzę, że ta guma parzy cię w plecy. Aż ci poczerwieniała skóra. Myślę, że w domu...

– Chcę przejść przez cały kurs! Dalej będą też pokazywać, jak zajmować się małym. Masz przy tym być. Umiesz przewinąć dziecko, jak nasra w pieluchę?

– To chyba nic trudnego, skoro wszyscy jakoś to...

– Czyli nie umiesz. Koniec dyskusji.

– Spróbujcie delikatnie przejechać się po piłce plecami. – Instruktorka demonstrowała ćwiczenia, wyginając się na kolorowej gumie. – W przód i w tyyyył. W przód i w tyyyyyyył...

– I jeszcze ten cholerny upał... – kontynuował szeptem mężczyzna, asekurowając partnerkę. – Od trzech zajęć nie naprawili tego przeklętego wiatraka. Zaraz sam...

– Możesz skończyć?! – Kobieta przerwała ćwiczenie i usiadła na podłodze.

Instruktorka uśmiechnęła się serdecznie do pozostałych par, po czym wstała z piłki i podeszła do awanturującej się dwójki.

– Czy wszystko w porządku?

– Mąż jest bardzo ciekaw, kiedy naprawicie wiatrak!

Instruktorka spojrzała na mężczyznę, ten tylko głośno westchnął.

– Rozumiem, że ten upał daje się wszystkim we znaki – odparła. – To normalne, że robimy się nieco nerwowi.

– To nie upał mnie denerwuje, tylko on – odparła kobieta.

– Rozumiem, zaraz zawołamy pana Wiesława. To nasza złota rączka. Chciałam wezwać go po zajęciach, ale myślę, że chwila przerwy nam dobrze zrobi... – Kobieta spojrzała na pozostałe pary, wszyscy tylko pokiwali głowami z wyrazem wyższości wymalowanym na twarzach. Wszyscy cieszyli się, że to nie oni są dziś tą kłótliwą parą.

Nic tak nie utwierdza ludzi w tym, że tworzą wyjątkowy związek, jak widok małżeństwa, które się nie dogaduje. Nieważne, że wszyscy się czasem kłócą. Ważne, że w tym momencie robi to ktoś inny.

– Przepraszam, nie chciałam przerywać zajęć... – Przyszła mama nabrała spokojniejszego tonu i wbiła wzrok w podłogę. – Można to naprawić po...

– Proszę się nie przejmować, zaraz uruchomimy wiatrak. W ten sposób mąż przestanie narzekać i panią denerwować. – Instruktorka mrugnęła okiem w stronę mężczyzny, po czym ruszyła na korytarz.

Nastała chwila krępującej ciszy. Pary wierciły się i rozglądały po sali bez celu. Dało się usłyszeć tylko przejeżdżające za oknem pojazdy, ale każdy hałas docierał do wnętrza mocno przytłumiony. Jakby gęste i lepkie powietrze utrudniało rozprzestrzenianie się dźwięku.

– Mogła go wezwać już trzy zajęcia temu... – odezwał się pod nosem mężczyzna, masując żonie kark.

– Krystian, przysięgam, jak zaraz się nie zamkniesz, to...!

W tym momencie drzwi się otworzyły. Przez próg przeszła instruktorka, ciągnąc za sobą woźnego. Wysoki i patykowaty mężczyzna wyglądał, jakby od dawna był już na emeryturze. Miał długi nos, rzadkie włosy i głębokie, przypominające rozkopane grządki, zmarszczki na czole. Kulał, starając się nadążyć za instruktorką w drodze na środek sali. W dłoni taszczył odrapaną skrzynkę z narzędziami.

Stanęli tuż pod wiatrakiem, obok niedawno kłócej się pary. Woźny ocenił sytuację, kiwnął głową w stronę instruktorki, po czym poszedł pod okno po stołek.

Zajęcia wróciły na właściwe tory. Kobiety usiadły na piłkach. Mężczyźni nie mieli przy tym ćwiczeniu za wiele roboty, poza staniem z tyłu i asekurowaniem.

– Wiele ciężarnych zaniedbuje albo totalnie sobie odpuszcza dbanie o tężyznę fizyczną – tłumaczyła instruktorka. – To błąd! Mięśnie muszą być mocne, żeby należycie znieść trudy porodu. Mocne ciało to mniej bólu.

– Przepraszam, że narzekałem... – odezwał się szeptem mężczyzna do partnerki. – To ten upał. Doprowadza mnie już do szału.

– Ja też przepraszam – odszepnęła kobieta.

– Wiesz, że chcę tu być, prawda? Przeżywać wszystko razem z tobą...

– Wiem, skarbie. Ćwiczmy już, dobrze?

Woźny zdążył już przysunąć sobie stołek na środek pomieszczenia. Otarł błyszczące czoło osmoloną ścierką wyjętą ze skrzynki, po czym dokładnie przyjrzał się zepsutemu wiatrakowi. Kucnął, zahaczając kolanem i niemal zrzucając z piłki rudowłosą dziewczynę.

– Trochę ostrożniej, dobra? – odezwał się mąż kobiety, obrzucając woźnego groźnym spojrzeniem.

Złota rączka nie odpowiedział. Niemal zanurzył się w swojej skrzyni z narzędziami, przeczesując kolejne klekoczące na całą salę przedmioty. Cały czas zerkał na rudą, ciężko przy tym dysząc. Para starała się to ignorować, ale głośne grzebanie w narzędziach nie pozwalało im się skupić na poleceniach instruktorki. Pozostałe dwójki zdawały się ignorować mężczyznę, który w końcu dokopał się do tego, czego szukał.

A najwyraźniej potrzebował wiertarki.

Nałożył wiertło. Patrzył raz na narzędzie, raz na wiatrak przed sobą. Analizował przez chwilę.

– Co on... – wyszeptał mąż rudowłosej.

– Hm?

– Wiercić chce? Co on tu, cholera, chce teraz wiercić?

– Możesz przestać komentować? Stań bliżej, zaraz zlecę z tej piłki.

– Po prostu nie rozumiem, co...

– Skończ.

Woźny nacisnął spust, wprawiając wiertło w ruch, i momentalnie wstrzyknął trochę chaosu w tę senną atmosferę ćwiczeń. Cały czas głośno dyszał, łapiąc powietrze małymi kęsami. Z czoła lało mu się niemal strumieniami.

– Panie Wiesławie! – Instruktorka jako pierwsza podniosła rąbano. – Myślałam, że wystarczy coś tam docisnąć. Jeśli musi pan wiercić, to proszę po zajęciach. Jakoś się z tym wiatrakiem przemyślimy.

Woźny zdjął palec ze spustu. Nastąpił moment dziwnej ciszy. Cały czas wlepił wzrok w rudowłosą kobietę, która przerażona wbiła się plecami w męża, jej dłonie odruchowo powędrowały do brzucha. Matczyny instynkt.

– Chłopie, co ty w ogóle chcesz tam wiercić za dziury? – włączył się mąż kobiety. – Nie widzisz, że tam trzeba...?

Narzędzie znowu wybrzęczało, przerywając wypowiedź mężczyzny.

– Gościu!

– Panie Wiesławie, proszę...! – krzyknęła instruktorka.

Dźwięk kręcącego się wiertła szybko wypełnił całe pomieszczenie. Woźny nachylił się nad ciężarną kobietą z twarzą pełną bólu i cierpienia. Pot ciekący mu z czoła zaczął mieszać mu się ze łzami. Przez moment wszyscy mierzyli się wzrokiem. Czas jakby przystanął, dźwięki dochodzące z ulicy zniknęły, pozostałe pary wstrzymały oddech. Mężczyzna mruczał coś pod nosem. Jakby się modlił albo...

...jakby przepraszał.

– Nie powinniście sprowadzać tu nowych... – wyszeptał, po czym docisnął palec do spustu i wbił wiertło w sam środek brzucha rudowłosej kobiety.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Mejza zamknął artykuł opisujący przerażające wydarzenie, do którego doszło podczas zajęć w szkole rodzenia w Stawirowie – mieście znanym mu tylko z opowieści kogoś, kto był mu kiedyś bliski.

Rozmasował powieki. Czwarty dzień bez klienta i bez najmniejszych nadziei, że ten stan rzeczy ulegnie dziś zmianie.

Upał i towarzysząca mu susza zdawały się przybierać na sile z każdą kolejną dobą. Niewiele brakowało, a matka natura sprawiłaby, że ludzie tańczyliby na ulicach niczym obłąkani szamani, myśląc, że ich paralityczne ruchy są zdolne wpłynąć na siły natury i przywołać deszcz.

Skwar, pot i rozżarzone do białości, szydzące z Ziemiań słońce przybliżało wszystkich na skraj załamania nerwowego. Ludzie mijali się na ulicach podenerwowani, awanturowali w sklepach o coraz bardziej nieistotne drobiazgi, trąbili na drogach, chyba tylko po to, żeby choć na chwilę dać upust gromadzącej się pod skórą złości. Cała ta irytacja zdawała się wisieć w powietrzu.

Nie brakowało jej też w biurze detektywistycznym Maksymiliana Mejzy, który przysiągł sobie, że udusi kolejną osobę, która wejdzie do środka w celu innym niż wynajęcie jego usług.

Od kilku dni zrywał się na równe nogi za każdym razem, gdy dźwięk przywiązanego do drzwi dzwonka zwiastował wizytę kolejnego przechodnia, dając mu iskierkę nadziei na to, że już teraz, już za moment, do biura wkroczy femme fatale i przekaże mu szczegóły jego pierwszej sprawy. Potem, jak na filmach, ponętnie założy nogę na nogę i poprosi o ogień, by móc zaciągnąć się swoim długim papierosem trzymanym na specjalnym uchwycie.

Tylko że przychodzący ludzie pytali głównie o ksero.

Z braku innych zajęć używał więc swojej kserokopiarki chętnym, inkasując po kilkadziesiąt groszy za stronę. Bywały momenty, że na poważnie zastanawiał się, czy nie będzie to bardziej lukratywny biznes niż prowadzenie agencji detektywistycznej. Na tym przynajmniej cokolwiek zarabiał.

Dochodziła piętnasta. Myślał już tylko o godzinie, która dzieliła go od zamknięcia tego przekłętą miejsca na cztery spusty. Siedział niemal w leżącej pozycji. Pogiętą marynarkę przewiesił przez oparcie fotela, czyniąc je nieco bardziej miękkiem i znośnym. Rękawy przepoconej koszuli podwinął niemal pod bicepsy. Wachlował się



zabraną z biurka teczką dokumentów i obserwował głupców za oknem, którym niestraszny był żaden udar.

Nagle senną atmosferę przerwał dźwięk otwierających się drzwi.

Do biura nieśmiało zajrzał starszy mężczyzna. Miał siwe, gęste włosy i cerę przypominającą pogięty arkusz papieru. Ubrany w szorty, sandały i hawajską koszulę, zdecydowanie bardziej pasował do prażącego za oknem słońca niż Mejza, wciśnięty w garniak kupiony dwie dekady temu i nakładany tylko po to, by stwarzać choć pozory profesjonalizmu. Detektyw narzucił na siebie marynarkę.

Zupełne zaprzeczenie femme fatale.

– Dobry. Można? – zapytał, spoglądając nieco przepraszającym wzrokiem. Jakby zrobiło mu się szkoda tego ściśniętego w klaustrofobicznym pokoju detektywa.

– Można, ale szybko. – Mejza wstał, z przyzwyczajenia ładując ryzę papieru do kserokopiarki. – Miałem już wychodzić. Ile pan ma tych kartek?

– Kartek?

– Do skserowania.

– Ale napis na drzwiach mówi, że...

Mejza przystanął na chwilę, wpatrując się w starca, jakby mówił w obcym języku.

– Prowadzi pan tu agencję detektywistyczną czy punkt ksero?

– Agencję – odparł, jakby niepewny swoich słów, po czym przedstawił się i uściśnił mężczyźnie dłoń. Obaj usiedli przy biurku. – Kawy? – zaproponował.

– Obejdzie się – odparł gość, lustrując pomieszczenie. – Do niedawna było tu ksero.

– Zapewniam pana, że w głowach wielu lokalsów to wspomnienie jest wciąż bardzo żywe. Już zaczynałem tracić nadzieję, że odwiedzi mnie jakikolwiek klient.

– Może to przez ten szyld nad biurem? Ciągle wiszą tam dwie litery „KS...”.

– Coś nie mogę się do tego zabrać. A ludziom najwyraźniej wystarczy strzępek informacji i sami dopowiedzą sobie resztę. Tak czy owak, punktu ksero już nie ma. Pan zauważył kartkę.

– Właściwie to szedłem na pocztę, gdy zobaczyłem, że coś tu nie gra. Mieszkam w tym bloku, wie pan, tu, na górze. – Wskazał palcem sufit. – Przed kserem był tu krawiec... – Staruszek zdawał się odlatywać myślami. Wzrokiem błędził gdzieś po drzewach za oknem i chyba zgubił wątek. – Tylko co było przed krawcem? Za cholerę sobie nie przypomnę. Te biznesy tak szybko upadają. To miejsce jest jakieś pechowe...

– Potrzebuje pan usług detektywa, panie...? – W drżącym głosie Mejzy dało się usłyszeć niksą nadzieję na to, że mężczyzna przyszedł tu w jakimkolwiek celu.

– Przepraszam najmocniej. Miłosz Wolczak. – Starszy człowiek ukłonił się na tyle, na ile pozwalało mu biurko.

– I przyszedł pan tu, bo...?

– Bo Bóg mi pana zesłał. Da pan wiarę?

Mejza nie dawał wiary.

– Mam problem, z którym zwlekałem stanowczo zbyt długo – kontynuował klient. – Jest coś... Nigdy bym nie pomyślał, żeby zwrócić się z tym do prywatnego detektywa, ale gdy agencja wyrosła tak nagle w moim bloku... Jak mam traktować to inaczej niż znak? Zna pan to powiedzenie o Mahomecie i górze?

Mejza skinął głową.

– Odpowiadając na wcześniejsze pytanie, to tak. Potrzebuję pana usług. Sprawy rodzinne. Konkretnie to chodzi o moją córkę. Potrzebuję kogoś, kto ją dla mnie odnajdzie.

– Zaginęła?

– Nie, nie zaginęła. Znaczy w pewnym sensie tak, ale tylko w pewnym... Po prostu uciekła z domu. Wiem, gdzie jest. No, przynajmniej z grubsza.

– Ile lat ma córka? U nastolatków to się zdarza.

– Teraz dwadzieścia cztery.

– Dwadzieścia cztery? Może się nie znam, ale większość dzieci „ucieka” w tym wieku. Nazywa się to wyprawą od rodziców. Wie pan, pójdę na swoje.

– Pan nie rozumie... Córka uciekła z domu zaraz po tym, jak skończyła osiemnaście lat. Była w zaawansowanej ciąży. Poznała chłopaka...

– Czyli była już pełnoletnia, gdy się to stało?

– Tak.

– Tylko się upewniam. Proszę kontynuować.

– Staram się, ale pan mi ciągle wchodzi w słowo. – Mężczyzna obciął detektywa surowym spojrzeniem. – Tak jak powiedziałem... Córka zaszła w ciążę zaraz po wejściu w pełnoletniość. To normalne, miała do tego pełne prawo... Problem w tym, że nie było ojca.

– Do niepokalanego poczęcia trzeba księdza, nie detektywa, panie Wolczak.

– To nie tak... Ktoś to dziecko zmagistrował, tylko nie chciał wziąć za nie odpowiedzialności. Nie wiem, kto to był, córka nigdy nie powiedziała.

– I to jego mam odnaleźć?

– Nie, ta kwestia jest nieistotna. Tu w ogóle nie chodzi o brak ojca. – Mężczyzna odpląnął gdzieś na chwilę myślami. – Mówiłem jej, że to nie problem... Że odchowam jak swoje, pomogę jej. Z początku rozmowy były trudne, bo ona była uparta, bez ojca w ogóle tego dziecka nie chciała. Miała czarne myśli... Rozumie pan. Zapisalem ją do terapeuty.

Wzrok klienta uciekł gdzieś za okno. Przez chwilę słyhać było tylko kręcący się wiatrak. Mejza oczekiwał na ciąg dalszy. Sposób, w jaki klient wypowiedział „czarne

myśli”, przypomniał mu o kobiecie, która nieomal zabiła go swoim skokiem kilka dni temu.

Ten cholerny chlupot upadającego ciała wciąż dźwięczał mu w głowie. Zdusił odruch nakazujący mu podrapać bliznę. Poczuł nagłą chęć na drinka. Upił łyk stojącej na stoliku kawy.

– Nawara – rzucił w końcu Wolczak. – Terapeuta nazywał się doktor Nawara. Nie byłem w stanie przemówić jej do rozsądku sam. Wytłumaczyć, że dziecko trzeba zatrzymać. Potrzebowałem specjalisty, więc znalazłem jakiegoś pierwszego lepszego z ogłoszenia i posłałem ją na sesję. Pochodziła do niego miesiąc. Wszystko zmierzało ku dobremu, humor miała lepszy... Potem wzięła i z nim cholera zwiąła.

– Jak zwiąła? W sensie, że uciekła z tym terapeutą?

– Dokładnie. Z tym Nawarą. Gość namieszał jej coś w głowie. I to tak konkretnie. Wkurzała się, gdy pytałem o cokolwiek. Czasem ją dopytywałem, jak idą sesje, czy zmieniła zdanie co do dziecka i tak dalej. Momentalnie wybuchwała wtedy złością. Powiedziałem któregoś dnia, że to ja za to płacę i że jak nie dowiem się, czy robi postępy, to ucinam kranik z forsą. I wtedy uciekła... Całą noc jej nie było, a ja odchodziłem od zmysłów. Następnego dnia przyjechała po rzeczy. Posprzeczialiśmy się, poszarpaliśmy nawet. – Mężczyzna spuścił głowę, obserwował przez chwilę swoje ubrudzone kurzem sandały. – Zabrała walizki, wybiegła na zewnątrz... Goniłem ją i ciągnąłem za rękaw, ale ona parła w stronę jakiegoś samochodu. W końcu zderzyła mnie w kolano, w rzepekę... Kuleję do dziś. – Rozmasował nogę. – Chyba dlatego nie mogę zapomnieć i odpuścić, bo ból codziennie mi przypomina o tym, co się stało. Ten ból... On jest jak listonosz, który dzień w dzień dostarcza ten sam list, rozumie pan? Swoją drogą nie liczyłbym szybko na deszcz... Poczuliśmy to w kolanie.

– Proszę trzymać się opowieści. Co było dalej?

– Załadowała walizy do auta, drzwi otworzył jej on... Nie zapomnę wyrazu twarzy skurwiela. Te małe okrągłe okulary, wątle ciało i zapadnięta gęba... Sukinsyn patrzył, jak leżę na ziemi, wiję się z bólu i wołam imię córki. Patrzył z tym szyderczym uśmiechem na twarzy... Zabrał mi ją.

– Ten terapeuta?

– Nikt inny. Widziałem go tylko raz, gdy zapisywałem do niego moją córkę, ale wszędzie poznałbym tę twarz... Wtedy opuściła dom po raz ostatni. I już nigdy nie wróciła.

– Powiedział pan, że wie, gdzie ona jest...

– Powiedziałem, że z grubsza wiem.

– Więc w czym problem?

– To nie o nią chodzi. Jest dorosła, może mieszkać, z kim chce i gdzie chce.

– To o co chodzi?

– O dziecko.

W biurze nastąpiła chwila ciszy. Walczący z upałem wiatrak z uporem próbował zdmuchnąć dokumenty z biurka. Mejza cały czas przytrzymywał je końcówką długopisu.

– Dziecko? A co z nim? – zapytał po chwili.

– Kilka miesięcy temu postanowiłem ją odnaleźć. Wie pan, na początku byłem obrażony przez to wszystko, co zrobiła. Parę dobrych lat mnie trzymało. Stwierdziłem, że skoro związała, to niech sobie żyje z tym typem. Krzyżyk na drogę i powodzenia. Myślałem, że wróci w łaskę, jak tylko potrzebne będą pieniądze. Ale ona nie wróciła, a ja z wiekiem chyba robię się sentymentalny. Lat mi nie ubywa, wiecznie po tym łez padole chodził nie będę, trzeba się brać za naprawę tego, co się zepsuło, bo zaraz się okaże, że nie starczy na wszystko czasu. Poza tym zdiagnozowano u mnie raka... Na razie nie jest źle, ale doskonale wiem, jak to się skończy... Tylko ona mi została, ona i wnuk. Chciałem odnowić kontakt. Zostać znowu ojcem i pierwszy raz dziadkiem. Wtedy ją odnalazłem.

– Gdzie ją pan znalazł?

– Wyjechała z tym terapeutą do jego rodzinnej wsi. Zamieszkali razem. Nie pomyliłem się co do tego, z kim uciekła. Powęszyłem trochę, nie jestem w ciemną bity. Popytałem w gabinecie, który przejął po nim jakiś inny doktorek. Nawara rzucił pracę dokładnie wtedy, gdy uciekł z moją córką. Po nazwisku odnalazłem w internecie ślady jego rodziców, prowadzili własną praktykę i mieli posiadłość niedaleko Stawiorowa, takie małe miasto. Teraz każdy o nim mówi... Czytał pan wiadomości?

– Ciężarna i wiertarka? Coś czytałem.

– Dokładnie. Tragedia taka, że aż brak słów. Przeklęte Stawiorowo... To siedlisko samych nieszczęść.

Mejza głośno przełknął ślinę, jakby samo wspomnienie nazwy tego miasta wywołało sztorm w żołądku, a niesiony falami przetrawiony pokarm podpływał mu aż do gardła. Znał to miasto nie tylko z porannego przeglądu brukowców i drastycznych zdjęć z pewnych zajęć w szkole rodzenia, ale w tej chwili starał się o tym nie myśleć. Musiał skupić się na opowieści.

– Tak więc jego starzy mieli w okolicach ziemię – kontynuował Wolczak. – Niewielki dworek, niedaleko miasta. Mieszkańcy Stawiorowa mówią na to miejsce po prostu „wieś”, jakby nie miało żadnej innej nazwy. I rzeczywiście, nie ma tam żadnej tabliczki z nazwą miejscowości, GPS uparcie twierdzi, że to wciąż Stawiorowo, chociaż znajduje się za miastem. Wieś pośrodku niczego, dworek otoczony żywym polem. Miejsce w połowie drogi znikąd i donikąd...

– Widział ją pan tam? Spotkaliście się?

– Tak... i nie, odpowiadając na drugie pytanie, a przynajmniej nie do końca. Popytałem o nią w mieście i pojechałem na tę wieś. Kilka domków na krzyż, jeden naprawdę ładny, jakby pałacyk, tylko strasznie zaniedbany. Gdy zapukałem do bram, zaraz wybiegło na mnie dwóch drabów, byli naprawdę nieprzyjemni. Takie wieśniaki bez kultury. Wypytywali, czego chcę. Gdy powiedziałem, że jestem ojcem Natalii, to jakby wywaliło im jakiś błąd w mózgu, nie wiedzieli, co ze mną robić. Wymieniali tylko między sobą milczące spojrzenia.

– Był wśród nich ten terapeuta?

– Nie, nigdy wcześniej ich nie widziałem. Zachowywali się jak jacyś pieprzeni ochroniarze. Jak goryle prezydenta.

– Co było dalej?

– Jeden został ze mną, groźnie się tylko gapiąc, a drugi pobiegł do środka. I wtedy ją zobaczyłem...

– Córkę?

– Tak. Stała w oknie, na piętrze, więc mogłem zobaczyć ją zza furtki. Obserwowała mnie zza uchylonej firanki. Miała... Miała takie puste spojrzenie.

Głos mężczyzny zaczął drżeć. Wziął łyk stojącej na biurku zimnej kawy, nie zważając na to, że przygotował ją sobie wcześniej Mejza. Ciecz stanęła mu w gardle. Zrozumiał, że wypił nie tylko kawę, ale postanowił tego nie komentować. Jakby niespodzianka okazała się przyjemna.

– Patrzyliśmy przez chwilę sobie w oczy... Potem zniknęła w środku i wrócił ten drugi fagas. Powiedział mi, że żadna Natalia tam nie mieszka, i kazał spierdalać. Tłumaczyłem im, że właśnie widziałem ją w oknie, że chcę tylko porozmawiać, zobaczyć, jak się miewa mój wnuk. Oni w ogóle mnie nie słuchali. Powtarzali tylko, jak zdarta płyta, że nikt taki tam nie mieszka. W końcu się zdenerwowałem, wyminąłem te dwie mały i wbiegłem za bramę. Było tam kilka osób, wszyscy wyraźnie zszokowani, że tam wpadłem. Zdążyłem się tylko rozejrzeć po ludziach... Wtedy pociemniało mi przed oczami. Jedyne, co dalej pamiętam z tego dnia, to że ciągną mnie gdzieś po żwirze i wyrzucają na środku drogi.

– Zaatakowali pana?

– Obudziłem się z zaschniętą krwią na czole, spłynęła mi na oczy i zdążyła utworzyć taką skorupę, że ledwo je potem otworzyłem. W gębie chochła kurzu... Podczołgałem się na pobocze i jak tylko rozwiało mi ciemność przed oczami, złapałem stopa.

– Trzeba było iść z tym na policję, przecież to napaść.

– A żebyś pan wiedział, że poszedłem. Te cholerne niebieskie obiboki nie chciały nawet kiwnąć palcem, dopóki nie postraszyłem ich, że pójde z tym do mediów. Jak tylko powiedziałem, że chodzi o wioskę, to od razu powiedzieli, że nic nie da się zrobić. Wie pan, ile się nagadałem, zanim wysłali tam patrol? A gdy w końcu tam ze mną pojechali, to okazało się, że jest masa świadków, którzy twierdzą, że cały dzień gapili się na ten pieprzony dziedziniec i nigdy mnie tam nie było. Da pan wiarę? Każdy zaświadczył, że nie było najmniejszej możliwości, żebym ich tego dnia odwiedził. Mało tego, tych dwóch drabów już tam nie było i wszyscy udawali, że nigdy nie widzieli nikogo pasującego do opisu. Gliniarze ich przeprosili, spojrzeli na mnie jak na świra i odwieźli z powrotem do miasta. Rozumie to pan?

– Tak średnio.

– No ja też. Próbowałem potem pogadać z policją i popytać o córkę i wnuka. Usłyszałem tylko, że nie mogą mi udostępnić informacji o tym, kto tam mieszka i czy jest tam jakieś dziecko. Potem zacząłem pytać w mieście, ludzie nie bardzo chcieli udzielać mi jakichkolwiek informacji, zarówno o tym doktorku, jak i mojej córce. Od niektórych słyszałem, że rzeczywiście widzieli, jak była w ciąży, od innych, że w życiu nie widzieli jej z brzuchem. Połąziłem po szpitalach, chciałem popytać o dziecko, ale wszyscy mnie zbywali. Lekarze niby prowadzą tam jakieś rejestry, ale to działa jak wszystko w tym kraju, czyli wcale. Okazuje się, że mogła urodzić w zaciszu własnego mieszkania i nikt nigdy nawet nie dowiedziałby się, że na świat przyszedł kolejny człowiek. Jakby się tylko chciało, to dziecko można trzymać w tajemnicy przed wszystkimi.

– I przegapić szansę na socjal z budżetu?

– Mówię tylko, że jest taka możliwość.

– I myśli pan, że córka to dziecko przed panem ukrywa, tak?

– Nie wiem, co myślę...

– Dlaczego nie powie mi pan tego wprost? – Mejza odłożył długopis na blat. – Boi się pan, że dokonała aborcji. Prawda? To to mam ustalić?

– Nie wierzę, że mogłaby chcieć to zrobić, ale... Tak czy owak, po tym, jak odbijałem się od każdej kolejnej instytucji, postanowiłem działać na własną rękę. Kupiłem cholerną lornetkę, plecak, prowiant i śpiwór. Ubrałem się jak harcerz na pieprzony biwak i ruszyłem w stronę wioski.

– Co pan zrobił?

– Zacząłem obserwację. Tam wszędzie dookoła są lasy i pola. Mogłem pozostać niezauważony. Wspiąłem się na drzewo, z którego miałem jako taki widok na wioskę, wyjąłem lornetkę i obserwowałem. Dzień i noc. Siedziałem na drzewie jak jakaś skupiona na zadaniu małpa przez dwa cholerne dni. Żarłem zimne konserwy

i oszczędzałem wodę. Nocą, na długo po tym, jak wszyscy mieszkańcy już zasnęli, schodziłem i spałem w śpiworze, ukryty w wysokiej trawie pełnej kleszczy i innego robactwa. Srałem w chaszczach i podcierałem się jakimś zielskiem, od którego dostałem na tyłku wysypki... Ma pan dzieci?

Mejza nie odpowiedział. Zaczął nerwowo drapać paznokciami po poszarpanej bliźnie na szyi.

– Jeśli tak, to rozumie pan pewnie, na jak wielkie poświęcenie można się dla nich zdobyć... Siedziałbym i dłużej, ale po dwóch dniach ktoś mnie zauważył. Widziałem przez lornetkę, jak jakiś gość pokazuje na mnie palcem i woła pozostałych. Zeskoczyłem z drzewa i spieprzyłem w las. Bałem się, że naślą na mnie znowu tych, co obili mi głowę. Nigdy już tam nie wróciłem... Dostać w zęby. To naprawdę przerażające. Myślę, że gdy jesteśmy dorośli, to nie spodziewamy się od życia przemocy fizycznej ze strony innych ludzi. Może dlatego to tak traumatyzuje?

– Warto było chociaż tkwić na tym drzewie? Zauważył pan coś?

– Tak, całkiem sporo... Tej jednej nocy, gdy siedziałem na gałęzi, wszyscy mieszkańcy wioski wyleźli ze swoich domostw i spotkali się w pałacyku. Wszędzie zgasy światła, z okna widziałem tylko jedno słabo rozświetlone pomieszczenie, chyba świecą. Działy się tam... Działy się tam jakieś dziwne rzeczy... Sam nie wiem.

– Co pan widział?

– Jeden z drabów, którzy mnie zaatakowali, też poszedł tej nocy do pałacyku doktora. Zapamiętałem go, bo było tam tylko dwóch mięśniaków. Wyglądali na kulturystów, bardzo charakterystyczni... Niemal jak bracia bliźniacy. W pokoju, który obserwowałem, stało tylko jedno krzesło, nic więcej. I właśnie jeden z tych mięśniaków usiadł na nim, a reszta mieszkańców utworzyła dookoła niego krąg. Stali nad nim ze zwieszonymi głowami... Nie przypominało to zabawy, wie pan... Byli smutni, nikt się nie uśmiechał. Potem do wszystkich dołączył doktorek i... I zaciągnął zasłony. Gdy je rozsunął dwie godziny później, pokój był już pusty. Wszyscy opuścili posiadłość i rozeszli się po swoich chatkach. Tylko że wśród wychodzących brakowało tego mięśniaka...

– Myśli pan, że co się stało?

– Cholera wie. To wszystko było bardzo dziwne.

– Może został na noc?

– Może... Nie wiem. Ale nie to mnie najbardziej zdziwiło. Widzi pan... Oni tam chodzą jak jakieś obdartusy. Brudni, ubrani byle jak. Tylko że tego wieczoru... Tego wieczoru ten mięśniak włożył garnitur. Jakby szedł na rozdanie Oscarów. Nic z tego nie rozumiałem.

– Dziwnie to wszystko brzmi.

– Tak... Dziwnie. Ale to wszystko jest nieważne. Dość tych opowieści. Nie chodzi o to, co widziałem. Chodzi o to, czego tam nie widziałem.

Nastała chwila ciszy, Mejza uniósł brew, oczekując na ciąg dalszy.

– Nie widziałem, kurwa, mojego wnuka!

– Ale córka na pewno tam była, tak?

– Była... Ten jej goguś też. Tych dwóch umięśnionych patafianów, co rozłupali mi czaszkę, i kilka innych osób. Wszyscy snuli się po posiadłości z tymi samymi zrezygnowanymi minami. Moja mała też. Kiedyś pełna życia... Teraz cień samej siebie... Ale byli tam sami dorośli, nie widziałem żadnych dzieci. Rozumie pan? Co, do cholery, stało się z moim wnukiem?

– Rozumiem, że to na to ostatnie pytanie mam znaleźć odpowiedź?

– Po prostu chcę wiedzieć, czy jest cały i zdrowy. Chcę mieć z nim kontakt... Móc wspierać... Nawet finansowo. To jest moja krew, do cholery! Tak jak i ona. Tylko że ona miała wybór. Dzieciak go nie dostał. Do tego właśnie chcę pana nająć, panie Maksymilianie. Niech pan odszuka moją córkę, sprawdzi, jak się ma mój wnuk. Może uda się ją przekonać, żeby odnowiła ze mną kontakt, nie wiem... Mnie do niej nie dopuszczają, a ona nie opuszcza tej przeklętej wioski. Przez te parę dni nie wyszła nawet po zakupy.

Mejza poprawił się w fotelu. Odchrząknął.

– O ile z pierwszą częścią nie powinno być problemu, bo na tym polega mój fach... O tyle z częścią dotyczącą przekonywania kogokolwiek...

– W takim razie do diabła z nią!

– Słucham?

– Najważniejszy jest dzieciak.

– Właśnie o to mi chodzi. Nie jestem negocjatorem w sprawach rodzinnych, od tego są specjalne placówki społeczne...

– Po prostu znajdź pan mojego wnuka. Na niczym innym mi nie zależy. Dzieciak ma dziadka, do cholery... Czas, żeby się o tym dowiedział.

– Mówi pan, że w jakim powinien być teraz wieku?

– Pięć lat. Powinien chodzić do przedszkola, a ja nie wiem nawet, czy istnieje... – Zacisnął pięści, po czym podniósł głowę i rozejrzał się wzrokiem jakby pokrytym cienką warstwą plastikowej folii. – I co pan na to? Jesteśmy w stanie dobić targu?

– Jestem w stanie prowadzić dużo bardziej profesjonalną obserwację niż pan – odparł Mejza. – Chociaż chylę czoła za upór. Jestem też w stanie powęszyć i popytać, kogo trzeba. Jeśli córka dokonała aborcji, myślę, że się o tym dowiem.

– Co? Nie! Ona na pewno nie... Ale nawet jeśli, to chcę po prostu o tym wiedzieć. Przestać już się zastanawiać i rozmyślać... Co noc śni mi się, że mój wnuk mnie woła,



że potrzebuje pomocy. Widzę go, jak siedzi sam... Przestraszony... W ciemnościach... Wierzę, że sny da się interpretować. Wierzę, że śniąc, wchodzimy do świata gdzieś pomiędzy światem naszym a zmarłych i po prostu... Po prostu nie wiem, jak to rozumieć. Tę ciemność... Weźmie pan tę sprawę czy nie?

Mejza stukał długopisem o biurko, jakby przez chwilę się zastanawiał, chociaż odpowiedź znał już w momencie, gdy staruszek przekroczył próg jego biura. Nie mógł sobie pozwolić na wybrzydzenie.

– Wezmę – odparł po chwili. – Pozostają jeszcze kwestie finansowe, jak pan się być może orientuje, usługi detektywistyczne do najtańszych nie należą... – Napisał na samoprzylepnej kartce kwotę i podsunął mężczyźnie pod sam nos.

Wolczak przez chwilę się zastanawiał.

– Stać mnie – odparł w końcu. – Połowa teraz, połowa, gdy odnajdzie się mój wnuk.

– O ile jest jakiś wnuk... – wtrącił Mejza.

– Tak. – Mężczyzna łypnął groźnie. – O ile jest... Chcę też wiedzieć, jak radzi sobie Natałka. Czy jest szczęśliwa...

– Szczęście to cholernie subiektywna sprawa...

– Po prostu niech pan przeanalizuje jej sytuację, OK? – W głosie mężczyzny wyzierała rozpacz i bezsilność. – Ekonomiczną, miłosną... Cokolwiek. Chcę wiedzieć, czy trzeba zabrać ją od tego sukinsyna, w którego łapska sam ją pchnąłem. Płacę tyle, ile pan chce, tak jak powiedziałem. To nie jest mało, za tyle chyba może się pan postarać.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie Wolczak. – Mejza wyciągnął przed siebie dłoń. Mężczyzna pewnie ją uściskał. – Zaraz przygotujemy wzór umowy, pan podpisze, a potem odpowie na kilka dodatkowych pytań. Przyda się więcej szczegółów sprawy. Ma pan jakieś zdjęcie córki?

\* \* \*

Po godzinie starzec opuścił biuro. Zaraz po tym Mejza zrzucił z siebie marynarkę, jakby oblał się wrzątkiem. Rozpiął koszulę i przecisnął się do okna. W biurze było zdecydowanie za mało tlenu dla dwóch osób.

Na parapecie leżała napoczęta paczka papierosów. Powoli wyjął jednego i wsadził sobie luźno w usta, rękoma oklepując kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. Padające na niego promienie słońca sprawiały, że mrużył oczy z wyrazem nieskrywanego bólu. Mimo że było już po szesnastej, to ta kula wrzących gazów unosząca się na niebie nie dawała za wygraną. Czuł, jak przypieka mu powieki.

Myślał o Stawirowie. O pewnej kobiecie, którą mógłby tam przypadkiem spotkać, a czego wolałby uniknąć. Może przyjęcie tej sprawy było błędem? Powoli zbierał się do kupy, po co miałyby teraz pchać się w objęcia czegoś, co dawno już zostawił za sobą?

Tylko że zbieranie się do kupy to długi proces. Długi i kosztowny. A mu przydałoby się parę groszy.

Zresztą jaka jest szansa, że na siebie trafią?

Złapał się na tym, że przez cały czas drapie bliznę na szyi. Chwycił się za dłoń i przytrzymał przez chwilę, jakby była możliwość, że ta sama mu się wyrwie i znowu zacznie drapać starą ranę wbrew jego woli.

Spojrzał na fotografię przedstawiającą portret uśmiechniętej dziewczyny o odstających uszach i dużych siekaczach – Natalia Wolczak. Jednak im dłużej patrzył, tym bardziej nabierał przekonania, że to wcale nie uśmiech. Po prostu wyszczerzyła się do szkolnego zdjęcia, jakby czuła, że tak trzeba. Nie, to nie był uśmiech...

Oczy się nie uśmiechały.

Powoli wydychał papierosowy dym, jeszcze bardziej rozgrzewając przestrzeń dookoła siebie, i obserwował przechadzających się ulicami przechodniów. Wszyscy raz po raz oglądali się na zbielony nieboskłon, z żalem, jakby robili pogodzie wyrzut. Przebiegali od cienia do cienia w podobny sposób, w jaki biega się podczas gwałtownej ulewy. Od osłony do osłony.

Miał nadzieję, że w Stawirowie będzie choć odrobinę chłodniej.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z biura wyszedł o zmierzchu, dopięcie formalności i obmyślenie planu zajęły znacznie dłużej, niż zakładał. Zaróżowione niebo powoli i płynnie przechodziło w odcień granatu i szarości. Pierwsze złotówki z zaliczki przeznaczył na czteropak chłodnego piwa w monopolowym niedaleko bloku. Dostał zadyszki, gdy tak pośpiesznie wracał, walcząc z upałem o chociaż jedną, zimną od samego wejścia do mieszkania puszkę. Żywioł ognia napierający sponad atmosfery nie ustępował nawet w obliczu rychłego zmierzchu. Powietrze było gęste i lepkie.

Z impetem nacisnął na klamkę i całym ciałem runął w łagodzący zmysły chłód ciemnej klatki schodowej. Namiastka tego, co się czuje, dając nura do zimnej wody po dłuższym wylegiwaniu na plaży. Tylko że mrok klatki nie był w stanie zmyć z niego całej tej lepkości.

Sprawdził skrzynkę na listy, wyrzucił do stojącego obok kosza pół tony makulatury w postaci ulotek reklamowych i ogłoszeń agentów nieruchomości podszywających się pod młode pary chcące kupić mieszkanie w okolicy. Bał się, że skrzynka pęknie w szwach, jeśli tylko zostawi ją pełną przed wyjazdem.

Głosy usłyszał, będąc jeszcze kilka pięter niżej, gdy tak mozolnie gramolił się w górę schodów do swojego mieszkania. Dzieci sąsiadów znów przesiadywały na klatce, tym razem w niepełnym składzie. Brakowało dziewczynki.

– Suń się, baranie, ktoś idzie – odezwała się ciemność irytującym głosem.  
– Nie macie domu, do cholery? – zapytał Mejza, starając się nikogo nie podeptać.  
– Tam nie da się wysiedzieć – odezwał się najstarszy. – Na zewnątrz też parowa.  
– A gdzie ta mała?  
– Ona musi wysiedzieć. – Chłopiec ściszył głos, jakby spokorniał. – Ma karę.  
– Debilka zepsuła wiatrak! – krzyknął kolejny. – Posiedzi w zamkniętym pokoju, bez otwierania okien, to się nauczy!

– Czego się nauczy? – spytał ostro Mejza.

Chłopiec spuścił głowę.

– Mama tak powiedziała... Nauczy się.

– Specjalnie wam go popsuła?

– Nie wiem... Chyba nie, ale to ona nie złapała piłki. Jej wina!

Mejza przekręcił klucz w zamku.

– Może dałby pan nam jedną, co? Dla ochłody – zapytał najstarszy, patrząc w trzymaną przez Maksa czteropak.

– To nie oranżada, dzieciaku.

– Wiem... Pan tak co wieczór sobie kupuje, nie? Zajebicie. Nie mogę się doczekać, aż ja też będę mógł. Ojciec czasem daje mi łyka.

– Sam mu zabierasz... – skomentował szeptem jeden z braci.

– Czasem sam daje, więc nie gadaj. Teraz już nawet nic po tym nie czuję, po puszcze musi być nieźle, co? To jak będzie, podzieli się pan? Julce dał pan paczkę chipsów.

Nie odpowiedział. Wszedł do mieszkania i zatrzasnął drzwi, zostawiając za sobą cały ten koszmar, którego wolał nie oglądać. Odetchnął głęboko.

Klaustrofobiczna kawalerka była jak piekarnik. W takim mieszkaniu, jeśli wyciągnąłeś z zamrażarki kurczaka i liczyłeś na to, że rozmrozi się do kolacji, mogłeś się mile zaskoczyć, że po powrocie do domu będzie już w pełni wypieczony. Znowu popełnił ten błąd, że nie zaciągnął przed wyjściem zasłon, przez co słońce miało cały dzień, żeby wygodnie się tu rozgościć.

Pociągnął zawleczkę od puszek, jakby odbezpieczał granat, który niebawem miał mu eksplodować w krwiobiegu. Piwo syknęło, wylewając na aluminiową krawędź lekko wzburzoną pianę. Wbił się w nie ustami i pił łapczywie aż do ostatniej kropli.

Jak co wieczór otworzył stojącą przy łóżku szufladę i wyjął z dna niewielkie ozdobne pudełeczko. Nabój niezmiennie spoczywał w środku, połyskując w słabym świetle lampki. Przyglądał się mu chwilę, kończąc piwo. Zastanawiał się, czy powinien go wziąć ze sobą, jednak po namyśle stwierdził, że jakoś wytrzyma ten weekend za miastem, zamknął pudełko i odłożył na miejsce.

Zgniół puszkę i zajrzał do lodówki. Przygotował sobie ucztę z resztek i wszystkiego, co tylko znalazł, chcąc opróżnić półki przed wyjazdem. Usiadł na łóżku z talerzem pełnym zeschniętych wędlin, sera i twardego chleba. Otworzył drugą, ciepłą już puszkę i włączył telewizor.

Przez kilka minut latał bezmyślnie po kanałach, szukając czegoś, co, jak co wieczór, spełni rolę towarzysza posiłku. Nie mógł się na niczym skupić, ani na jedzeniu, ani na setnej już powtórcie *Matrixa* w telewizji. Piwo, zamiast spodziewanego ukojenia, przyniosło tylko poczucie winy. Nie wiedzieć czemu czuł, jakby po części sam odpowiadał za sytuację, w jakiej znalazły się te dzieciaki. Czy przykłada do tego rękę?

Pamiętał czasy młodości, w których gloryfikowało się picie i z podziwem patrzyło na starszych, mogących walić dzień w dzień. Polscy bohaterowie. Wtedy nie było innych. Przez chwilę czuł, że sam padł ofiarą tego chorego systemu i właśnie przez to jest tu, gdzie teraz – na dziecięcej karuzeli, raz się wnoszącej, raz opadającej, bez możliwości ucieczki przed tym, co siedzi za tobą na koniku czy innym słoniem... Zawsze

jest blisko, najgorszy najlepszy przyjaciel, jakiego może mieć człowiek – nałóg stary jak ludzkość.

Ciągle myślał też o dziewczynce zamkniętej w parnym pokoju, wyobrażał sobie jej czerwone policzki i niewielkie spuchnięte usta. Niby nie działo się nic, co mogłoby ją zabić, ale on sam prawie ocierał się o szaleństwo, mimo że w pokoju pracowały dwa wiatraki.

Patrząc się tępo w ekran, układał w głowie możliwe scenariusze. Albo wparuje tam z buta, wykopując drzwi, krzycząc na zaćpanych starych, i wyniesie dziecko na rękach, jak jakiś strażak... Albo szybko skończy tę puszkę, chwyci za kolejną i za pół godziny nic, co się dzieje za drzwiami, nie będzie już jego problemem.

W większości przypadków hollywoodzcy agenci zamieszkujący jego układ nerwowy walili drzwiami i oknami, żeby tylko położyć łapy na tym drugim skrypcie...

Ale nie dziś.

Dziś miał wygrać scenariusz numer jeden.

Zerwał się z łóżka i odłączył z gniazdka stojący przy ścianie wentylator. Narzucił na siebie wymiętą, przepoconą koszulę i spodnie zdjęte z krzesła, chwycił urządzenie pod pachę, po czym wyszedł na klatkę. Zapukał w drzwi naprzeciwko. Głośno i stanowczo.

– Co pan tak do nas wali? – zapytał najstarszy z dzieciaków siedzących na klatce. Po chwili jego zdziwiony wzrok wylądował na wentylatorze. – To dla nas?

Drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta w niedbale narzuconym na siebie szlafroku. Pod spodem była naga. Wyglądało, jakby wystarczył zaledwie przeciąg z korytarza, żeby cała się przed nim odsłoniła. Spojrzała na Maksa zamglonym wzrokiem, lekko się przy tym chwiejąc. Cholera wie, co mogła mieć w tej chwili we krwi.

– Sąsiad? – zapytała, lekko poprawiając szlafrok.

– Wysiadł wam wiatrak, tak?

– S-skąd sąsiad...

– Tak czy nie?

– Nooo.

– To weźcie ten. – Wyciągnął przed siebie urządzenie.

– Co?

– Wyjeżdżam na kilka dni, nie przyda mi się. W tym czasie możecie używać mojego, zresztą ja mam drugi na suficie.

– Wyjeżdżasz? Nie będzie cię?

– Bierze pani czy nie? – ponowił pytanie, patrząc na wentylator. – Jest ciężki.

– To jak ciężki, to sama go nie wciągnę. Mam... Mam problemy.

– Problemy?

– Z plecami.

– To proszę zawołać męża.

– Dziś go nie ma. Od jakiegoś czasu już go nie ma... – Drapała się po dłoniach, rozrywając małe strupki. – Podłączysz mi go, sąsiad? A ten... w ogóle... jak chata będzie stała wolna, to może dasz mi klucze, co?

– O czym ty mówisz?

– Będę podlewała kwiatki i takie tam.

– Zapomnij. Zresztą nie mam kwiatków, nie ma co podlewać...

– Już jebać te kwiatki... Tu jest cholernie ciasno, sąsiad. Ja... Ja już nie wyrabiam. Cały dzień ktoś krzyczy.

– Nie mój problem.

– U ciebie mogłyby chociaż coś pooglądać. Słyszałam, że masz telewizor. Dobrze ci, nie? Zauważyłam, co robisz.

– O czym ty...

– Dajesz tym głośniej, im głośniej jest u nas... Łatwo ci się odciąć, co? Pomyśl sobie, że ja nie mam tu nic, co mogłabym dać głośniej... To jak, podłączysz? – Skinęła głową na wentylator, cały czas drapiąc się po całym ciele.

Mejza westchnął cicho, po czym kiwnął tylko głową.

– To wchodź. – Przesunęła się w drzwiach, robiąc trochę miejsca. Wciąż niewystarczająco dla ich dwójki. Żeby wejść do środka, musiał się o nią otrzeć.

W środku niewyobrażalnie cuchnęło. Śmieci i odpadki zgromadzone w kuchni musiały zacząć się już rozkładać pod wpływem upału. Wnętrze sprawiało wrażenie, że wystarczyłoby odpalić zapałkę, a nagromadzony w środku metan eksplodowałby, robiąc dziurę na połowę bloku.

Stanęli w korytarzu.

– Gdzie go chcecie? – zapytał. Ręce zaczęły mu już delikatnie drżeć pod wpływem ciężaru urządzenia.

– Do salonu.

– Może do pokoju dzieci?

– Mieli już jeden, to rozjebali. Daj go do salonu.

– Dlatego przyniosłem ten, żeby wymienić ten zepsuty. – Zerknął do salonu, zauważył, że jeden wentylator już tam stoi i działa bez zarzutu.

– Co te gnojki ci naopowiadały, co? – Mimochodem spojrzała w stronę drzwi wyjściowych.

– Zanoszę go do pokoju dzieci, bez dyskusji – rzucił groźnie, po czym chwycił za klamkę i władował się do pokoju.

W środku było jak w szklarni. Ciemno i parno. Zapalił światło, co sprawiło, że kobieta zawyła z bólu jak potępiona i chwyciła się za oczy. Zdumiało go, jak pusto może być w pokoju dzieci. Bez zabawek, bez książek, plakatów na ścianach. Jedynie dwa piętrowe łóżka.

Dziewczynka leżała na dolnym materacu. Nie ruszała się, wyglądała, jakby spała. Mejza nachylił się nad nią, dostrzegając czerwone, nabrzmiące policzki. Pościel dookoła była cała mokra od potu. Mała dyszała ciężko, jej klatka piersiowa falowała jak ocean podczas sztormu. Lekko poruszała ustami, jakby coś majaczyła, miała zamglone spojrzenie.

– Przynieś jej wody, do kurwy nędzy! – rzucił Mejza do kobiety, która powoli otrząsała się z szoku.

Otworzył na oścież okna, po czym dopadł do wiatraka i podpiął go do najbliższego gniazdko. Pokój momentalnie wypełnił się kojącym chłodem.

– Głucha jesteś?! Wody!

– Nie drzyj się na mnie! Wypierdalaj z mojego domu!

Maks przepchnął się za stojącą w drzwiach kobietą i ruszył do kuchni. Od razu dopadł do zlewu i rozejrzał się w poszukiwaniu pustej szklanki. Ujrzał morze zgniecionego aluminium, w zlewie stos ubabranych tłuszczem i resztkami jedzenia naczyń. Na blacie samotna strzykawka, obok kilka kropel krwi. Na podłodze kartony po pizzy.

W pośpiechu otwierał szafki, szukając czegokolwiek, co by się nadało. Nalał wody do niewielkiej miseczki, po czym wrócił do pokoju. Dziewczynka siedziała z nogami zwieszonymi nad podłogę. Kobieta stanęła pod ścianą i w milczeniu obserwowała, jak sąsiad podaje jej córce wodę. Mała piła powoli i spokojnie, jak kot. Gdy skończyła, głośno westchnęła.

– Dziękuję – powiedziała słabym głosem.

Mejza nic nie odpowiedział. Wstał i groźnie łypnął na kobietę. Podszedł kilka kroków, niemal przygwożdżając ją do ściany niewidzialną barierą napięcia.

– Mała ci tu prawie zemdlą. Jak pilnujesz swoich dzieci?! Pozostałe całymi dniami siedzą na klatce. Co jest, kurwa, z tobą nie tak?!

– Nie mów tak do mnie! – Jej ton nabrał formy panicznego krzyku.

– Jak nie zaczniesz dbać o nie, jak należy, to przysięgam, że...

– A kto zadba o mnie?! Od tego są, żeby dbać o matkę! Myślisz, że któreś chociaż, kurwa, spyta, jak się czuję, od kiedy ojciec...

– Nie są od niczego! – Uderzył otwartą dłońią w ścianę tuż obok twarzy kobiety, sprawiając, że zaniemówiła. – Żadne nie prosiło się na ten świat. Jak nie zaczniesz zachowywać się jak matka...

– Widzę, że ty zaczynasz za to zachowywać się jak ojciec, co, sąsiad? – Wbita w ścianę, powolnym ruchem zaczęła zdejmować z siebie szlafrok. Spod kawałka materiału wynurzył się bark, po chwili kawałek piersi. – Może chcesz poczuć, jak to jest, co, sąsiad? Być ojcem...

Mejza złapał ją za rękę, powstrzymując przed dalszym zrzucaniem ubrania.

– Co jest z tobą nie tak, kobieto?

– Ile ty masz lat, co? Wyglądasz, jakbyś był już sporo po czterdziestce. Dla ciebie może być za późno. Moimi możesz zająć się jak własnymi... – Siłowała się z nim, próbując wyrwać się z uścisku. – Przecież widzę, że aż się do tego palisz... Możesz być dziś ich ojcem, jeśli chcesz... Moim też...

Mejza zwolnił chwyt i z przerażeniem spojrzał kobiecie w oczy. Uśmiechała się, prezentując przegniłe zęby, a on poczuł, jak wypite wcześniej litry piwa buzują mu w żołądku i ruszają w górę jak zawartość wstrząśniętej butelki Coca-Coli.

Zataczając się od ściany do ściany, wybiegł z mieszkania na klatkę. Omal nie zderzył się z dziećmi, które stały pod drzwiami i podsłuchiwały.

– Co pan tam zrobił? – zapytał najstarszy, będący najwyraźniej głosem całej grupy.

– Z drogi! – rzucił zdenerwowany, próbując się przepchnąć.

Dzieciaki zajrzały ze strachem do środka, jeden z nich wbiegł na korytarz, po chwili zaczął krzyczeć irytującym głosem:

– Mama płacze! Ej, Arek, mama płacze! – wołał do najstarszego.

– Co zrobiłeś mamie, śmieciu?! – Najstarszy stanął mu na drodze, siląc się na groźną minę, która nijak współgrała z delikatnymi rysami twarzy.

Mejza go odepchnął i po chwili zamknął się w mieszkaniu. Wyjrzał przez judasza, obserwując, jak wszystkie dzieciaki powoli gramolą się do swojego mieszkania. Gdy klatkę spowiła całkowita ciemność, dopadł do lodówki i wyjął piwo, które natychmiast opróżnił w kilku łykach. Spojrzał na ostatnią puszkę stojącą samotnie w lodówce. *Za mało*, pomyślał. Za ścianą słychać było odgłosy awantury. Krzyki, raz matki, raz dzieci.

Ponownie upewnił się, że klatka jest pusta, po czym wyszedł i szybko zbiegł po schodach.

Za mało. Jeśli ma dziś zasnąć, potrzebne będzie coś mocniejszego.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Postanowił przyjechać autobusem i w razie konieczności wynająć od kogoś auto na miejscu. W takich miejscowościach jak ta, gdzie każdy zna każdego, ludzie potrafili być bardzo wyczuleni na obce blachy, zwłaszcza te z większych miast. Potrzebował czegoś lokalnego. Poza tym będzie miał wiarygodną wymówkę, żeby zdobyć trochę informacji od zasobnych w nie taksówkarzy.

Dworzec w Stawirowie wyglądał bardziej jak wspomnienie dworca w trawionym demencją mózgu starca niż realny obiekt. Jakby pozostał sam szkielet, pozbawiony detali, które czas wypłukał z pamięci niczym słona woda wchłaniająca w siebie część brzegu z każdym kolejnym przypływem. Obszerny i pusty betonowy plac, trzy zadaszone ławki i rozkład jazdy autobusów przyklejony do miejskiego sracza. Nic więcej.

Gdy wysiadał, poczuł pustkę przeszywającą mu trzewia. Dziwne uczucie, którego nie potrafił nazwać, a które sprawiało, że miał olbrzymią chęć kontaktu z kimkolwiek. Na miejscu nikt na nikogo nie czekał. Nie żeby spodziewał się jakiegoś powitania, ale z tym właśnie kojarzył dworce – z niespokojnie kręcącymi się krewnymi zaglądającymi do okien autobusu, przeskakującymi z nogi na nogę, jakby nie mogli się już doczekać widoku osoby, dla której w ogóle się tu fatygowali.

Może po prostu nie było na kogo czekać? Jechały z nim tylko trzy osoby: starsza pani z kilkoma reklamówkami z logo dyskontu i dwóch śmierzących wczorajszym chlaniem młodych gości, którzy zapewne szukali nocnej rozrywki w jakimś większym mieście – najwyraźniej bez powodzenia, skoro zamiast spokojnego snu u boku wyrwanej w klubie panny czekała ich droga powrotna na dworzec. No bo kto inny chciałby tłuc się tu autobusem o piątej rano?

Mejza całą, niezbyt długą, podróż przespał, wlewając w siebie tuż przed wyjazdem setkę jakiejś kupionej na dworcu smakowej wódki, która teraz odbijała mu się pigwową zgagą. Śniadanie mistrzów. Czterdzieści minut jazdy wydawało się idealnie wyliczonym czasem, pozwalając alkoholowi w pełni rozwinąć swoje możliwości w sponiewieranym zdawkową ilością snu ciele.

Przewiesił przez ramię niewielką podróżną torbę z zestawem ubrań i bielizny pozwalającym przetrwać weekend poza domem i wygramolił się z autobusu przednim wyjściem. Powietrze o tej porze wciąż było rześkie, jednak słońce, wznoszące się jak

kostucha nad horyzontem, powoli nabierało ciepła, by jeszcze przed południem pokazać pełną moc swych możliwości.

Przyjechać półpijany do obcego miejsca to niełatwe przeżycie. Miał wrażenie, że coś jest nie tak. Czuł się nagi i zdezorientowany. Gdzie okiem sięgnąć tylko betonowy plac, nieco dalej drzewa i jakiś las, poruszany z wolna delikatnym wiatrem.

Podszedł do stojącego pod autobusem kierowcy, raczącego się właśnie przerwą na fajka. Mężczyzna wpatrywał się w nieodległy las i z dziecięcą wręcz radością cieszył pierwszymi promieniami słońca na twarzy. Mejza wyjął papierosa, podpalił i stanął obok.

– Ma pan jakieś pojęcie, gdzie tu znajdę nocleg? – zapytał, masując zeszywniały kark.

Kierowca otaksował go znudzonym wzrokiem.

– Nocleg? Panie, jeszcze siódmej nie ma. Jak masz pan coś do załatwienia, to o szesnastej kursuje stąd powrotny. Do tej pory zdąży pan ze wszystkim.

– Nie o to chodzi. Zostaję. Znajdzie się jakiś hotel w pobliżu?

– Hotel... Tam zaraz za winklem. – Mężczyzna wyprostował ramię, wskazując kierunek papierosem. – Masz tam pan postój taksówek. Ja bym popytał taksówkarza. Ja tu tylko kursuję. Nigdy nie byłem dalej niż na śniadaniu w kebabowni.

– O śniadanie miałem pytać w drugiej kolejności. Da się tu porządnie zjeść?

– Da się zjeść, tyle powiem.

– Daleko to, ta kebabownia?

– Tu nic nie jest daleko. Mówię, tam masz pan taksiarza. On lepiej wytłumaczy. – Kierowca zgasił peta o pobliski śmietnik.

Mejza skinął głową. Zarzucił torbę mocniej na ramię i ruszył przed siebie. Na wybrukowanym kamieniami postoju zauważył samotną taksówkę.

Podszedł bliżej i zajrzał do środka. Kierowca spał. Jego pokaźnych rozmiarów brzuch wylewał się spod hawajskiej koszuli i falował w rytm oddechu. Mejza zastanawiał się, o co chodzi z tymi koszulami. Dzięki nim ludzie czuli się jak na urlopie w tropikach za każdym razem, gdy słońce nieco mocniej przyświeciło? Tak czy owak, facet spał i cokolwiek się mu śniło, musiało być miłsze niż otaczająca go rzeczywistość, bo nieustannie się uśmiechał i oblizywał wargi. Na oczy zaciągniętą miał czapkę z daszkiem.

Mejza zastukał w okno, kierowca podskoczył, zrzucając czapeczkę na kolana i przypatrując się zaskoczonym wzrokiem, po chwili mina mu zrzedła i spojrzął na Maksa jak na rzeźnika, który właśnie zaszlachtował mu piękny sen. Opuścił szybę.

– Co jest? – wymamrotał, oblizując zaschnięte wargi. – Podwieźć gdzieś?

– Kierowca autobusu mnie przysłał.

- Krystek?
- Podobno może mi pan tu polecić jakiś hotel.
- Tak powiedział? Sam mógł to zrobić.
- Podobno nie zna miasta.

Kierowca zerknął na zegarek.

- Leniwy kutas... Włóczy się po mieście dzień w dzień od rana do szesnastej.
- To znasz pan jakiś hotel czy nie?
- Znam. Wsiadaj pan. – Machnął ręką, zapraszając do pojazdu.

Mejza ostatni raz rozejrzał się po pustce dookoła, po czym wsiadł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Wnętrze pachniało jak buda z kebabem, wszędzie dookoła walały się papierki po jedzeniu i zgniecione puszki po słodkich napojach.

– Mamy jeden hotel w centrum miasta i kilka fikuśnych pensjonacików niedaleko lasu, ale tam będzie drożej. Nie ma tu zbyt dużej bazy noclegowej, niewielu u nas turystów.

– Czyli fakt, że nie robiłem rezerwacji, jakoś ujdzie mi na sucho?

– Żartujesz pan? Ucieszą się, że mają komu łóżko w końcu pościelić. Chociaż w ostatnich dniach można powiedzieć, że mamy tu zalew przyjezdnych. Pan będziesz trzeci. Ostatni turyści, jakich tu mieliśmy, to nawalony w sztorc blondynek, który tylko mi tu wymamrotał, żebym zawiózł go do hotelu, no i jakiś pismak. Pisał artykuł o tym wypadku w szkole rodzenia. W sumie to dalej coś tam pisze, bo nie słyszałem, żeby wyjeżdżał.

– Coś tam czytałem.

– Kurewsko nieprzyjemna akcja, tak panu powiem. Znałem biedną dziewczynę, córka znajomych... Dziewiętnaście lat dziewczyna, dasz pan wiarę?

– Zmarła?

– Ano.

– Czekaj, powiedziałeś „wypadek” w szkole rodzenia? Czytałem tylko jakieś pierwsze opisy zdarzenia, ale „wypadek”? Coś mi to nie brzmiało na wypadek.

– A co ty, gliniarz?

– Nie, ale...

– No to się pan nie wypowiadaj. Taka jest oficjalna wersja zdarzeń. Znałem Wieśka, chłopowi brakowało kilku klepek, ale był łagodny. Nie wyobrażam sobie, żeby z premedytacją wbił dziewczynie wiertło w napompowany brzuch. Przewrócił się, gdy próbował naprawić jakiś tam wiatrak na ścianie, i tyle. To wszystko przez tę wadliwą nogę. Tragedia, ale co poradzisz? Dziewczyny naprawdę szkoda, ale to nie znaczy, że trzeba zaraz chłopca wieszać. Pewnie sam z tym żyć nie może...

– Skoro tak twierdzisz. – Mejza wyjął z kieszeni pomiętej marynarki paczkę papierosów i zamachał do wstecznego lusterka. – Masz coś przeciwko, żebym...?

– Pal pan śmiało, tylko chwila, uchylę okna.

– Dzięki.

– Pan też przyjechał węszyć przy tej sprawie? Kolejny dziennikarz?

– Nie. Nic mnie to nie obchodzi.

– To co pan tu robi?

– Ma to jakieś znaczenie?

– Dla taksówkarza? Ogromne. Widzisz pan... Usłyszałeś historię o poprzednim gościu, który tu przyjechał, spędziłeś pan miło czas na pogawędce. Co opowiem następnemu klientowi, jeśli nic od pana nie usłyszę, hmm?

– Opowiesz, że przyjechał gość i poprosił o zawiezenie do hotelu. – Mejza ze znużeniem zaciągnął się papierosem i wyrżał za okno. – Ten blondynek też miał jakąś historię?

– Miał, ale był tak pijany, że niewiele z niej zrozumiałem. Ciągle powtarzał, że zrobił coś strasznego, a gdy go w końcu zapytałem, cóż to za straszna rzecz, że ciągle o tym gada, to powiedział, że rzucił dziewczynę. Tak przynajmniej zrozumiałem, no bo jak mówiłem, głównie mamrotał.

– A ten dziennikarz... Wciąż tu jest, tak?

– Siedzi od kilku dni w tym samym przybytku, do którego wiozę pana. – Zerknął we wsteczne lusterko. Przekręcił kluczyk w stacyjce i powoli wytoczył się z parkingu. – Młody łepok. Liczy na jakąś sensację i głośny artykuł. Jebana pijawka.

– Hm?

– Próbuje wyciągnąć pieniądze z ludzkiej tragedii. Gardzę takimi, co zarabiają w ten sposób na chleb.

– Jazda taksówką to lepsza alternatywa?

– A żebyś pan wiedział!

– Przemyślę to, jak znowu będę szukał pracy.

– Bezrobotny? Tutaj roboty pan nie znajdziesz. To miasto starych przyków, takich jak ja. Każdy, kto znalazł już jakąś robotę, to uczepił się jej tak, że choćbyś się pan zesrał, to już nie oderwiesz. Ja pewnie do końca swych dni będę kursował taksą z dworca... – Kierowca zamilkł, sposepniał.

W kilka chwil opuścili odludzie i wtoczyli się do miasta.

Stawirowo było zwyczajnie brzydkie. Skomponowane niemal z samych odcieni szarości. Osiedla bloków z wielkiej płyty, dziurawe drogi, brak zieleni, nawet w centrum. Brak charakteru. Miasto nie posiadało żadnej duszy.

Smutne, przygarbione sylwetki mieszkańców przemykały ulicami jak zjawy. Wszyscy wpatrzeni w chodnik przed sobą, jakby chcieli się odciąć od otaczającej ich depresyjnej architektury. Młodszy używali w tym celu smartfonów. Jednak jadąc tak ulicami, Mejza nie mógł pozbyć się dziwnego wrażenia déjà vu. Wspomnienia, które nie należały przecież nawet do niego, zaczęły powoli rozlewać się pod czaszką. Choć nigdy wcześniej tu nie był, miał wrażenie, że doskonale wie, co znajdzie za każdym kolejnym zakrętem, śmietnikiem czy drzewem. Znał to wszystko z opowieści kogoś, kto był mu kiedyś bliski.

Jej opowieści.

Mijał znane mu sklepy i pizzerie. Dlatego też nie zdziwił się, gdy przejeżdżając, zobaczył przekrzywiony szyld baru Psia Buda, zdający się wisieć niemal na włosku. Wiedział, że kiedyś grupka napompowanych piwskim licealistów urządziła sobie na nim zawody w podciąganiu, starając się zaimponować lokalnym pięknościom, i tak go przekrzywili.

I ona też się przyglądała i kibicowała...

– O, tu polecam wpaść na piwko – odezwał się krótko taksówkarz.

Często to właśnie tam działy się jej opowieści. W tym barze. Gdy tylko odebrała dowód, pojawiała się tam niemal codziennie po szkole, ciesząc się pierwszymi miesiącami dorosłości. Okresem, w którym życie wciąż ma smak, a przyszłość, choć mglista, zawsze zdaje się rysować w różowych barwach. Niejednokrotnie go zapraszała, mówiąc, że oprowadzi go po mieście, jak tylko ją odwiedzi. „Nie znasz życia, jeśli nie piłeś w piątek w Psiej Budzie, Maks!”, mawiała.

Tylko że nigdy jakoś nie było okazji...

Opowiadała mu, że właściciel baru miał trzy owczarki niemieckie. Piękne suki o błyszczącej, gęstej sierści chodzące luzem po sali. Podobno jeśli w wejściu na ciebie zawarczały, to tego wieczora już się tam nie napiłeś. Były jak bramkarz w klubie. Facet mocno wierzył, że psy wyczuwają złych ludzi po samym zapachu. Nie chciał takich u siebie.

Mimo tych przelotnych uśmiechów, jakie pojawiały się na jej ustach na wspomnienia miasta, zawsze chciała się stąd wyrwać. Dopiero niedawno usłyszał, że wróciła tu po tym, jak się rozstali... Widać nie miała dokąd pójść.

Podróż była krótka. Zatrzymali się pod hotelem Gdzie Anioł Mówi Dobranoc, zwanym w skrócie przez mieszkańców, jak udało mu się dowiedzieć od taksówkarza, Dobranocką.

– Noo, to tutaj. Masz ci naszą Dobranockę – rzucił kierowca, gasząc silnik.

– To ten jedyny hotel w mieście? – spytał Mejza, powoli wyczołgując się z bagna własnych myśli.

– No tak jak mówiłem, są inne miejsca, w których można się zatrzymać na noc, ale żadne z nich nie ma do tego startu, cenowo i jakościowo. Mówię panu. Stąd jestem, to warto mi zaufać, co nie? To jak będzie, wchodzimy?

– Idzie pan ze mną?

– Taaa, muszę pogadać z właścicielem. My wszyscy się tu znamy, wiesz pan, jak jest.

Wysiedli z samochodu. Choć słońce unosiło się na nieboskłonie zaledwie od kilku godzin, to już teraz dumnie zapowiadało, że i dzisiaj nie odpuści. Mejza przewiesił torbę przez ramię i spojrzał na wznoszący się przed nim budynek. Rozpadająca się fasada, przybrudzone okna i zgaszony neonowy szyld, w którym zapewne od dawna nie było już życia.

Ruszył za taksówkarzem w stronę schodów.

– Zapomniałem spytać – rzucił w oblane potem plecy kierowcy. Choć doprawdy trudno było powiedzieć, czy te wszystkie ciemne plamy to egzotyczne palmy na hawajskim wzorze, czy uciekające przez skórę płyny ustrojowe. – Zna pan może Mariolę Mejzę?

– Kogo? Mejzę? – Zwolnił kroku i podrapał się po łysej czaszce.

– Nie mam pewności, czy na pewno tu jest... Myślałem, że może pan... Skoro wszyscy się tu znacie.

– Ha, no i w końcu mamy powód! – Zaśmiał się.

– Hm?

– Do dupeczki żeś pan przyjechał! Nie można było tak od razu? Toć chłop chłopa zrozumie. Dla kogo fatygować się do takiej dziury, gdzie psy dupami szczekają, jak nie dla kobity, co? No i mam materiał na historię dla kolejnego klienta. Powiem, że dziewczyny u nas najpiękniejsze. Że z całej Polski się tu chłopcy zjeżdżają!

– Znasz ją pan czy nie?

– Wybacz, kolego, nie kojarzę żadnej Mejzy. Jesteś pewien, że ona jest stąd? Takich miast jak to to w okolicach masz na pęczki. Wszystko jedno i to samo, na jedno kopyto, o pomyłkę tu nietrudno.

Maks kiwnął twierdząco głową.

– Tak jak mówię. Pamięć bywa zwodnicza.

– Była stąd, jestem pewien... Wiem, że tu przyjechała, ale nie wiem, czy została. Mogła już wyjechać... – wyszeptał, jakby sam do siebie.

– Ano... Całkiem możliwe – odparł taksówkarz, przytrzymując Maksowi drzwi do hotelu. – Stąd się bardziej wyjeżdża, niż przyjeżdża. Ale spytamy właściciela, może on co o niej wie.

Weszli do środka. Niewielki korytarz prowadził wprost do recepcji. Drzwi zadźwięczały, gdy przeszli przez próg. Przez ten tydzień, jaki spędził w swoim biurze, na dźwięk dzwonka dostawał niemalże odruchu Pawłowa, od razu zrywał się po kartki, żeby obsłużyć ksero. Przynajmniej tu recepcja była dużo przyjemniejsza niż jego pustawa przestrzeń. Beżowe ściany, gdzieś tam kwiaty i stare, przedwojenne fotografie miasta. Za ladą nikogo nie było.

– Poczekaj pan sekundkę, dobra? Pójdę po właściciela. – Taksówkarz ruszył do niewielkiego składziku obok recepcyjnej lady, zostawiając Mejzę za sobą. Dało się słyszeć dźwięk telewizora dobiegający ze środka.

Maks rzucił torbę na ziemię i usiadł na krześle w poczekalni. Kątem oka obserwował rozmowę taksówkarza z właścicielem siedzącym w składziku. Młody chłopak, przed trzydziestką. Ubrany dość elegancko, pod kolor ścian.

Coś między sobą szeptał, ale to kierowca częściej podnosił głos. W końcu mężczyzna w beżowej marynarce wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni i agresywnym ruchem wcisnął banknot w dłoń taksówkarza, sprawiając, że ten wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i poklepał go po plecach. Mejza domyślił się, że to zapłata za przywiezienie klienta właśnie tutaj. Deficyt turystów musiał sprawiać, że hotelarze decydowali się na łapówki dla taksiarzy.

Kierowca szepnął coś ostatni raz, mocno się przy tym szczerząc, po czym wyszedł na recepcję, pożegnał się z Maksem skinieniem głowy i ruszył na zewnątrz, z powrotem do taksówki.

– Dzień dobry! – rzucił zza lady uradowany właściciel, będący też najwyraźniej recepcjonistą. – Zapraszam, proszę podejść.

Mejza podniósł się z krzesła, zaskakując samego siebie tym, jak bardzo jest ociężały. Przez moment zapragnął tylko wskoczyć do hotelowego łóżka, nie odbierać telefonu od klienta z pytaniami o postępy i przespać resztę dnia. Podszedł do mężczyzny za ladą.

– Jaki pokój pana interesuje, jedynecka? Dwójeczka?

– Jedynecka, z prywatną łazienką.

– Jest pan pewien? Może jednak większe łóżko się przyda? – Recepcjonista chyba chciał mrugnąć okiem, ale wycofał się z tego, gdy natrafił na ponurą ścianę twarzy klienta. Skończyło się na jakimś niezręcznym paralitycznym geście, jakby dostał wylewu.

– Dzięki. Pojedyncze łóżko w zupełności wystarczy.

Właściciel przełknął ślinę i wycofał się odrobinę pod ścianę.

– Taksówkarz wspomniał, że szuka pan... kobiety? Dobrze mówię?

– Facet sporo gada.

– Mam nadzieję, że fakt, że tej pani tutaj nie ma, nie sprawi, że zaraz obróci się pan na pięcie i odjedzie, co? Myślę, że warto u nas zostać na parę dni, miasto ma swoje uroki i dużo do zaoferowania, proszę mi wierzyć. A co do towarzystwa... Jestem pewien, że uda się nam coś wykombinować i w tym zakresie... – Kolejny raz głośno przełknął ślinę. Po chwili jego twarz opromienił szeroki, sztuczny uśmiech. – Przecież tego kwiatu jest pół świata! Nieprawdaż? Jedna ładniejsza od drugiej... T-to jak będzie?

– Pojedyncze łóżko i prywatna łazienka. Jak nie masz pan takiego, to zawsze mogę pójść do konkurencji.

– Ależ mam. O-oczywiście, że mam. Mógłbym prosić o nazwisko?

– Mejza.

– Panie Mejza, na ile miałyby być rezerwacja?

– Na razie na resztę weekendu, do poniedziałku, potem zobaczymy.

– Rozumiem, rozumiem... – Mężczyzna przeglądał coś na laptopie. – Mam coś w sam raz dla pana. Dodatkowo naliczamy opłatę miejską plus dopłata do wi-fi... To będzie pięćset złotych, panie Mejza.

Maks kiwnął tylko głową.

– Płatne... z góry.

– Są śniadania?

– Tak, zapewniamy naszym gościom śniadanie w restauracji. Tutaj, zaraz za rogiem.

Mejza zaczął grzebać w portfelu, licząc banknoty. Rzucił na ladę pięćset złotych. Recepcjonista zgarnął je w okamgnieniu zręcznym ruchem dłoni, jakby obawiał się, że klient zaraz się rozmyśli, ale po chwili na ladzie wylądowała kolejna stówka. Mężczyzna w beżowej marynarce przyglądał się jej chwilę w zdziwieniu, zastanawiając się, czy ma właśnie do czynienia z napiwkami. Spojrzał na milczącego Maksa, potem znowu na banknot. To na klienta, to na banknot. Uśmiechnął się i już miał go chwycić, gdy detektyw przygwoździł papierek do lady zdjęciem dziewczyny, wbijając w nie palec wskazujący.

– Natalia Wolczak, zna ją pan? – Odślonił zdjęcie, zabierając palec.

– Wolczak... – Mężczyzna mrużył oczy, przyglądając się leżącej na stówce fotografii. – Natalia Wolczak... Przyznam, że jestem trochę zbity z tropu... Taksówkarzowi podawał pan zupełnie inne imię. Wspominał o jakiejś Mariolce.

– Coś mu się pomyliło. Interesuje mnie ta kobieta.

– Na pewno? Bo moim zadaniem jest zorganizować panu wszystko tak, żeby spędził pan weekend swoich marzeń. Kwestię towarzystwa możemy omówić...

– Wróćmy do dziewczyny ze zdjęcia, dobra?



Recepcjonista jeszcze raz nachylił się nad fotografią.

– Czemu pan o nią pyta, jeśli można wiedzieć? To przecież mężatka.

Mejza westchnął głośno.

– Czyli ją pan zna.

– Nazwisko Wolczak nic mi nie mówi, ale to jedna z tej bandy dziwaków mieszkających w wiosce. Chociaż na zdjęciu wygląda dużo korzystniej niż teraz... Zmarniała...

– Dziwaków?

– Szczerze, jak tak teraz patrzę, to nawet nie mam pewności, czy to ona... Wygląda jak laska tego byłego psychiatry z wioski. Czy tam psychologa... Widziałem ją tylko kilka razy. Czasem wpadają do miasta całą gromadą zrobić jakieś spożywcze zakupy. Snują się wtedy jak banda zombie... Nie dosłyszałem, czemu pan o nią pyta?

– Jestem z opieki społecznej.

– Oho, czas najwyższy, żeby się ktoś tej patoli przyjrzał.

– Patoli?

– No...

– Jakie patologiczne zachowania ma pan na myśli? Alkohol, narkotyki?

– Co? Nie. Nie wiem w sumie, może coś tam biorą... Chociaż skąd niby mieliby na to kasę, bieda tam aż piszczy. Chodzą jacyś tacy brudni i odrapani.

– Jak zarabiają na życie?

– Kto?

– Ten psycholog i dziewczyna.

– Chyba nijak. W mieście nie pracują... Mają tam jakąś ziemię, pewnie żyją z uprawy. Albo utrzymują ich ci, co z nimi mieszkają. Wie pan co, może niech mnie pan lepiej nie pyta...

– A jak tam jest z dziećmi? Chodzą zadbane? Wyglądają na głodne?

– Dzieci? Nie wiem, nie widziałem z nimi dzieci. Proszę, oto klucz do pana pokoju. – Rzucił na ladę podłużny klucz z zawieszka z numerem. – Wolałbym się nie wypowiadać na ich temat, nie wiem za bardzo, co się tam dzieje.

– Rozumiem. – Mejza zgarnął klucz. – Kursują tam z miasta jakieś autobusy? Będę musiał złożyć im wizytę.

– Autobusy? To kilka chat na środku pola, nie mają przystanku. Do miasta chodzą z buta. Pan dojedzie tam taksówką, jeśli będzie trzeba. To niedaleko.

– Ile osób tam mieszka? W tej wiosce.

– Dokładnie to nie wiem. Może kilka. Niech pan posłucha... Nie chcę się w to mieszać. Coś panu nagadam, a potem będzie na mnie. Oni są jacyś dziwni, nie chcę, żeby mnie tu nachodzili...

– A ma pan co na nich nagadać? – Mejza kiwnął głową w kierunku przygwożdżonej zdjęciem stowy. – Interesuje mnie tylko ta dziewczyna. Ona... i jej dziecko.

– Nigdy nie widziałem jej z dzieckiem.

– Czyli nie ma dzieci?

– Nie wiem. Mówię tylko, że nigdy z nią żadnego nie widziałem.

– Rozumiem. Więc proszę mi wybaczyć, ale wypadło mi sto złotych. Już je chowam...

– No dobra, powiem coś panu... Tylko nie słyszał pan ode mnie.

– Będę milczał jak grób.

– Mieszka tam dwóch gości, byłych kryminalistów. Słyszałem, że mieli powiązania z mafią. Jeszcze z lat dziewięćdziesiątych... Handel nielegalnymi lekami, sterydy i takie tam... Kiedyś pracowali w szpitalu jako pielęgniarze. Sami wyglądają na napompowanych tak mocno, że wystarczy ukłucie szpilką, a odlecą ze świstem. Dlatego niechętnie o nich gadam. Jeszcze mi wyrwą ten długi jęzor i tyle będę z tego miał.

– Policja nic z nimi nie robi?

– A co mają robić? Chłopaki odsiedziały swoje. Tak czy owak, to mogą być tylko plotki, ale...

– Ale?

– Słyszałem, że na tej wiosce rozkręcili nowy biznes. Burdel mianowicie. Chyba wynajmują od doktora lokum w tej jego wiosce. Lokalizacja idealna, niedaleko za miastem i policja tam prawie nie zagląda, więc...

– Burdel?

– Tak słyszałem.

– Skąd?

– Miałem tu dosłownie przedwczoraj klienta. Całkiem młody facet, taki tam blondynek, tylko było z nim coś nie tak. Mam wrażenie, że przez cały pobyt nawet na moment nie wytrzeźwiał. Mało tego, wyglądał, jakby non stop płakał. Ciężko było go zrozumieć, bo ciągle mamrotał, ale udało mi się wyciągnąć z niego, że rzucił swoją byłą dziewczynę. Ciągle to powtarzał...

– Jak można rzucić byłą?

– Nie analizowałem specjalnie tego bełkotu. Tak czy owak, pierwszej nocy przechodził obok recepcji nachlany i chlapanął mi to i owo.

– No i co takiego się rozlało po tym chlapaniu?

– Chwalił się, że jedzie na tę wioskę. Że znajomy obiecał mu tam ruchanko życia, udział w... W orgii... Powiedział, że to odhaczy i może już umierać.

– Umierać?

– Tak się mówi. Jak się pan na przykład najesz czegoś dobrego i leżysz tak z wyдутym brzuchem, „teraz mogę umierać”.

– No tak. I to tyle? Dostał to, czego chciał?

– Nie mam pojęcia. Na drugi dzień się wymeldował i tyle go widziałem. Ale skoro pan tam jedzie i na dodatek twierdzi pan, że są tam jakieś dzieci, to może warto się temu przyjrzeć, co?

Mejza zabrał palec z banknotu, po chwili schował zdjęcie do kieszeni. Recepcjonista zmieszał się jeszcze mocniej. Zastanawiał się, czy wypada mu sięgnąć po leżące luzem pieniądze.

– Nie wiedziałem, że opiekę społeczną stać na takie numery...

– Numery?

– Kasa za informacje? To jakieś takie... nie wiem, nie pasuje mi do urzędnika opieki społecznej.

– Nas nie stać... Pana stać. Kasa na te moje „numery” i tak idzie z waszych podatków. Więc po prostu weź, co twoje. – Mejza jeszcze raz zerknął zachęcająco na wymięty banknot. Po chwili pieniądze spoczęły w kieszeni właściciela hotelu. – W razie czego mogę na ciebie liczyć? – spytał, zbierając klucz z lady.

– O każdej porze dnia i nocy, panie Mejza. O każdej porze...

\* \* \*

Miał wrażenie, że głód wierci mu w żołądku dziurę, a soki trawienne wylewają się na resztę wnętrzości, powoli go pochłaniając. Jeszcze chwila, a zostałyby pustą wydmuszką, powłoką bez wnętrzości. Dochodziła jedenasta, musiał znaleźć coś do jedzenia.

Rzucił torbę na łóżko, nawet się nie rozpakowując. Uznał, że po prostu będzie na bieżąco wyciągał z niej to, co mu potrzebne, nie było sensu się tu urządzać.

Niechętnie rzucił okiem na przestrzeń dookoła. Pokój hotelowy stanowił pewną odmianę w porównaniu z tym, w którym mieszkał na stałe. Nie mógł powiedzieć, czy miłą, ale odmianę. Był dobrze oświetlony, pomalowany na pastelowe kolory. Elegancko zastrzyżone łóżko pachniało płynem do zmiękczenia tkanin. Na ścianie wisiały kojące malowidła górskiego krajobrazu.

Czuł się jakoś nieswojo w tym klimacie. Jakby... Jakby ktoś o niego zadbał. Już od dawna czegoś takiego nie doświadczył. Potrafił wyobrazić sobie rodzinę z dzieckiem zamieszkujących podobny pokój w trakcie urlopu nad jeziorem, ale nie siebie.

Jego dotychczasowe mieszkanie przypominało mu sarkofag. Tak samo zwykł je też nazywać w myślach. Sarkofag. Ciemne, mroczne miejsce, w którym co noc składał swe ciało. Pochowane już za życia, bo do stwierdzenia zgonu wcale nie trzeba było nasłuchiwać bicia serca.

Wystarczyło spojrzeć w oczy.

Owszem, mógł coś zmienić, gdyby tylko chciał. Pomalować ściany na jakieś przyjemniejsze barwy, tu i ówdzie zawiesić wesoły obrazek albo chociaż raz na jakiś czas odsłonić te cholerne zasłony, gdy był w środku. Mógłby, ale nie chciał. Traktował te warunki jak karę, którą sam na siebie nałożył. Problem w tym, że topiony w alkoholu mózg zaczynał zapominać, za co się ukarał. Dopiero teraz, w tym miejscu, stare wspomnienia zaczynały być żywe jak nigdy dotąd.

Przez oczy przemknęły mu obrazy pewnej odległej, a zarazem wydającej się dzieć wczoraj nocy. Ostatniej, w której wszyscy byli naprawdę razem. On, Mariola... I dziecko wylegujące się w jej łonie. Ich córka.

Stanął sztywny jak struna, wpatrując się w przejeżdżające za oknem samochody. Wspomnienia przybyły w towarzystwie potwornego bólu głowy.

Kolejny atak.

Zgiął się wpół, łapiąc za skronie. *To minie, Mejza, zaraz minie, spokojnie*, powtarzał w myślach raz za razem.

Nagle zrobiło się ciemno, słyszał krople deszczu rozbijające się o maskę samochodu. W uszach dźwięczał sygnał o niezapiętych pasach, przed oczami migają mu awaryjne światła. Usłyszał też muzykę. Znowu. Utwór *Late Goodbye* zespołu Poets of the Fall.

Zacisnął mocno powieki i rozejrzał się w panice, próbując znaleźć źródło dźwięku, ale nie dostrzegł żadnego radia w zasięgu wzroku. Dopadł do okna, myśląc, że może muzyka dobiega z ulicy, ale nie... Stojąc przy oknie, nagle się ocknął. Zdał sobie sprawę, że nie pada. Słońce świeciło mocno jak nigdy. Muzyka ucichła. Ból odszedł.

Musiał się napić.

Odkręcił butelkę wody zabranej ze stolika i pociągnął łyka. Czuł, jak ciecz nieprzyjemnie przelewa się w stronę pustego żołądka, który bolał go jak diabli, zalany wcześniej na pusto setką wódki. Ostatni dzwonek na to, żeby coś zjeść, zanim będzie naprawdę źle.

Ruszył na zewnątrz, chcąc zdążyć przed największym upałem. Swoje kroki skierował prosto do restauracji przy hotelu. Na talerz nałożył po trochu wszystkiego ze szwedzkiego bufetu i nalał sobie do tego dużą kawę. Gdy już się usadowił, zaczął jeść niemal jak barbarzyńca. Połykał kolejne porcje smażonych kiełbasek niemal bez zucia, chcąc jak najszybciej zapchać puste bebecchy.

Oprócz niego w restauracji był tylko jeden gość. Młody chłopak w okularach i czarnej koszuli. Mógł mieć ze dwadzieścia pięć lat. Popijał kawę, stukając w klawiaturę swojego MacBooka i raz po raz posyłał w stronę Mejzy spojrzenie pełne pogardy. Pomieszczenie wypełniały jedynie dźwięki sztucców i jedzenia.

Gdy tylko skończył jeść, zauważył, że chłopak odetchnął z ulgą, głośno, wręcz teatralnie, jakby chciał, żeby Mejza go usłyszał. Postanowił puścić to mimo uszu. Wypił kawę kilkoma szybkimi łykami i przywołał do siebie kelnerkę, domawiając jeszcze drinka. Dziewczyna spojrzała na niego milcząco, co Mejza skomentował, mówiąc, że jest tu na wakacjach.

Pierwszy łyk chłodnej whisky był jak strzał z defibrylatora. Znowu przez chwilę poczuł się dobrze, tylko chłopak naprzeciwko go irytował, bo non stop taksował go tym gorzkim wzrokiem, jakby go oceniał.

– Pisz ten swój artykuł – rzucił do niego Mejza, nie mogąc już wytrzymać. – Nie zwracaj na mnie uwagi, zaraz sobie pójdę.

– Co? – odparł chłopak, wyraźnie zmieszany. Mimowolnie rozejrzał się po sali, jakby próbował się upewnić, że mężczyzna sączący alko przed południem na pewno zwraca się do niego. – Skąd pan wie, że ja...

– To małe miasto, ludzie gadają... Jest czwartek, nie ma jeszcze dwunastej, wszyscy są w pracy. Kto z miejscowych siedziałby o tej porze w restauracji? Myślisz, że lokalsi jadają śniadania na mieście? A turystów mają tu tylko dwóch. Matematykę zostawiam tobie.

– Dwóch?

– Ciebie i mnie.

Chłopak milczał przez chwilę. Niecierpliwie wiercił się na krześle i wodził wzrokiem po sali. Spojrzał na zegarek, po chwili zamknął laptop, wsadził go sobie pod pachę, chwycił za filiżankę z kawą i szybkim, agresywnym krokiem podreptał w stronę stolika, przy którym siedział Maks. Przysiadł się.

– Słuchaj – mówił bardzo szybko, wzrok miał rozbiegany. Zerkał na wszystko, tylko nie na rozmówcę. – Ludzie tutaj już teraz nie są zbyt rozmowni. Nie wiesz, jaka to katorga gadać z tymi wieśniakami... Nie licz na tanią sensację i jakieś ciekawe komentarze. Już teraz muszę z nich wyduszać każde zdanie. Jak myślisz, co się stanie, jak zaraz włączy się kolejny i będzie pytał o to samo? Jesteś na straconej pozycji, już teraz ci to mówię. Wiesz, taka przyjacielska rada kolegi po fachu. Szkoda czasu... Skąd cię przywiało? Z „Kuriera”? Mam tam ziomka, Małek, może kojarzysz... Dlatego wyświadczę ci przysługę i dam ci odpisać co nieco, będziesz miał co wrzucić w artykuł... Pozdrów ode mnie Małka, jak już wrócisz do siebie...

– Spokojnie. – Mejza pociągnął łyk alkoholu. – Jak będziesz mówił tak szybko, to się udusisz.

– Wiążę spore nadzieje z tym artykułem. Bądźże człowiekiem, oferuję przecież, że pozwolę ci skorzystać z części mojej roboty. Łatwa kasa, tylko nie wchodź mi tu w drogę. To małe miasto, jak mówiłeś. Zaraz się rozejdzie, że nas dwóch tu węszyć i...

– Powiedziałem, żebyś się uspokoił. Nawet nie wiem, o co ci chodzi.  
– Nie dosłyszałem, jak mówiłeś, skąd jesteś. Z „Kuriera”, tak?  
– Nie, nie z „Kuriera”.  
– „Poranny”?  
– Nie jestem dziennikarzem.  
– Co? – Chłopakowi wywaliło w mózgu jakiś błąd. Na chwilę się zawiesił. – Nie?  
– No nie. Ale miałem nadzieję cię tu spotkać... – Uśmiechnął się szpetnie, po czym sięgnął dłonią do kieszeni marynarki.  
– Co? Mnie? W jakim sensie? Znamy się? Zaraz, kim jesteś?  
– Maks Mejza. – Podał chłopakowi wizytówkę.  
Dziennikarz szybkim ruchem wsunął okulary głębiej na nos, mimo szkielec wciąż mrużył oczy, badając uważnie kawałek tektury z danymi kontaktowymi.  
– Detektyw? Jaja sobie robisz?  
– Ani myślę. Potrzebuję informacji, które możesz mieć. Jak mi pomożesz, to obsypię cię złotem, co ty na to?  
– Czego prywatny może szukać w takiej dziurze, a tym bardziej czego może chcieć ode mnie? Nie wiem, kto tu kogo zdradza i kto z kim rucha się po kątach. To w ogóle nie moja działka. – Chłopak odsunął się nieco od stolika, jakby chciał wstać.  
– Chcesz drinka? – Mejza skinął w stronę szklanki.  
– Nie piję.  
– Może powinieneś zacząć, to wycisza... Słuchaj, mnie też nie obchodzi, kto z kim i co. Nie szukam tu niewiernych małżonków.  
– To czego?  
– Pisziesz artykuł na temat tego incydentu z wiertarką, tak?  
– Ha! Incydentu, dobre sobie... Jesteś pewien, że nie jesteś stąd? Brzmisz zupełnie jak lokalna policja...  
– A co, myślisz, że to było coś więcej?  
– Dowiesz się z artykułu. Obsmaruję tu wszystkich, zarówno policję, jak i lokalnych dziennikarzy. Nikt nie przyjrzał się sprawie tak jak ja. Lista uchybień jest długa i szeroka.  
– To co odkryłeś?  
– Dlaczego cię to w ogóle interesuje?  
– Zboczenie zawodowe, kiedyś byłem psem. Psem tropiącym... Może piwo?  
Mężczyzna pokręcił przecząco głową, sprawiając, że zsunęły mu się okulary. Z powrotem wcisnął je na nos. Mejza zamówił kolejnego drinka.  
– To nie tłumaczy, po co mnie wypytujesz – ciągnął chłopak. – Kto jest twoim klientem?

– Wiesz, że nie mogę tego zdradzić. Słuchaj, sprawa tej dziury w brzuchu niespecjalnie mnie interesuje. Ciekawi mnie tylko, czy byłeś w wiosce. Może ktoś stamtąd był świadkiem i miałeś okazję tam zajrzeć?

– W wiosce?

– Mieszkańcy nazywają tak ten dworek za miastem.

– Tak, wiem o tym. I jaki masz tam interes?

– Potrzebuję informacji na temat ludzi, którzy tam mieszkają. Możesz mi z tym pomóc? Płacę za wszystko, co może okazać się przydatne.

– Pytasz o wioskę i nie jesteś dziennikarzem?

– Co ma jedno do drugiego? Już ci powiedziałem, czym się zajmuję.

– I mówisz, że nie chodzi ci o Wieśka?

– Kogo?

– Wiesław Bryza, ten szkolny dozorca. Mieszkał w wiosce. To nie tajemnica...

– Nic mnie on nie... Czekaj. Ten cieć od wiertarki tam mieszkał?

– No przecież mówię. Hmm... Nie wiedziałeś... Czyli twojego klienta interesuje ktoś inny... Także z wioski... – Chłopak zmrużył oczy. – Słuchaj, może będziemy w stanie pomóc sobie nawzajem, co?

– Już zaoferowałem ci pomoc. Pomoc finansową, nie wiem, czego jeszcze...

– Mówisz, że byłeś psem tropiącym. Śledczy, tak? – Chłopak zamyślił się, jakby coś analizował, jego tempo wypluwania z siebie słów gwałtownie zmalało. – Dobrze zrozumiałem?

Mejza pokiwał głową.

– Jaki wydział?

– A jaki ci potrzebny?

– Oho, patrzcie jaki. Więc znasz się na robocie... Nie potrzebuję hajsu twojego klienta, potrzebuję pomocy z tą sprawą. Powiem ci, co wiem o ludziach z wioski, a ty mnie wysłuchasz i powiesz, czy idę w dobrym kierunku, co ty na to?

– A skąd niby będę o tym wiedział? Słuchaj, młody, nie mam czasu na takie zabawy. Po prostu weź pieniądze i...

– To byłeś śledczym czy nie? Masz jeszcze jakiś instynkt czy te procenty zabiły w tobie tropiciela?

– Ech... Dobra, mów... – Mejza westchnął teatralnie, jakby chciał to już mieć za sobą. – W czym rzecz?

– Słyszałeś kiedyś o świadomości zbiorowej? Może pamięci zbiorowej?

– Do brzegu, młody...

– No przecież płynę. Więc tak, każdy świadek tego rzekomego „incydentu z wiertarką” zaświadcza, że widział, jak woźny się przewraca. Nie wiem, czy udało ci

się już dotrzeć do takich informacji, a pewnie nie udało, bo ludzie, którzy zdawali z tego zdarzenia relacje w mediach, to banda miernot... Ale wracając do tematu... Ten cały pan Bryza, serdeczny pan Wiesiek, był niepełnosprawny, zarówno fizycznie, jak i umysłowo... Miał problemy z poruszaniem się, mianowicie kulał i tak jakby taszczył za sobą jedną nogę, jakby mu ciążyła... No wiesz... Był też nieco opóźniony. – Dziennikarz upił trochę kawy. – Z tego, co słyszałem, a informacje zbieram, od kiedy tu przyjechałem, to był znanym i lubianym w mieście człowiekiem. Dostał robotę woźnego w szkole w ramach jakiegoś programu aktywizacji osób upośledzonych i z tego, co się dowiedziałem, naprawdę dobrze sobie tam radził, nadawał się do takich prac. Taki złota rączka. Widziałeś kiedyś, żeby ktoś gdzieś nie lubił woźnego? No właśnie... Lubimy tych, co wykonują ten zawód, bo dzięki nim czujemy się lepsi... Jakkolwiek nie poszło nam w życiu, to nie latamy z mopem i nie sprzątamymy po dzieciakach w szkole...

– Do niedawna byłem ochroniarzem w sklepie, nie czułem, żeby ktoś mnie z tego powodu darzył jakąś sympatią...

– Ja tu mówię o woźnym.

– Mnie też nazywano cieciem.

– To nie to samo... Ty denerwowałeś ludzi, nie im pomagałeś. No, ale słuchaj dalej. Upośledzenie sprawiało, że wszyscy traktowali go jak niewinne dziecko. Ważne, że zawsze mówił „dzień dobry” i szeroko się uśmiechał, to wystarczyło, żeby każdy miał już w głowie jego obraz. Obraz niegroźnego półgłówka... Choć nikt się nie przyzna, to właśnie tak o nim myśleli. Wiem, bo byłem w stanie usłyszeć to między wierszami.

– Do czego zmierzasz?

– Tutejsza policja również uległa tym uprzedzeniom... To jedno z pierwszych uchybień, o których ci wcześniej wspomniałem i które mam zamiar opisać w moim artykule. W ogóle możemy przejść na ty? Bo już to zrobiłem.

– Maks.

– Piotr, Piotr Różycki.

– O jakich uchybieniach mowa, Piotrze?

– Widziałem protokoły z przesłuchań, dogadałem się tu z jedną policjantką, z którą znam się z dawnych lat. Chodziliśmy razem do podstawówki, dojeżdżała do mojego miasta i tak się złożyło, że po latach znowu na siebie wpadliśmy... No, ale mniejsza z tym. Udostępniła mi te protokoły po znajomości. Wiesz, od jakiego pytania gliniarze zaczynali przesłuchanie? „Czy widział pan wypadek?” „WYPADEK” – wyartykułował głośno. – Dasz wiarę? Banda amatorów. Przecież to sugestia, no nie? Jako gliniarz chyba też to widzisz?

Mejza parsknął pod nosem.



– Mniejsza, ale jak to potem mogło wyglądać, co? Świadkowie zderzali sugestię leniwych policjantów odnośnie do rzekomego wypadku z obrazem Wiesława, dobrodusznego woźnego półgłówka... Oczywiście, że każdy zaświadczył, że widział ten cholerny „wypadek”... Widział, jak tamten się potyka o własne nogi i nurkuje z rozpedzonym wiertłem w brzuchu ciężarnej. Przecież skoro wszyscy świadkowie widzieli, że to wypadek, to nikt nie wyjdzie przed szereg i nie powie, że coś tu nie gra. Nikt nie będzie katem biednego upośledzonego woźnego. Ech... Widziałem fotki z miejsca zbrodni... to znaczy wypadku. Słabo po tym sypiam...

– Na takie stany są sposoby. – Mejza uniósł szklankę do ust.

Chłopak obrzucił go roztargnionym spojrzeniem.

– Tak czy owak, zacząłem przy tym węszyć nie dlatego, że mam jakiś dziennikarski instynkt, co to to nie. Chciałem przyjechać do tej dziury, zebrać trochę informacji i uciec jeszcze tego samego dnia... Szef wysłał mnie tu tylko na parę godzin, wiesz... Ale ja wziąłem urlop, powiedziałem, że zostanę i odpocznę tu kilka dni. Wszystko dlatego, że pogadałem sobie trochę z mężem tej ciężarnej... Jako jedyny twierdził, że gość z premedytacją wbił jego ukochanej wirujące wiertło w brzuch. Nie „wypadek”, rozumiesz? Żaden wypadek... Tylko morderstwo.

– Aha...

– Co?

– Taka sprawa to musi być niezła trampolina, co?

– Trampolina? O czym ty...

– Przepustka do większej kariery. „Młody, nieznany nikomu dziennikarz dokonuje przełomu w śledztwie, z którym nie poradziła sobie policja!”

– Nie rozumiem...

– Ty pijawko.

– Co w tym złego? Jeśli przy okazji odkryję drugie dno, to wszyscy na tym zyskają. Nie tylko ja.

– Kto jeszcze?

– Choćby mąż. Zasługuje na prawdę. Powinien wiedzieć, czemu jego dziewiętnastoletnia żona ogląda dziś wieko trumny od spodu.

– I prawda mu pomoże?

– Prawda sprawi, że pozwoli żonie odejść. Przez wątpliwości ciągle będzie utrzymywał ją przy życiu. Nie ruszy dalej. Słyszałem, że tak to działa... Mam znajomych psychologów.

– Sporo masz tych znajomych.

– Opłaca się ich mieć.

– I dlatego zostałeś dłużej i badasz tę sprawę? Żeby szlachetnie pozwolić facetowi ruszyć dalej? Słuchaj, jeśli lata, jakie spędziłem w policji, czegokolwiek mnie nauczyły i mogę ci tę wiedzę przekazać, to tego, że nie można sugerować się zeznaniami najbliższych w okresie szoku czy żałoby. Mówisz o zbiorowej świadomości czy tam pamięci, ale pamięć osób najbliższych emocjonalnie ofierze jest równie wypaczona. Pamiętają to, co chcą pamiętać. Racjonalizują sobie to, co się stało, szukają przyczyn i winnych. Chcą zemsty...

– Ale słuchaj, tam nie było nawet co wiercić! Był jakiś sufitowy wiatrak do naprawy, ale co on chciał tam robić wiertarką?

– Marny ze mnie złota rączka, nie wiem, czy mogę się tu wypowiadać...

– Powiedz mi tylko, że też to widzisz. Że coś tu śmierdzi. Policja zwała kiepski dobór narzędzi na opóźnienie umysłowe tego typu. Świadkowie też uznali to za całkiem normalne...

– Chcesz mojego błogosławieństwa? O to ci chodzi? Powiem ci tak, gość dostanie nieumyślne spowodowanie śmierci. Siedzieć i tak nie pójdzie, jeśli był chory, trafi do specjalistycznego zakładu... Po co się przy tym grzebać, skoro i tak zaraz zejdzie z ulic?

– To było morderstwo, z zimną krwią... Wiem to, wiem, bo z nim rozmawiałem.

– Gadałeś z tym całym Wieśkiem?

W tym momencie przerwała im kelnerka, pytając, czy życzą sobie czegoś jeszcze. Mejza spasował, ale młody domówił jeszcze jedną kawę. Maks nieustannie obserwował jego drgające powieki, rozbiegany wzrok i nogi podskakujące pod stolikiem tak mocno, że gdyby nie wypił drinka tak szybko, to połowa byłaby już rozlana. Za czasów policji widział takie stany zbyt wiele razy, by nie stwierdzić, że ma do czynienia z kimś pod wpływem narkotyków, ale chłopak wydawał się dość ułożony, poza tym niewiele go to obchodziło, więc uznał, że dziennikarz od rana musiał wypić już hektolitry kofeiny i stąd to zachowanie.

– Ta policjantka, o której wcześniej mówiłem... – ciągnął dziennikarz. – Załatwiła mi możliwość krótkiego pogadania z tym woźnym. Ciągłe trzymają go w mieście, ale planują niedługo wywieźć do aresztu śledczego czy innego ośrodka, nie wiem... Tak czy owak, gadałem z nim.

– I co?

– Nie wydawał się chory, przynajmniej nie tak, jak to sobie wyobrażasz... On był jakby... Obłąkany? Tak, chyba tego słowa szukam. Obłąkany.

Mejza odsunął od siebie pustą szklanekę, przez chwilę obserwował, jak targane drgawkami ciało chłopaka nagle się zatrzymuje.

– Przez większość czasu bredził trzy po trzy, nic nie potrafiłem zrozumieć z tej jego gadaniny, ale było coś, co przewijało się w jego wypowiedziach nieustannie... – Chłopak spuścił głowę tak nisko, że niemal zleciały mu okulary. Wbił wzrok w filiżankę kawy przed sobą. – „Nie powinny sprowadzać nowych”. Ciągłe to powtarzał... „Suki nie powinny sprowadzać tu nowych”. I wiesz co? To samo powiedział tuż przed morderstwem. Tak mówi ten mąż.

Trwali przez chwilę w milczeniu, po chwili na stoliku wyładowała kolejna filiżanka kawy. Dziennikarz pozdrowił kelnerkę niewyraźnym uśmiechem i zanurzył usta w czarnej jak smoła cieczy.

– Zdążyłeś spytać, co ma na myśli? – zapytał po chwili Mejza.

– Nie, zaraz potem zaczął tak się drzeć, że moja znajoma musiała mnie wyprowadzić z celi, bała się przypału.

– Słuchaj... – Maks westchnął głośno. – Tak jak mówiłeś... Chory człowiek bredził, co mu ślina na usta przyniosła. To w ogóle nie tłumaczy jego zachowania, nie wskazuje na jakąś celowość.

– Myślisz?

– Chciałeś mojej opinii, to masz. Każdy psychiatra, a na pewno masz jakiegoś wśród znajomych, powie ci to samo. Już analizowanie słów zdrowych na umyśle ma niewiele sensu, a co dopiero jakichś świrów. Brnięcie w to tylko zmarnuje twój czas.

– Pytałeś mnie o wioskę... – Chłopak z nieco zrezygnowaną miną po raz kolejny wbił wzrok w filiżankę. – Wiesz, że zaraz po spotkaniu z woźnym postanowiłem się tam udać? Wiesz, popytać trochę o niego... Jaki był, jak się zachowywał, czy coś mogło sugerować, że tak postąpi... Standardowy zestaw pytań. Miałem nadzieję, że mieszkańcy choć trochę przybliżą mi jego postać. Skoro z nim mieszkali, to musieli coś wiedzieć... Generalnie poszedłem tam trochę powęszyć...

– Niech zgadnę, z miernym skutkiem? – Mejza poprawił się w krześle. Wyjął z kieszeni marynarki niewielki notatnik i długopis, po czym starannie ułożył ten zestaw na stoliku przed sobą.

– Dotarłem pod bramę tego całego dworku... Dziura zabita dechami... Przeszedłem drewnianą kładką nad wyschniętą rzeką i zatrzymałem się przy jakiejś rozpadającej stodole pod bramą. Nie wiem, co to było dokładnie... Strażnica? Tak czy owak, ze środka zaraz wyskoczył jakiś gość. Łysy i chudy jak szkielet, twarz bladofioletowa. Nawet o nic nie spytał, tylko gapił się we mnie wybałuszonymi oczami, jakby miał zatwardzenie... Ja do niego, że przyszedłem wypytać o Wiesława Bryzę, że byłem jego znajomym i inne ściemy, a ten nic, gapił się tylko. Uznałem, że to jakiś kolejny wariat, że walić go i idę do środka. Wyminąłem typa i idę pewnym krokiem pod bramę... Po chwili czuję, jak coś ściska mnie za ramię... Cholernie mocno mnie ściska...

Odwrociłem się, a tam jakiś zupełnie inny typ, nie widziałem go w stodole. Gość był wielki jak góra... I znacznie bardziej rozmowny. Spytał, jak może mi pomóc i po co chcę wejść do środka, ale mojej ręki nie puszczał... Rozmawiał z uśmiechem na twarzy, ale zaciskał dłoń coraz mocniej... W końcu powiedział, że ten cały woźny nigdy u nich nie mieszkał, że go nie zna, i kazał opuścić teren prywatny. Tamten drugi z wyłupiastymi oczami tylko przeskakiwał z nogi na nogę, denerwował się tym bardziej, im bliżej bramy byłem... W końcu się wyrwałem i już chciałem opierdzielić typa, że co on sobie wyobraża, że to już napaść i w ogóle, ale jak spojrzałem mu w oczy... Dziś sam nie wiem, co w nim było, ale słowa wtedy stanęły mi w gardle i za nic nie chciały z niego wyjść. Wydukałem jakieś losowe samogłoski jak ostatnia pizda i uciekłem... Więcej się już tam nie pojawiłem.

– Czyli nic się nie dowiedziałeś... – Mejza pokręcił głową z rozczarowaniem.

– Właśnie dużo się dowiedziałem... Dowiedziałem się, że coś tam mocno nie gra. Każdy w mieście wiedział, że ten dozorca mieszka w tym dworku. Po co kłamali?

– I nikogo nie widziałeś oprócz tych dwóch typów? Ktoś wchodził, wychodził?

– Widziałem tylko, jak firanki chodzą w wysokim domku za bramą. Obserwowali mnie...

– Żadnych dzieci?

– Co? Dzieci? Nie widziałem dzieci.

– W ogóle mi nie pomogłeś... Sam będę musiał się tam wybrać w takim razie.

– Ej! Powiedziałem ci wszystko, co wiem! Pan pomocny się znalazł... Sam też mi nic takiego nie powiedziałeś. Od byłego gliny oczekiwałem jakichś wskazówek, sam widzisz, że ta sprawa wali na kilometr!

– Nie ekscytuj się tak, nic tu nie widzę... Przyjechałem kilka godzin temu, a ty zanudzasz mnie jakąś lokalną sprawą.

– Zginęła kobieta w ciąży!

– Codziennie ktoś ginie.

– A ty, czego w ogóle szukasz w tej wiosce?

– Nie czego, tylko kogo... Czyli mówisz, że nie przelazłeś za bramę?

– Opowiedziałem ci wszystko tak, jak było. Jestem pewien, że ciebie też tam nie wpuszczą bez jakiejś dobrej bajeczki.

– W tym problem, że żadnej nie mam... Pojadę tam dziś, rozejrzę się...

– Słuchaj, gdyby jednak udało ci się nakłonić kogoś do rozmowy... Mógłbyś popytać o tego Wieśka? Każdy szczegół z jego życia będzie miał znaczenie dla artykułu.

– No nie wiem, brzmi jak przysługa. Masz coś na handel?

– Mam trochę znajomości, gdybyś chciał, to...

– Ta policjantka.

– Co z nią?  
– Umów mnie z nią na wieczór.  
– Co?! Oszalałeś? Czemu miałbym to zrobić? To młoda dziewczyna, zresztą ja sam...

– Spokojnie, kowboju, chcę z nią tylko pogadać o kilku osobach stąd. Załatw mi to, a masz moje słowo, że jeśli na swojej drodze dowiem się czegoś o sprawie, to będziesz pierwszym, któremu to przekażę. No i puszczę mimo uszu tę sugestię, że młoda dziewczyna nie chciałaby się ze mną umówić...

Dziennikarz speszył się nieco, na czole pojawiły się błyszczące krople potu.

– Zapytam ją, ale nic nie obiecuję, OK?

– Niczego więcej nie wymagam. No! – Mejza podniósł się z krzesła, dopiero teraz poczuł, że świat lekko wiruje. – Czas na mnie. – Ucisnął dłoń Różyckiemu. – Długo jeszcze tu zabawisz?

– Jestem na urlopie, nie spieszy mi się.

– Na twoim miejscu nie napalałbym się, młody.

– Co? O czym ty...

– O sprawie. Wiem, że masz parcie, że myślisz, że wyczułeś pismo nosem i napiszesz szokujący artykuł, który sprawi, że będą odmieniać twoje nazwisko przez wszystkie możliwe przypadki, ale...

– Ale?

– Świat jest bardzo prozaiczny. Tajemnice nie czekają za każdym rogiem i nawet jeśli czasem się tak wydaje, to gdy już za ten róg spojrzymy, to zostajemy jedynie z własnym rozczarowaniem, rozumiesz? Ten twój cieć prawdopodobnie naprawdę tylko się potknął, a ty tylko tracisz tutaj czas, zamiast żyć...

– Życ? A co to niby znaczy?

– Cholera... Sam chciałbym to wiedzieć... – Mejza wyjął portfel i rzucił na stół pieniądze za drinki i kawę Różyckiego. – Zamów sobie jakąś wodę mineralną na mój koszt... Wypłucz trochę tej kofeiny, bo dostaniesz zawału...

– Powiedział gość, który przed południem wypił dwa drinki.

– Do zobaczenia, Piotrze.

– Taa... Do zobaczenia.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Tam dalej nie wjadę, sam się pan przedzieraj przez te chaszczki – rzucił z wyrzutem kierowca taksówki, zatrzymując się przy drodze. Otarł czoło z potu i zaciągnął osłonę przeciwsłoneczną. Słońce wiszące wysoko na niebie nagrzewało asfalt jak patelnię.

Maks wychylił się za okno i odpalił papierosa, choć wystarczyłoby potrzymać go przez chwilę na zewnątrz i nie trzeba by było marnować gazu w zapalniczce. Zaciągając się niespiesznie, obserwował malujący się w oddali dworek.

Niewiele było widać zza niemiłosiernie zarośniętej połaci terenu, ale stojący na środku pola pałacyk sprawiał wrażenie odpornego na pogodę. Z jego surowych murów biło coś, jakby chłód, i z perspektywy nagrzanego jak piekarnik samochodu jawił się jako niepokojąco pociągający. Detektyw wyrzucił papierosa na chodnik i mimochodem zerknął na opony taksówki, zdawały się topić i przywierać do nawierzchni jak ciągliwy ser.

– Tak właściwie to czego pan tam szukasz? – odezwał się ponownie kierowca. – Jakiś interes masz do doktora Nawary czy co?

– Doktora? Myślałem, że gość porzucił praktykę, zanim tu przyjechał.

– Nie no, trochę u nas w mieście popracował, miał nawet własny gabinet w centrum, ale słyszałem, że z urzędu się do niego przysrali. Nie miał niezbędnych pozwoleń czy czegoś tam... Szybko zwinął interes... Tutaj nie da się zarobić, nawet jak spróbujesz, to zaraz wszyscy się ciebie uczipią i będą ciągnąć w dół, aż padniesz twarzą na chodnik. Ubrania z ciebie zedrą... Zawistny lud. Tak że teraz chyba nie pracuje, ale doktor to chyba zawsze doktor, co nie?

– Chyba tak... – Mejza wciąż w zamyśleniu wpatrywał się w wysokie trawy przed sobą. – Słuchaj, dużo wiesz o wszystkim, co się w mieście dzieje, co?

– Jeżeli masz na myśli to, że wiem, kto się wczoraj skuł tak mocno, że do domu musiał wracać taksą, to tak. Poza tym wiem tyle, co ludzie powiedzą.

– Ten cały woźny, co zabił tę ciężarną... Mieszkał tam, prawda?

– Hola, hola, jak zabił?! Co pan?!

– Wiesz, o czym mówię.

– Niby tak... Ale jak pan używasz takich słów, to jakoś się dziwnie człowiekowi robi... Nikt tu nikogo nie zabił, nie mówmy tak. To był wypadek, tragiczny... ale wypadek. Jeśli coś przemawia za tym, żeby tu mieszkać, to właśnie to, że tu nikt

nikogo nie zabija. Nie jak w metropoliach, gdzie trup ściele się gęsto. Bezpiecznie jest. A wypadek jak ma się zdarzyć, to i tak się zdarzy.

– Mieszkał tam czy nie?

– Ano mieszkał. Doktorek mu pomagał, gdy jeszcze mógł prowadzić gabinet, a potem zabrał do siebie... Chyba nie chciał zostawić potrzebującej duszy na lodzie... Próbował chłopca leczyć i chwala mu za to.

– Jak leczyć?

– No na głowę, a jak? Myślisz pan, że Wiesiek zawsze był taki jak teraz? Kiedyś był zwyczajny gość, jak ty czy ja. To po rodzinnej tragedii coś tam w nim pękło. Posklejać już potem tego nie szło.

– Tragedii?

– A co ja będę gadał, jak to smutna historia. Wychodzisz pan, bo licznik tyka?

– Jak zacząłeś, to skończ.

– Kobita mu zmarła podczas porodu, ot i cała sprawa. Wiesiek poszedł potem w cug... Zresztą, kto by nie poszedł? Ja tu kamieniem rzucać nie będę, sądząc po zapachu, pan też... – Zerknął we wsteczne lustro. Mejsza uciekł wzrokiem. – Oj, ciężko pił nasz Wiesio, naprawdę ciężko... Już wtedy widać było, że w głowie chaos, dogadać nijak się nie dało... I pewnego dnia w tak ciężkim stanie wsiadł za kółko i... Władował się w drzewo. – Taksówkarz zwiesił smętnie głowę. Przez chwilę w ciszy wpatrywał się w przednią szybę. – Nie jechał sam. Córeczka śmierć na miejscu, a on sam zapadł w śpiączkę. Trzy miesiące nie mogli chłopca dobudzić, wiesz pan? A gdy już się udało, to w środku w ogóle nie było starego Wieśka. Zupełnie inny człowiek, mówię panu. Jakby kto mu osobowość zabrał i nie dał żadnej w zamian. Uszkodzenia mózgu zbyt obszerne... – Mężczyzna zamilkł na dłuższą chwilę, wzrok wbił gdzieś daleko przed siebie. – Ech, i po cholere żes mnie pan zmusił do wspominek? Teraz struty resztę dnia będę chodził. – Spojrzał na Maksa. – Widzisz, pan też żes posmutniał.

Mejsza zamknął oczy. Ból głowy zaczął rozchodzić się po czaszce falami. Z oddali słyszał coś jak muzykę, ale gdy spojrzął na radio, było wyłączone. Musiał stąd wysiąść, zająć czymś umysł. I to szybko, zanim atak zacznie się na dobre.

– To córka przeżyła poród? – zapytał po chwili, rozmasowując powieki.

– Ano przeżyła, ale przeznaczenia nie oszukała. Nie na długo... Matka walczyła do samego końca, żeby wydać ją na świat. Swoje życia oddała za jej. W momencie wypadku mała była zdrową pięciolatką. Takie masz ci u nas tragedie. – Westchnął głośno. – A teraz ta sprawa z wiertarką... Nie wiem, ile jest w stanie znieść jeden człowiek, ale to już chyba za dużo. Nie ma twardzieli, mówię panu...

– Nie wiesz, kto jeszcze tam mieszka, w tym dworku? – Maks zmienił temat.

– A co się pan tak interesujesz? Mówiłeś, żeś nie dziennikarz.

– Bo nie jestem.

– To jaki masz pan interes w tym miejscu? Bo co mam obcym udzielać takich informacji, co? Jeszcze będziesz ich pan nachodził czy coś i na mnie będzie. Mieszkają ludzie w spokoju, to po co ich niepokoić? Pewnie pieniądze któryś wisi, co?

– Dużo zarabiasz za kółkiem? – Mejza ponownie zmienił temat i zaczął się wiercić, próbując wyciągnąć portfel z tylnej kieszeni spodni.

– Za mało, by żyć, za dużo, by umrzeć, tak panu powiem. Jakby nie parę spraw na boku, to nie wiem, jak bym wiązał koniec z końcem. Właściwie to dziękuję czasem Bogu, że sam jestem. Żadnej kobiety ani dzieci. Skąd ja bym brał na ich utrzymanie, to nie mam pojęcia... Ale zaraz, po co pan pytasz? Napiwek się szykuje jaki czy co?

Mejza przewiesił się przez fotel i przekazał kierowcy zdjęcie dziewczyny owinięte w stułotowy banknot. Zaskoczony taksówkarz przyglądał mu się chwilę we wstecznym lusterku, po czym chwycił za pieniądze i uważnie przypatrzył się uśmiechniętej buzi na zdjęciu zrobionym prawdopodobnie przez szkolnego fotografa.

– Rozpoznajesz ją? – zapytał Mejza, odpalając kolejnego papierosa. Wzrokiem cały czas błędził gdzieś za oknem. – Banknot schowaj sobie do kieszeni. Spokojnie, jest twój, niezależnie od tego, czy mi odpowiesz.

Kierowca wciąż zerkał to na zdjęcie, to na tajemniczego przybysza z innego miasta. Odchrząknął i schował pieniądze do kieszeni hawajskiej koszuli, zgodnie z instrukcją.

– Nie zrobię jej żadnej krzywdy, jeśli to cię uspokoi – kontynuował Mejza. – Nie mam też do odzyskania długu. Chcę tylko z nią pogadać, a wiem, że jest w wiosce.

– Ano jest – odezwał się w końcu taksówkarz, zachęcony wysokim napiwkiem. – Od dobrych paru lat, ale nieczęsto ją widuję. To żonka doktorka Nawary. Mało kiedy wychodzą do miasta, ona to już w ogóle...

– Mają dzieci?

– Co? Dzieci? Cholera, nie wiem... – Zamyślił się. – A nie, czekaj! Mają, pamiętam, że dziewczyna była w ciąży, zaraz jak tu przyjechała. Chodziła brzuchata... Pomagała mu prowadzić gabinet, tak długo, jak była w stanie. Więc no, mają dziecko... Mają...

– Chłopiec? Dziewczynka?

– A pojęcia nie mam.

– Przecież mówisz, że mają dziecko. Wiesz czy domyślasz się?

– Chodzi o to, że go nie widziałem. To skąd mam wiedzieć, czy chłopiec, czy dziewczynka?

– Nigdy? Nie zamawiali na przykład taksówki, gdy rodziła? Nigdy nie trzeba było dziecka albo ciężarnej zawieźć do lekarza? Z wioski do najbliższego szpitala jest przecież trochę drogi...



– Mają tam chyba jakieś auto... Może lekarz przyjechał do nich? Mnie nigdy nikt nie wzywał.

– To kto jeszcze z nimi mieszka?

– Parę osób z miasta, są też jacyś przyjezdni. Nie wiem, może to rodzina albo krewni.

– Ale Wiesław rodziną nie był?

– No nie, nim zajęli się chyba z dobroci serca, sam nie wiem... Słuchaj, skoro się tam wybierasz, to chyba muszę cię ostrzec, że nie lubią obcych. Podwiozłem tam tego młodego dziennikarzynę i choć jestem pewien, że dramatyzował, to po dziesięciu minutach dzwonił do mnie z płaczem, żebym go zabrał. Mówił, że ktoś tam obszedł się z nim dość surowo... Ja to wkładam między bajki, bo ten młody wygląda mi na pizdusia, no, ale żeby nie było, że nie mówiłem...

– Ta, słyszałem to samo od niego... Nie mam wyjścia, muszę się tam przejść. Czyli absolutnie nic ciekawego mi o tej wiosce nie opowiesz?

– Opowiedzieć no coś mogę. Ale to tylko plotki. Wie pan...

– Na nic innego nie liczę.

– Od hotelarza słyszałem, że lubią się tam zabawić. – Twarz taksjarza opromienił paskudny uśmiezek.

– Zabawić, tak... No tak, hotelarz coś opowiadał.

– Ta? Opowiadał, że tam tego...?

– Tego?

– Słyszałem, że tam każdy z każdym, no wie pan... Tego.

– Tak słyszałeś?

– Tyle, co ludzie powiedzą.

– Pozostaje się przekonać, ile w tym wszystkim prawdy. – Mejza chwycił za klamkę i wysiadł z samochodu. Momentalnie zakręciło mu się w głowie. Oparł się o taksówkę, spuszczać głowę, i czekał, aż krew spłynie z powrotem do mózgu.

Na niebie nie było ani jednej chmurki, zabójcze temperatury potęgowały działanie alkoholu, jeszcze bardziej go odwadniając i otępiając. Podeszedł do okna od strony kierowcy.

– Bądź w pobliżu, dobra? – Wręczył taksjarzowi jeszcze stówę. – Tak na wszelki wypadek, jakbym zaraz zadzwonił z płaczem.

– Nie wyglądasz mi pan na takiego, co byłby do płaczu zdolny, ale dobra. Zostanę tu przez godzinę. Nie żebym miał jakieś tony zleceń, ale powoli się już robię głodny.

– Godzina wystarczy. Myślę, że zarobiłeś dziś na porządny obiad.

– Ano. – Taksówkarz skinął głową, po czym naciągnął na twarz czapkę z daszkiem i wyciągnął się w fotelu.

Mejza odwrócił się i nieco chwiejnym krokiem ruszył w stronę wysokich traw, starając się ustawić naprzeciwko dworku, żeby nie stracić potem orientacji. Zdziwiło go, że jedyna prowadząca tam ścieżka nie była zbyt udeptana. Miejscami przejście zagradzały mu dziko rosnące chaszczce, jakby chadzano tędy tylko od święta.

Spalona słońcem roślinność i rozgniatane robactwo chrzęściły pod butami, gdy tak mozolnie brnął przed siebie, czując się niemal, jakby przemierzał amazońską dżunglę. Wszystko dookoła niego zdawało się pocić, oddając do atmosfery swoje soki, a on nie był tu wcale wyjątkiem. Podkasana niemal pod same bicepsy koszula szybko zalała się potem. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z brudnej rzeki. Dziwny, mdły smród sprawiał, że każdy głębszy wdech był katorgą. Czuł się zamknięty w klaustrofobicznym labiryncie traw, przygwożdżony wiszącym wysoko słońcem niemal do samej ziemi.

Już po kilku minutach poczuł wzbierającą w nim panikę. Machając rękami jak opętany, starając się opędzić od atakujących zewsząd much, puścił się biegiem przed siebie. Ostre jak żyletki trawy kaleczyły mu ramiona i twarz. Przewrócił się, gdy wreszcie udało mu się wyrwać z tej gęstwiny i dotrzeć na teren dworku.

Leżąc na ubitej ziemi, dysząc ze zmęczenia i gorąca, przyglądał się przez chwilę widokowi, jaki wyrósł tuż przed nim. Choć szedł tu zaledwie kilka minut, czuł się, jakby spędził wieczność w czyścicu, nie wiedząc, czy po drugiej stronie czeka raj, czy wieczne potępienie. Głucha cisza, stanowiąca przerażający kontrast dla bzyczących i szeleszczących traw, świdrowała mu teraz uszy cienkim piskiem.

Miejsce wyglądało na opuszczone lata temu, jak wskutek jakiegoś kataklizmu. Mostek zбитy ze spróchniałych już desek umożliwił przejście na drugą stronę wyschniętego na wiór rowu. Trochę dalej wznosiła się zapadnięta stodoła. Pordzewiały, ostro zakończony płot i wysoka na ponad dwa metry masywna brama strzegły wejścia na teren posesji. Za nimi widać już było tylko rezydencję doktora Nawary.

Posępny, jakby częściowo zburzony jednopiętrowy pałacyk i otaczające go mniejsze parterowe domki. Wszystko w kolorach szarości i przegniłej zieleni. Kamienie, z których zbudowano posiadłość, całe pokryte były mchem. Gdyby nie słyszał o tym miejscu wcześniej, uznałby, że trafił na pustostan.

Wstał i otrzepał się z wysuszonej na wiór ziemi. Twarz miał całą brudną i odrapaną, czoło lśniło od potu, odbijając promienie słońca jak tafla jeziora.

Szedł przed siebie, cały czas rozglądając się uważnie. Chybotliwy most nad płytkim rowem zdawał się tylko czekać na to, by zawalić się w najmniej spodziewanym momencie. Spojrzał w dół. Popękana spieczona ziemia przypominała wypchnięte usta spragnionego człowieka, błagające o choć kroplę wody.

Gdy dotarł na drugą stronę, przystanął i przyjrzał się uważniej stodołę. Według opowieści dziennikarza pełniła funkcję czegoś na wzór strażnicy. To właśnie stamtąd spodziewał się za chwilę nadejścia tych nieprzyjemnych typów, o których opowiadał zarówno Różycki, jak i ojciec dziewczyny.

Przez chwilę poczuł się dziwnie nagi. Tego brakowało mu najbardziej od czasu odejścia z policji... Tego uspokajającego uwierania w okolicach pasa, jakie dawała zwisająca kabura policyjnego Walthera. Zawsze miał pewność, że gdy sprawy pójdą naprawdę źle i pojawią się problemy, to będzie w stanie je rozwiązać w ten czy w inny sposób.

Teraz nie miał nic, jedynie swoje zapuszczone i wysłużone ciało, od lat zmuszane do pracy na rezerwie paliwa. Wystarczyło dziesięć minut wędrówki przez zarośnięte pole, żeby poczuł, jak każdy mięsień pali go żywym ogniem. Gdyby ktoś na niego wyskoczył, nie miałby szans. Nie potrafił walczyć wręcz, zawsze uznawał to za głupie i niepraktyczne, dlatego też w czasach służby nigdy nie rozstawał się z narzędziem zapewniającym mu tę słodką przewagę.

Cóż, tym razem będzie musiał mu wystarczyć język.

Otarł brud i pot z czoła, jeszcze bardziej dobijając już porządnie zabrudzoną koszulę, po czym uzbrojony jedynie w optymizm pewnym krokiem ruszył w stronę stodoły.

Starał się stąpać naprawdę głośno, nie chciał, żeby ktokolwiek z mieszkających tam wariatów, jak określił ich właściciel hotelu, uznał, że się podkrada.

Ale nikt nie wychodził mu na powitanie.

– Hej! – zawołał, podchodząc niemal pod samo wejście do stodoły. Spróbował zajrzeć do środka przez umorusaną szybę, ale nie był w stanie niczego dostrzec. – Jest tu kto?

Cisza.

Delikatnie pchnął drzwi, były otwarte, nie miały nawet zamka, jedynie haczyk i pętelkę umożliwiające zamknięcie się od środka. Spróchniałe drewno zaskrzypiało, wpuszczając nieco światła do parnego wnętrza. Kurz wirował w promieniach słońca, przysłaniając widok niczym mgłą.

Nikogo.

Ubogie wnętrze rzeczywiście przypominało strażnicę. Nic poza masywnym stołem, dwoma krzesłami i szafą na narzędzia. Mejsza ostrożnie wszedł do środka, bacznie obserwując ciemne kąty i nasłuchując ludzkiego oddechu, ale w środku nikogo nie było. Podeszedł do stołu pod oknem. Uświniona szyba nie pozwalała z zewnątrz zobaczyć, co dzieje się w środku, ale stąd zobaczył cienki pasek, który ktoś celowo

przetarł w taki sposób, żeby mieć oko na drewnianą kładkę i bramę prowadzącą do posesji.

Na stole leżały gazety. Kilka dzienników, jeden z nich założony na stronie z artykułem Różyckiego, opisującym wstępne ustalenia na temat incydentu w szkole rodzenia. Mejza podniósł artykuł bliżej oczu, odsłaniając ukryte pod stertą dzienników magazyny pornograficzne. Bardzo stare numery „Playboya” i „CKM”, niektóre sięgały początku aktualnego tysiąclecia. Rozbuchane fryzury zdawały się przyćmiewać doskonałe figury modelek. Ktoś jednak postanowił je oszpecić i pobazgrał po zdjęciach długopisem, dorysowując dziewczynom członki w ustach.

Wyszedł z powrotem na zewnątrz, mrużąc oczy, jakby właśnie opuścił jaskinię. Nie widząc w zasięgu wzroku nikogo, kto mógłby go powstrzymać, ruszył w stronę bramy.

Cały czas czuł ten pełzający pod skórą niepokój. Jakby ktoś go obserwował i tylko czekał, żeby zaatakować z zaskoczenia. Coś tkwiącego głęboko w niezbadanych obszarach mózgu mówiło mu, że nie powinien tu być. Pchnął dłońią masywne skrzydło bramy, które ku jego zdziwieniu nie postawiło żadnego oporu. Bezgłośnie zawiasy chodziły jak nasmarowane masłem, odsłaniając przed nim osławioną wioskę.

Na pierwszy plan wysunęło się podwórze. Pustawy skwer wyjąłowanej ziemi, gdzieś upstrzonej samotnymi kępkami trawy. Pierwszym, co przyciągało uwagę, była fontanna. Dziś już całkowicie wysuszona, obłupana i pokryta mchem. W jej środku stał posąg anioła, w równie kiepskim stanie. Kamienny anioł bez jednego skrzydła, z drugim odłamany gdzieś w połowie. Mejza mimowolnie przypomniał sobie o Dedalu i Ikarze.

W centrum dworku dumnie pięła się rudera, będąca dziś już tylko wynędzniałą karykaturą okazałego pałacyku, którym być może kiedyś była. Otaczało ją kilka parterowych, równie zapuszczonych domków. Każdemu towarzyszyła stodoła bądź drewniany składzik. Za rezydencją rozwijało się pole zakończone lasem.

Mejza ostrożnie stawiał kroki. Tutaj, na placu przed rezydencją, czuł się jak prawiczek na planie filmu pornograficznego. Bezbronny, kompletnie niczym nieosłonięty. Mieszkańcy mieli go jak na dłoni, doskonale widocznego ze wszystkich skierowanych w tę stronę okien. Miejsce otulała martwa cisza, jakby wszyscy nagle się wynieśli. Ponownie spojrzął na bramę, upewniając się, że nikt tu za nim nie wszedł, i wtedy serce mu zamarło.

Dostrzegł dwa uwiązane do płotu psy. Olbrzymie kundle, będące chyba mieszkanką owczarków z czymś wrednym i agresywnym. Oba wpatrywały się w niego, stojąc sztywno, i chyba tylko cud sprawił, że postanowiły nie czekać na intruza. Zaczęły poruszać się jeszcze ciszej.

Wszystkie okna w rezydencji miały zaciągnięte zasłony. Żadna z nich ani drgnęła, nikt nie obserwował tajemniczego przybysza pod domem.

Cisza dookoła zdawała się gęstnieć. Podszedł pod same drzwi. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy zapukać, ale coś podkusiło go, żeby najpierw delikatnie, niczym złodziej buszujący w nocy po klatkach schodowych, nacisnąć na klamkę.

Ciche kliknięcie nadeszło niespodziewanie. Drzwi były otwarte. Pchnął je bezszelestnie i ruszył do środka. Mieszkańcy musieli wyjechać, zdziwiło go, że niczego za sobą nie zamknęli. Od razu spojrzął w bok, na drzwi prowadzące do piwnicy. Przez chwilę badał masywną kłódkę i łańcuch. Kto tak mocno zabezpiecza piwnicę we własnym domu? Nie wyglądała, jakby właściciel bał się intruzów z zewnątrz...

Wyglądała, jakby bał się, że coś może uciec z wewnątrz.

Detektyw ruszył przed siebie, zostawiając piwnicę z tyłu. Ciemny korytarz zdawał się nie mieć końca. Słabe światło dochodziło tylko z jednej z odnóg, i to właśnie tam skierował swoje kroki, pchany przez najprostsze instynkty, jak ćma. Po drodze uważnie się rozglądał, nie dostrzegając nic szczególnego. Kuchnia, sypialnia, coś wyglądającego na graciarnię, w tych ciemnościach nie był w stanie wychwycić zbyt wiele. Czuł dziwnie nieprzyjemny zapach, dobiegający jakby z głębi ostatniego pomieszczenia. Podszedł bliżej.

Nagle zamarł.

Żołądek podskoczył mu do gardła, a serce przyspieszyło tak gwałtownie, że aż pociemniało mu w oczach.

Usłyszał szepty. Szepty wielu głosów.

W tej chwili każda komórka ciała krzyczała, żeby się stamtąd wycofał. Spróbował tu wrócić kiedy indziej, jawnie, nie zakradając się jak złodziej. To byłoby mądre posunięcie.

Jednak uznał, że najwyraźniej wcale nie jest taki mądry, za jakiego się uważał, i zajrzał do środka.

Kilka postaci tworzących krąg. Kobiety i mężczyźni. Otaczali kogoś... kogoś lub coś... Szeptali... W pierwszej chwili pomyślał, że trafił na jakiś rodzaj zabawy grupowej albo dziwnego rytuału.

Szepty robiły się coraz wyraźniejsze.

– Zrób to... Zrób to... Głęboko... – powtarzały głosy.

Nie był w stanie dostrzec nic więcej, mieszkańcy wioski trzymali się zbyt ciasno, jak wycięta z bloku papieru harmonijka ludzkich sylwetek. Jedna z postaci, stojąca lekko z tyłu za kręgiem i tylko zerkająca pozostałym z zaciekawieniem przez ramię, nagle się odwróciła.

Łysy i chudy mężczyzna, koścista twarz i błyszczące w ciemności wyłupiaste oczy. Oczy wpatrujące się wprost w niego.

Mejza zamarł w bezruchu. Patrzył już tylko na błyszczące oczy, ignorując krąg postaci w tle. Nagle łysy mężczyzna podniósł patykowate ramię i wskazał na niego palcem, wydając dziwne gardłowe dźwięki, jakby się dławił.

– M-Marcel! – wykrzyczał po chwili, zrywając wszystkich w pokoju na równe nogi. Krąg się przerwał. Kątem oka Mejza dostrzegł drobną kobietę, siedzącą na krześle w środku.

Kobietę w pięknej czerwonej sukni. Na tle otaczających ją figur wyglądała jak rubin wciśnięty w górę łąjna. Zjawiskowa faktura materiału stanowiła absurdalny kontrast z szarymi i brudnymi odcieniami ubiorów pozostałych. Podniosła na niego swoje wilgotne oczy.

I wtedy krąg dookoła niej znów się zamknął.

– Kurwa mać! – krzyknął jeden z mężczyzn, odpychając łysego chudzielca na bok, buchając wręcz agresją. – Miałeś pilnować, pojebie! – Ruszył w stronę Mejzy z prędkością rozwścieczonego byka. Maks nawet nie zauważył momentu, w którym chwycił go za szyję i zaczął ciągnąć korytarzem w stronę wyjścia.

Po chwili światło słoneczne walnęło mu po oczach. Gruchnął o ziemię, czując, jak zwir kaleczy skórę na przedramionach. Oczy i usta wypełnił piach.

– Kim jesteś?! – wykrzyczał mężczyzna, który właśnie rzucił nim o ziemię. – Dzwonię po policję! Słyszysz?!

Podwórce wypełniło się szczekaniem agresywnych psów uwiązanych do płotu. Wyglądały, jakby miały ochotę rzucić się wszystkim do gardeł, nie rozgraniczając przy tym, kto swój, a kto wróg. Jedynym, co dzieliło Maksa od rychłej śmierci, był cienki rzemień, którym były uwiązane.

– Ja... – Mejza odwrócił się w stronę gościa przypominającego kulturystę. – Ja tylko...

– To włamanie! Napaść w biały dzień!

Po chwili z wnętrza domu wybiegł drobny łysy mężczyzna, który zauważył go jako pierwszy. Przeskakiwał z nogi na nogę, jakby rzucany po całym podwórku emocjami.

– M-Marcel! Przepraszam! Ja... Ja...

– Zewrzyj ryj, pojebie! Z tobą jeszcze sobie porozmawiam.

– Ja... – Chudzielec zaczął się jękać. – Ja chciałem z wami... Ja... Ja... Nie chcę zawsze... Zawsze tylko siedzieć... Chciałem zobaczyć, jak... Tym razem bym jej nie dotknął, Marcel!

– Powiedziałem, zamknij ryj! – Kulturysta złapał łysego za bark, wbijając palce tak głęboko, że ten zawył z bólu jak ranne zwierzę.

– Puuuuuuść!

Mejza odwrócił się i podczołgał w stronę bramy, już wstawał, gdy poczuł przeszywający nerwy ból, ciągnący się od stóp aż do czubka języka. Ten wielki musiał zdzielić go w kręgosłup.

– Nigdzie stąd nie pójdziesz, przyjacielu. Poczekamy sobie na policję. Czego tu szukałeś, co?

– Było otwarte... – zacharczał Mejza, po czym wypluł ślinę zmieszaną z ziemią. Mieszanka piasku i krwi tworzyła mu w ustach błoto.

– To nie daje ci prawa wejść na czyjąś posiadłość. Czego tu szukasz?! – Mięśniak kopniakiem odwrócił Maksa na plecy i ściał wzrokiem jego zakurzoną twarz. Zacisnął pięść i wziął zamach. Maks skulił się jak embrion, oczekując ciosu.

– Ja... – Starał się zebrać myśli w kupę. Dudniło mu w głowie, która pulsowała, jakby gotowa do eksplozji. – Chciałem zobaczyć się z doktorem...

– Co? O czym ty mówisz?

– Doktor Nawara... Ja... Ja byłem jego pacjentem... Dawno temu...

Czoło kulturysty zmarszczyło się, jakby przez chwilę coś analizował. Wykonał krok do tyłu i rozluźnił pięści. Nagle zrobiło się bardzo cicho.

Maks usiadł i rozejrzał się dookoła. Łysol wciąż stał pod schodami, przeskakując z nogi na nogę, jakby zaraz miał się zeszczuć. Zasłaniał usta dłonią, nie chcąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Mejza splunął i z obrzydzeniem spojrział na przysłaniającego mu słońce agresora. Góra mięśni w koszulce na ramiączkach kiwnęła głową, dając mu znak, żeby się podniósł. Powoli wyprostował swoje obolałe ciało i otrzepał spodnie z ziemi.

– Jaki doktor? – zapytał kulturysta.

– Nawara... Przecież mówiłem, że...

– Nikt taki tu nie mieszka. Nie wiem, o czym mówisz, przyjacielu.

– Skoro tak traktujesz przyjaciół... – Maks przyjrzał się podartej koszuli na łokciach. – To wolę nie pytać, co robisz z wrogami.

– Włamałeś się nam do domu. Ja tylko chronię swoją rodzinę.

– Było otwarte, poza tym wiem, że doktor tu mieszka, każdy o tym wie.

– Kim jest każdy?

– Mogę się z nim spotkać czy nie? – Kolejny raz splunął ziemią.

Kulturysta spojrział na jego zakrwawione i ubrudzone usta, po czym odwrócił się w stronę łysego.

– Przynieś panu szklanek wody!

– Marcel... – Łysy po raz kolejny wytrzeszczył oczy, świdrując nimi Mejzę. – Ale on...

- Zrób, co powiedziałem!
- Jesteś zły? Marcel?
- Powiedziałem, żebyś przyniósł wody!

Obaj odprowadzili bladego mężczyznę wzrokiem. Mejza zauważył, że jedna z zasłon na piętrze nieznacznie się poruszyła.

– Co jest z tym gościem? – zapytał Maks, kiwając w stronę znikającego za drzwiami łysego. – Wygląda mi na chorego.

- Nic mu nie jest.
- Co tam robiliście? Tam w środku? Tamta kobieta na krześle...
- Posłuchaj mnie, przyjacielu...

W tym momencie drzwi znowu się otworzyły. Łysy podbiegł do detektywa ze szklanką wody. Wręczył mu ją, cały czas się na niego gapiąc. Jakby wcale nie mrugał.

– Dzięki – rzucił Mejza, po czym zajrzał do szklanki, jakby spodziewał się tam ujrzeć jakąś truciznę.

– To woda, przyjacielu. Napij się. Obawiam się, że przez to słońce dostałeś udaru. Opowiadasz o ludziach, których tu nie ma, i rzeczach, które się nie wydarzyły.

- Że jak?
- Myślę, że powinieneś już sobie pójść. Naprawdę nie chciałbym fatygować policji.
- Więc po tym, jak pogruchotałeś mi kości, zdecydowałeś się na miły gest w moim kierunku? Myślałeś, że jestem włamywaczem. – Przepłukał usta. Dopiero teraz poczuł metaliczny posmak. Nawet nie zarejestrował momentu, w którym dostał od tamtego w zęby. – Sam mógłbym pójść na policję... Chyba nie wiesz, czym jest obrona konieczna w tym kraju. Nie zaatakowałem cię... Użyłeś nieadekwatnych sił i środków...

– Ta... Tylko że mam kilka osób, które widziały, jak mnie zaatakowałeś. A ty? Masz kogoś?

*Pierdolona enklawa*, pomyślał Mejza. Zamknęli się tu przed światem, nie wpuszczają nikogo z zewnątrz. Na swoim terytorium są całkowicie bezkarni.

– Przekażcie doktorkowi, że chcę się z nim widzieć – rzucił, po czym przycisnął pustą szklankę do klatki piersiowej Marcela.

– Uznanaj to za komplement, przyjacielu, ale nie wydaje mi się, żeby doktor mógł ci w czymkolwiek pomóc. – Kulturysta się uśmiechnął.

– Może mi pomóc z pewnym dzieckiem.

– Z dzieckiem? – Uśmiech z twarzy kulturysty nagle zniknął. Na jego miejsce wskoczył dziwny grymas. Coś jakby nadzieja. – Potrzebujesz pomocy z dzieckiem?

– Tak... Niechcianym dzieckiem. Doktorek będzie wiedział, o co chodzi... – Mejza ruszył w stronę bramy. Nie zdążył wykonać kilku kroków, gdy za jego plecami rozległo



się wołanie.

– Zaczekaj! Zatrzymałeś się w mieście?

– Tak... W Dobranocce. Gdyby doktorek chciał pogadać, to tam mnie znajdzie. Ale lepiej niech się spieszy... Nie zabawię tu długo – rzucił, po czym pchnął bramę i kulejąc, zaczął się oddalać.

– Jak my wszyscy, przyjacielu – wyszeptał mężczyzna o aparycji ciężarowca. – Jak my wszyscy...

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wparował do pokoju, po drodze kompletnie ignorując troskliwe pytania recepcjonisty. Zamknął drzwi i rzucił reklamówkę na łóżko. Pierwsze kroki skierował prosto do łazienki, zapalił światło i spojrzał w lustro.

– Skurwiel... – wyszeptał, dotykając brudnej i odrapanej twarzy. Wyszczrzył zęby, odsłaniając czerwone dziąsła. Nitki krwi wiły się między zębami jak gąsienice.

Wrócił do pokoju i dopadł do torby. Wyciągnął butelkę kupionej po drodze wódki i rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu szklanki. Nalał sobie solidną porcję i bez namysłu zanurzył usta w cieczy. Krew mieszała się z przejrzystym płynem w szklance, przypominając wnętrze strzykawki po przekłuciu żyły. Dziąsła piekły, jakby maczał je w kwasie, ale przynajmniej się zdezynfekował.

Fizycznie i psychicznie.

Wrócił do lustra, nalał trochę wódki na ręcznik i ostrożnie pocierał poranioną twarz, krzywiąc się raz po raz z bólu. Po chwili usłyszał wibracje. Leżący na umywalce telefon zdążył się już niemal z niej zsunąć, gdy złapał go w ostatniej chwili.

Odebrał.

– Słucham – rzucił ostro do słuchawki, cały czas szczerząc się do lustra.

– Hej, tu Piotr.

– Kto?

– Różycki... Rozmawialiśmy dziś rano w restauracji. Dałeś mi swoją wizytówkę? Ten dziennikarz?

– Tak... – Splunął krwią do umywalki, obserwując, jak powoli zakręca w stronę odpływu. – Co jest?

– Załatwiłem ci to spotkanie. Dziś o dwudziestej w Psiej Budzie.

– Co? – Ostrożnie pokiwał zębami, chwytając między palce jednego po drugim i sprawdzając, czy się nie poluzowały. Myślami był daleko stąd, nie był w stanie się skupić. – Jakie spotkanie?

– Jezu... To było kilka godzin temu – odparł Różycki zrezygnowanym głosem. – Sam mnie prosiłeś, żebym umówił cię z moją znajomą z policji. Dużo wypiełeś od tamtej pory?

Spojrzenie Mejzy powędrowało do stojącej na umywalce butelki wódki.

– Mniej, niżbym chciał... Dzięki, przyjdę.

– Byłeś w wiosce? Dowiedziałeś się czegoś?

– Tego, że mam jedyne do leczenia...

– Co?

– Pogadamy w barze, OK?

– No dobra. Dwudziesta, pamiętaj. Nie spóźnij się.

Mejza się rozłączył. Powoli pocierał wargi nasączonym ręcznikiem, patrząc tępo w swoje odbicie.

Nie miał zamiaru się spóźnić.

Chciał znaleźć się przy barze tak szybko, jak się da.

\* \* \*

Gdy przekroczył próg Psiej Budy, jego wzrok mimowolnie powędrował pod nogi. Spodziewał się otoczenia przez zgraję zwierzaków, próbujących go obwąchać. Test na ukrytą w człowieku dobroć, bez której nie było się godnym wejścia.

Jednak żaden pies nie nadbiegł. Testu nie było. Nikogo nie obchodziło, jaka aura w nim drzemie. Trochę się tym faktem zawiódł.

Chciałby wiedzieć.

Rozejrzał się po barze. Dochodziła dopiero dziewiętnasta, ale wewnątrz nie świeciło pustkami.

Kilku starszych facetów przy stoliku, z którego dobiegały same gwarne śmiechy i sprośne żarty. Liczba pustych kufli na stole sugerowała, że nie mogli się doczekać tego wieczoru jeszcze bardziej niż on. Trochę dalej grupka nastolatków, niewyglądająca na takich, co mogą legalnie kupić sobie piwo, oraz jeden samotny gość w ciemnym stroju siedzący w kącie, z twarzą spowitą w mroku. Sączył czystą whisky, patrząc się pośępnie na wchodzącego do środka Mejszę. Gdy ich oczy się spotkały, upił niewielki łyk, podnosząc uprzednio szklankę w jego stronę, jakby do toastu, po czym wrócił do czytania książki.

Za barem stał siwy, postawny mężczyzna. Ze znużeniem napełniał kolejny kufel bąbelkowym napojem dla przeskakującego z nogi na nogę podnieconego klienta, przypominającego bardziej dziecko zabrane przez mamę na lody niż poważnego dorosłego. Posłał nowemu klientowi tylko krótkie spojrzenie, po czym wrócił do swoich spraw.

Maks przeszedł niewielką zacienioną salą, wystylizowaną na coś w stylu średniowiecznej karczmy, zignorował szepty patrzących w jego stronę nastolatków, po czym rozsiadł się na wysokim krześle przy barze. Wyjął uwierający go w tyłek portfel z tylnej kieszeni spodni i położył na blacie przed sobą. Cierpliwie czekał, aż facet za kontuarem zaspokoi wszystkie potrzeby aktualnego klienta.

– Słucham pana – zagaił barman, sięgając po świeży kufel, jakby już przewidywał przyszłość. – Co podać?

– Gdzie podziały się psy?

– Słucham?

– Stąd nazwa baru, prawda? Do klientów podbiegały puszczone luzem psy. Podobno już na wejściu wyczuwały złych ludzi. To tylko legenda?

– Pan nie jest stąd, prawda?

– Dopiero tu przyjechałem. O psach opowiadała mi dawna znajoma, która kiedyś tu mieszkała.

Barman kiwnął głową w stronę nalewaka, Mejza potwierdził takim samym skinieniem. Są czynności, które nie wymagają słów.

– Ta znajoma miała jakieś imię? – zapytał barman, nalewając piwo. Alkohol powoli piał się w kuflu, eksplodując setkami bąbelków. – Znam tu praktycznie wszystkich.

– Mariola... Mariola Mejza... Ale wątpię, żeby...

– A, to pewnie, że znam. – Barman uśmiechnął się, ostrożnie manewrując kuflem. – I co, do niej pan przyjechał?

– Przyjechałem w interesach, zresztą nie mam pewności, czy ona wciąż tu jest. Nigdy nie lubiła tego miasta. Zawsze chciała się wyrwać.

Barman parsknął cicho, po czym postawił piwo tuż pod nosem Maksa.

– Powiedziałem coś zabawnego?

– Śmieję się z tego, jak kruche są ludzkie przekonania w starciu z miłością. Zawsze chciała stąd uciec, mówisz pan?

– Nie nadążam.

– Ta twoja koleżanka wciąż tu mieszka. Tylko że teraz ma na nazwisko Olcha, nie Mejza. Mejza było po jakimś jej były mężu... Chajtnęła się z synem lekarza już parę ładnych lat temu... No, teraz młody w sumie też jest lekarzem... Dla mnie te dzieciaki zawsze będą dzieciakami. Jakby zaledwie wczoraj machała mi przed nosem podrobionym dowodem, żeby wysepić piwo.

Mejza zamilkł. Spuścił głowę. Jego twarz spowiła ciemność.

– Tak jak tamci, o tam. – Barman kiwnął głową w stronę nastolatków zebranych tłumnie przy jednym ze stolików. – Też chcieli mnie nabrać na fałszywkę. Zawsze leję im bezalkoholowe. – Zaśmiał się. – Zobaczysz, jaki będzie ubaw po czwartym piwie, jak i tak zaczną się zataczać i opowiadać, jak to się nie napili... Co pan tak posmutniał?

– Nie, nic. To był długi dzień... Chyba się po prostu zmęczyłem.

– Widzę... Nie chcemy tu kłopotów, dobra?

– Kłopotów?

– To spokojne miasto.

Mejza zdał sobie sprawę, że barman liczy mu zadrapania na twarzy, starając się zapewne dopasować do nich jakąś historię.

– To się dobrze składa, bo ja jestem spokojnym człowiekiem – odparł po chwili.

– Więc cieszę się, że trafiłeś tutaj, do mojego baru. Mam nadzieję, że zaznasz trochę spokoju. Po to otwierałem to miejsce.

– Nie odpowiedział pan, jak to było z tymi psami.

– Nie ma psów.

– A gdzie są?

– Zdechły – odparł szorstko. – Będzie coś jeszcze?

Mejza pokręcił tylko przecząco głową. Barman odszedł na zaplecze, zostawiając go samego, wpatrującego się w kolekcję drogich alkoholi na półkach.

Nie zdążyła minąć połowa piwa, gdy zaskrzypiały drzwi wejściowe. Do środka wszedł Różycki. Mejza odwrócił się na moment, posyłając mu zmęczone spojrzenie, po czym wrócił do piwa. Po chwili poczuł klepnięcie w bark.

– Jak tam? Widzę, że już wystartowałaś... – Różycki wychylił się, zaglądając na zaplecze w poszukiwaniu barmana, po czym usiadł na krześle obok.

– Dopiero co przyszedłem – odparł Mejza i syknął z bólu. Dotknął palcem rozoranej wargi, zauważając, że znowu krwawi. Nawet mówienie sprawiało mu teraz cierpienie.

– Stary... Co ci jest? – Różycki przyjrzał się lepiej jego twarzy. – Wyglądasz jak...

– To nic takiego.

Piotr analizował przez chwilę. Nagle jego twarz eksplodowała emocjami, jakby właśnie wpadł na rozwiązanie zagadki.

– To tamci! Tak?! Ci z wioski?! Cholera...

– Przecież mówię, że to nic takiego... Nie drzyj się.

– Sukinsyny... Myślał, że są tam bezkarni! Mówiłem ci, co zrobili mnie, nie? – Zaczął podwijać rękaw koszuli.

– Mówiłeś, że złapali cię za rękę... Nie sądzę, żebyś mocno przez ten fakt ucierpiał.

Różycki odsłonił ramię. Było całe fioletowe, krwiał rozlewał się od barku aż po łokieć. Wyglądało paskudnie... Jakby wsadził łapę w imadło.

– Co podać? – Barman wyłonił się z powrotem zza baru, po czym zamilkł, patrząc z przerażeniem na ramię dziennikarza. Ten ze wstydu szybko zaciągnął koszulę z powrotem.

– Jeszcze jedno piwo, dla kolegi. – Mejza sięgnął po portfel. Barman się zaśmiał.

– Co jest? Znowu coś śmiesznego?

– Ten twój kolega raczej go nie wypije.

– Hm?

– Przecież mówiłem, że nie piję – wciął się Różycki. – Wezmę kawę...

– Pan Piotr to niezły harcerzyk – rzucił barman. – Nie pije, nie przeklina. Złote dziecko... Takich w tym mieście brakuje. – Zerknął w stronę stolika nastolatków. – Szkoda, że jest tylko przejazdem.

– Jest już późno, wiesz, że kawa wpływa na jakość snu? – zapytał Mejza. – Przemyśl lepiej to piwo, jak normalny człowiek.

– A, bo alkohol sprawia, że się wysypiasz jak dziecko?

– Dobra, to daj mu pan tę kawę, ja płacę – odparł Mejza.

– Ale piwo też się jedno przyda – dodał Piotr. – Czekamy jeszcze na kogoś.

Barman kiwnął tylko głową.

– To co, dowiedziałeś się czegoś? – zapytał Różycki. – Opowiadaj.

– Niczego.

– Ej, taki był układ, tak? Ja cię umawiam z policjantką, a ty mówisz mi wszystko, czego się dowiesz w sprawie morderstwa ciężarnej. Swojej części umowy dotrzymałem, więc...

– Spokojnie, harcerzu, naprawdę niczego się nie dowiedziałem. Byłem w wiosce tylko przez chwilę, zaraz potem mnie wyrzucili. – Kolejny raz dotknął wargi, syknął z bólu. – Jak widać.

– Ten wielkolud? – Kiwnął głową w stronę ust Maksa. – Czy chudy łysol?

– Wielkolud... Skurwiel załatwił mnie jak pięciolatkę...

– Żadna rana nie boli tak jak zraniona duma, co? Zdołałeś chociaż wejść do środka?

– Taaa... Byłem w rezydencji.

– Oho, to dużo dalej niż ja. Przeszedłeś do kolejnej planszy.

– Co?

– Nic, nic, mów dalej.

– W środku działo się... coś dziwnego...

– Dziwnego?

– Sam nie wiem... Było tam kilka osób...

– Kilka osób?

– Gdzie jest ta twoja policjantka?

– Zaraz przyjdzie. Mów dalej.

– Niewiele widziałem. Wszedłem bez pukania. Było ciemno. Wszyscy stali w kręgu nad jakąś kobietą na krześle. W słabym świetle widziałem tylko, jak błyszczą się jej oczy. Płakała... A przynajmniej takie odniosłem wrażenie. A, no i była ładnie ubrana.

– Płakała? Może coś się stało i ją pocieszali?

– Może. Ale gdy się pojawiłem, wszyscy ją zasłonili własnymi ciałami, jakby próbowali ją przede mną chronić. Wtedy podbiegł do mnie ten wielki. W ułamku

sekundy był przy mnie... Ktoś nagle zgasił światło i po chwili leżałem z mordą w ziemi, na zewnątrz...

Drzwi wejściowe znów zachrobotyły. Do środka wkroczyła niska, mierząca może nieco ponad półtora metra wzrostu kobieta ubrana w letnią sukienkę i sandały. Młoda cera, drobna figura i pofalowane włosy. Mimo bardzo kobiecego ubioru nie poruszała się lekko, niemal na palcach, jak większość kobiet. Stąpała twardo, mocno i stabilnie stawiając kolejne kroki, tworząc dysonans pomiędzy wyglądem a zachowaniem. Jej wzrok błyskawicznie przesuwał się z kąta w kąt, jakby analizowała środowisko, w jakim się znalazła.

Policjantka, bez dwóch zdań.

– Jest i Ewka. – Uśmiechnął się Różycki, po czym obrócił się na krześle tak nagle, że prawie z niego spadł. Pomachał kobiecie, która na jego widok uśmiechnęła się jeszcze szerzej i jeszcze żwawiej ruszyła w ich stronę.

Różycki podniósł z lady kawę i piwo, po czym kiwnął głową, dając znak Maksowi, że czas przesiąść się do stolika. Usiedli we trójkę, badając się przez chwilę wzrokiem.

– Maksymilian Mejza, Ewa Wróblewska, Ewa, Maks. – Różycki przedstawił Mejzie policjantkę.

– To ty jesteś tym detektywem, tak? – zapytała drobna kobieta. – Były policjant, tak? Co ci się stało w usta?

Mejza nie odpowiedział. Spuścił głowę i zawstydzony pociągnął łyk piwa.

– O tym między innymi chcieliśmy z tobą pogadać, Ewka – włączył się Różycki. – Wiesz, kto go tak załatwił?

– Po wyrazie triumfu na twojej twarzy strzelam, że ci z wioski – odparła znudzona. Ostrożnie spiła pianę z piwa.

– Dlaczego nic z nimi nie zrobicie? – zapytał Mejza. – Mają jakieś specjalne przywileje czy o co chodzi?

– Przywileje? To zwykli obywatele, mają przywileje jak każdy. Dzisiaj już tylko policja nie ma przywilejów.

– To już trzecia napaść w ciągu miesiąca czy nawet tygodnia? – kontynuował zirytowany. – Chyba czas najwyższy, żeby ktoś tam zajrzał...

– O czym mówisz?

– Choćby o mnie i Różyckim. Widziałaś jego rękę?

– A zgłosiłaś napaść?

– Nie, ale...

– Piotrek też nie. Bardziej interesuje mnie ten trzeci, o którym wspomniałaś... – Zamyśliła się na chwilę, patrząc detektywowi głęboko w oczy. Uśmiechnęła się. – Właśnie sprzedałaś swojego klienta. Ha! To ci dopiero zawodowiec...

– Jakiego klienta, o czym ty, Ewka... – Różycki przyglądał się prowadzącym pojedynek ostrych spojrzeń Maksowi i policjantce.

– Nieważne – odparła kobieta, powstrzymując dalsze pytania gestem dłoni. – To czemu zawdzięczam tę przyjemność? Spotkaliśmy się, bo...?

– Chcę się zobaczyć z więźniem – dokończył Mejza. – Wiem, że jeszcze nie przenieśliście go do aresztu śledczego. Mam do niego kilka pytań.

– Doprawdy? – Policjantka rzuciła Różyckiemu podejrzliwe spojrzenie. Ten, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, sięgnął po kawę i głośno siorbnął. – Zakładam, że chodzi ci o najgorętsze nazwisko, jakie siedzi w naszych lochach... Wiesław Bryza...

Mejza nie odpowiedział.

– Po co ci on? To czubek, nic ci nie powie. Wątpię, żeby w ogóle zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił i gdzie jest.

– No widzisz... W tym rzecz, że wcale nie zamierzam go pytać o to, co zrobił. Mam do niego tylko jedno proste pytanie.

– Yhym, domyślam się jakie...

– Możesz mi też ułatwić robotę i sama odpowiedzieć...

– Powiem ci to samo, co tamtemu staruszkowi, co nam się awanturował na komendzie. Nic nie wiem. A nawet gdybym wiedziała, to nie mam żadnego interesu w tym, żeby wam takie informacje przekazywać.

– Ojciec chce tylko wiedzieć, czy dziecku nic nie brakuje...

– Ta... Słuchaj, detektywie... Dziewczyna uciekła z domu nie bez powodu, tak zakładam... Jest pełnoletnia. Decyzja o tym, żeby trzymać się z dala od ojca, należy wyłącznie do niej. Policji nic do tego. Więc nie, ode mnie niczego się na jej temat nie dowiesz.

– Chcę tylko wiedzieć...

– Powiedziałam nie. Przysięgałam chronić wszystkich obywateli. Ta dziewczyna nie jest wyjątkiem.

– W takim razie potrzebuję zobaczyć więźnia, jesteś w stanie mi to załatwić?

Policjantka zerknęła na Różyckiego.

– Ewa... – odezwał się dziennikarz. – To doświadczony śledczy...

– I co z tego?

– To, że... Bez urazy... Ale mógłby... wam pomóc?

– Ha! Pomóc? Pomóc w czym?

– Przesłuchać mordercę... Może wyciągnie z niego trochę więcej niż wy... Brakuje wam na komendzie doświadczonych ludzi... Bez urazy, tak jak mówiłem... Dałbym mu listę pytań, jaką przygotowałem... – Ponownie spojrzął na detektywa. – Maks z niejednym morderczym czubkiem miał już do czynienia. Wie, jak z nimi rozmawiać.



– Zaraz, zaraz – wtrącił Mejza. – Jaka lista pytań? Sam wiem, o co chcę go...

– Taki jest mój warunek. Ja załatwiłem ci to spotkanie. Oboje musimy martwić się o swoje wypłaty, nie tylko ty. Redakcja chce artykułu.

– Redakcja czy ty?

– Ej! – zawołała policjantka, wcinając się w dyskusję. – Na nic się jeszcze nie zgodziłam! A co z moją wypłatą, co? Co, jak wpadnę na wpuszczaniu obcych do więzienia i mnie wyleją?

– Nie rozumiesz, że właśnie troszczymy się o twoją wypłatę? – Różycki upił łyk kawy. Pod stołem jedno jego udo wciąż podskakiwało, jakby się stresował. Mejza to zauważył.

– Nie wezmę pieniędzy od prywatnego, zapomnij. To łapówka.

– Nie o to mi chodzi. Ja też nie biorę od Maksa pieniędzy... Cokolwiek wygrzebiemy w tej sprawie, a zapewniam cię, że ja jej nie odpuszczę, wszystko pójdzie na twoje konto. Sama wiesz, że coś tu śmierdzi. Jesteś młoda, ambitna... Nie tak jak te stare pryki, które wywiercenie ciężarnej dziury w brzuchu nazywają „nieszczęśliwym wypadkiem”. Przecież to są jaja, Ewka! Sama też to widzisz! W artykule dość mocno obchodzę się z lokalnymi stróżami prawa. Im więcej uchybień wyciągnę tym... Ech... Ewa, nie chcesz być wśród nich... W moim tekście mogę zrobić z ciebie gwiazdę tego śledztwa. Będziesz pokazana jako „jedyna, której zależy”.

– Brzmi jak szantaż.

– Ale nim nie jest... Przecież wiesz, że nigdy bym ci tego nie zrobił. Prędzej nic nie napiszę i stąd wyjadę, niż zrobię ci jakąś krzywdę. Ewa, wiesz o tym.

– Wyjedziesz? Tylko ta sprawa cię tu trzyma?

– Nie, przecież wiesz, że nie... Słuchaj, pomożesz nam? Będę twoim dłużnikiem.

Policjantka spojrzała groźnie na Mejzę, przesywając go spojrzeniem. Ten tylko sącył piwo, sprawiając wrażenie wyluzowanego i nieobecnego.

– Dobra, ale robię to dla ciebie, Piotrek. Nie ufam prywatnym...

– Nie chcę, żebyś zmuszała się do zaufania komukolwiek. Proszę cię tylko o przysługę... Odwdzięczę się.

– No, ja myślę.

– Czyli dostąpię audiencji u woźnego? – Mejza wrócił do rozmowy.

– Jutro rano, przyjdź przed siódmą. Wtedy powinno mi się udać przemycić cię do jego celi.

Mejza kiwnął głową.

– Nie łatwiej było po prostu zostać w zawodzie? – zapytała po chwili martwej ciszy, przykładając kufel do ust.

– Miałem dość – odparł krótko Maks.

– Miałeś dość... A teraz szukasz choć namiastki roboty, którą wcześniej kochałeś.

– Właśnie, Maks, czemu odszedłeś z policji? – wtrącił się Różycki.

– Odszedł? Ha! A kto powiedział, że odszedł? – Jej wzrok zderzył się z pełnym grozy spojrzeniem detektywa. Poczwała, jakby wpadła pod rozpędzony pociąg. Na ułamek sekundy jej budowana od początku spotkania pewność siebie poszła w diabły.

Maks spuścił głowę i wbił spojrzenie w odrapany stolik. Zaczął intensywnie drapać bliznę na szyi. Przez moment wydawał się całkowicie nieobecny.

– Zostawmy ten temat... – dodała po chwili, przełykając głośno ślinę. Chyba zrobiło się jej przykro przez reakcję, jaką wywołała. – Słuchajcie, chłopaki... Z tą wioską nie jest tak łatwo, jak się wam wydaje. Nikt z nas tam nie zagląda, bo do tej pory nie było takiej potrzeby. Wszystko się zmieniło, kiedy pojawił się ten dziadek wypytyjący o swoją córkę i wnuka. Nie mamy tam kamer... Świadców... Nikogo. Ciężko jest udowodnić cokolwiek, co się tam dzieje, zwłaszcza gdy jakiś natręt próbuje się dostać na prywatną posesję. Oczywiście nie mają prawa użyć przemocy, ale... Tak samo było z wami, prawda? – Spojrzała na spuchniętą wargę detektywa. – Raczej nie spytałeś, czy możesz wejść na herbatę, co nie?

– Dziadek? Jaki dziadek? – Różycki odwrócił się do Mejzy. – To ten twój klient, o którym nie chciałeś mówić? Też tam był?

– Nie róbmy z tego tajemnicy, dobrze? – Dziewczyna spojrzała prosząco na Maksa. – Ja i tak mu wszystko opowiem...

– To opowiedz... – Detektyw podniósł się z krzesła. – Ja tymczasem doleję nam paliwa. – Chwycił za dwa puste kufle, po czym zerknął na filiżankę Różyckiego. Była praktycznie pełna. – Tak tobą telepie pod stołem, że myślałem, że znowu napompowałeś się kofeiną. Chcesz coś z baru?

– Nie, nie, to mi wystarczy – odpowiedział Różycki. – Dzięki.

Ruszył przed siebie, już zawczasu pozdrawiając barmana skinieniem głowy. Przy barze stał ktoś jeszcze – mężczyzna w ciemnym stroju, siedzący wcześniej w kącie. Wisiał na blacie jak bokser na linach w przerwie morderczej walki. Maks ominął go i gestem dłoni zamówił dwa kolejne piwa. Wzrok wbił przed siebie, chociaż cały czas czuł na sobie oczy gościa obok. Ciężarowi spojrzenia towarzyszył kwaśny odór alkoholu, unoszący się ciepłą chmurką z każdym kolejnym wydechem.

– Ja biorę tu tylko whisky – odezwał się po chwili mężczyzna w ciemnym garniturze, ciężkim zachrypniętym głosem. Mejza go zignorował, cały czas wpatrując się w butelki przed sobą. Barman spuścił głowę, jakby chciał uniknąć kontaktu wzrokowego z którymkolwiek z klientów. – Widać, że jesteś tu nowy...

Maks odwrócił się w stronę stolika. Piotr i Ewa dyskutowali o czymś żywo, rozbawieni i uśmiechnięci od ucha do ucha. Zauważył, jak mocno się do siebie

przysunęli, gdy tylko na chwilę się oddalił. Potem rzucił przelotne spojrzenie tajemniczemu klientowi, który teraz, chwiejąc się na nogach, wpatrywał się w nalewającego piwo barmana. Nieco otyły mężczyzna zbliżał się może do pięćdziesiątki. Surowa twarz wyglądała jak ciosana kamieniem, gęste siwe włosy kręciły się we wszystkie strony, poza grzywką sklejoną potem do czoła. Gładko ogolone policzki miał nabrzmiące i czerwone od alkoholu.

Tylko jeden element zdawał się wyróżniać mężczyznę od reszty pałętających się po barze moczymord w średnim wieku – otaczająca szyję koloratka, wciśnięta pod kołnierzyk czarnej koszuli.

– Okazałbyś choć trochę miłosierdzia, Mirek – kontynuował mężczyzna w koloratce, zwracając się do barmana. Ledwo trzymał się stojącej przed nim lady. – I zaoferował gościowi jakiś lepszy trunek...

– Proszę księdza... – odezwał się cicho zawstydzony barman, wciąż nie podnosząc wzroku.

– No co? Przecież wszyscy wiedzą, że chrzczisz to piwo. Dzięki temu tych szcryn starcza na dłużej, co? – Mrugnął okiem do Mejzy. – Uczciwi klepią biedę! Ale, na litość boską... Nie wciskaj tego przyjezdnym. Tyle w tym browarze wody, że na drugi dzień nie ma po nim nawet krztyny kaca, a przecież nie o to w tym wszystkim chodzi.

Maks rzucił na bar zmiętą dwudziestkę, wziął dwa kufle i oddalił się w stronę stolika. Nie chciał mieszać się w nic niezwiązanego ze sprawą.

– Da mu ksiądz spokój! – krzyknął jeden z mężczyzn siedzących przy stoliku obok, starając się obronić honor lanego w tym barze piwa.

– Spokój? – Duchowny odwrócił się w stronę sali, badając mętным wzrokiem siedzących w barze gości. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał runąć na posadzkę.

Mejza usiadł. Różycki i policjantka w milczeniu przyglądali się scenie.

– Kto to jest? – zapytał Maks, podsuwając Ewie jej piwo. – To ksiądz?

– Tak. Jan Kozik.

– Pija ze wszystkimi w barze?

– Żadne prawo mu tego nie zabrania. Pismo chyba też nie...

Ksiądz Kozik zataczał się po sali, próbując dostać się do stolika pijących mężczyzn. Po drodze zgarnął jedno wolne krzesło i przysiadł się, uderzając kolanami o kant stołu. Stojące na nim piwa zafalowały jak morze podczas sztormu. Wszyscy rzucili się ratować swoje drinki.

– Dam Mirkowi spokój, Andrzej... – zwrócił się do jednego z mężczyzn, obejmując go ramieniem. – Ale zamknąć się nie zamknę, więc... Więc może skupmy się na tobie, co?

– Ksiądz jest pijany... Niech ksiądz idzie do domu... – Mężczyzna starał się zrzucić z siebie ciężkie ramię duchownego.

– Jak tam twój biznes, co? Zakład krawiecki, dobrze pamiętam? Nie widziałem jeszcze u was psa z kulawą nogą, ale jakoś się to trzyma, co? I to już tyle lat... Jarek! – Skinął głową do mężczyzny obok. – Byłeś tam choć raz? Zanośłeś coś do żony Andrzeja? Chociaż skarpetki pocerować? Nie? No właśnie... Może otwarcie pralni byłoby lepszym pomysłem?

– O czym ksiądz...

– Za wyłudzone od państwa dopłaty na ten biznes mógłbyś ubrać połowę polskich sierot... Dobrze jest mieć szwagra w urzędzie, co?

Mężczyzna rozejrzał się po barze spanikowanym wzrokiem.

– Ja... Ja... Wszystko jest legalne! – Zrzucił w końcu z siebie ramię duchownego. – O czym ksiądz...

– To może pogadajmy o Jarku, skoro już tu siedzi! – Wstał i podszedł do kolejnego raczącego się piwem mężczyzny. Położył mu dłonie na karku i zaczął delikatnie masować. – Co u żony, Jarek?

– Wszystko... w porządku? – odparł mężczyzna niepewnie. Cały czas błędził przestraszonym wzrokiem po reszcie obecnych przy stoliku kolegów.

– Dobrze... Dobrze to słyszeć... Marysia to taka dobra, ciężko pracująca kobieta. Wasze dzieci mają ogromne szczęście mieć taką matkę... Sam chciałbym mieć taką matkę, Jarek! Złota kobieta!

– Też... – Odkaslnął, odstawiając piwo na stół. – Też tak myślę?

– Powiedz, Jarek... Oglądasz czasem porno?

– Co?! Ksiądz zaczyna przeginać! Co to w ogóle...

– Widzisz, Jarek... – Zacisnął dłonie nieco mocniej na karku mężczyzny. Zaczął szeptać: – Gdybyś oglądał... Może wiedziałbyś, że to nagranie z twojego telefonu... Wiesz... To, jak posuwasz sąsiadkę w swoim garażu... To, do którego lubisz sobie czasem wracać... Jeszcze raz przeżyć tamte uniesienia... Może wiedziałbyś, że krąży w internecie. Dzisiaj strach zostawić telefon bez nadzoru, zwłaszcza przy nastoletnich dzieciach... I zwłaszcza jak puka się ich matkę... Jesteś gwiazdą, Jarek! Ciesz się! Niektóre sławy Hollywood tak właśnie zaczynały!

Mężczyzna zamarł. Ze stolika obok zaczęły dochodzić gromkie śmiechy. Zgraja nastolatków dyskutowała coś między sobą, przysłuchując się rozmowom dorosłych.

– No tak! – krzyknął ksiądz, zwracając się w ich stronę. – Mamy jeszcze stół wszystkich świętych! – Przybliżył się, co sprawiło, że śmiech tylko nabrał na sile. – Stary dobry ksiądz Kozik, co? Wyśmiewany przez was przy każdej możliwej okazji... Ale wiecie, co jest naprawdę śmieszne? – Nachylił się nad młodzieżą. Znowu zaczął

szeptać: – Naprawdę śmieszne jest to, że dzieciaki w waszym wieku czują się takie bezkarne... Wydaje się wam, że skoro świat doczesny może wam czasem tylko naskoczyć, to możecie robić wszystko. Naprawdę wszystko. Nikt i nic was nie powstrzyma... I to jest właśnie śmieszne, ta głupota! Nie macie pojęcia, że wszystko do was w końcu wróci. Że za każde podjęte działanie zostaniecie rozliczeni. Wiek to żadna wymówka... – Ksiądz sposepniał.

– Wszystkiego trzeba w życiu spróbować – rzucił jeden z nastolatków, co spotkało się z wybuchem śmiechu kolegów i koleżanek. – Ksiądz chce nam wmówić, że lepiej żyć jak pustelnik w zakonie?

– Wszystkiego trzeba w życiu spróbować... Zabawne, jak często pada to zdanie w odniesieniu do narkotyków, alkoholu i przygodnego seksu, a nie na przykład fizyki kwantowej albo wolontariatu.

– Co?

– To, że nawet jeśli nie wierzycie, że ktoś tam cały czas na was patrzy, to miejcie pewność, że ja robię to za niego... Czasem coś podsłucham... Czasem ktoś sam coś mi powie, często licząc na to, że jakaś siła wyższa zobowiązuje mnie do milczenia... A czasem wystarczy, że sam dodam dwa do dwóch, czytając poranną gazetę... Wiecie, o czym czytałem ostatnio? Chcecie wiedzieć? Sprawa piętnastoletniej Kasi... Kojarzycie? Dziewczynki spitej do nieprzytomności na jednej z imprez... Nic nowego, co? Bodajże u ciebie w domu, co, Karasiuk? – zwrócił się po nazwisku do jednego z siedzących przy stoliku nastolatków.

Chłopak zakrztusił się sączonym bezalkoholowym piwem. W całym barze nastąpiła głęboka cisza.

– Przekazywaliście ją sobie jak podpalonego jointa... – wyszeptał z obrzydzeniem ksiądz, rzucając siedzącym chłopakom spojrzenie tak ostre, że można się było o nie skaleczyć.

Mężczyzna w koloratce odwrócił się w stronę sali i obciął wszystkich spojrzeniem.

– Każdej niedzieli! – zwrócił się do wszystkich. – Każdej niedzieli ta garstka z was, która ma czelność pojawić się na mszy... Wydaje wam się, że wystarczy czasem wstać, czasem klęknąć i trochę sobie pomruczeć ze skuloną głową?! Albo pomachać gębą, jakby organista był waszym pierdolonym playbackiem, i na resztę tygodnia macie jakiś jebany immunitet?! Myślicie, że tak to właśnie działa?!

– Dość tego, Kozik! – krzyknął jeden z mężczyzn, wstając od stolika. – Panowie, czas go stąd wynieść! – skierował się do kolegów, którzy tłumnie do niego dołączyli.

– Sprawiacie, że chce mi się, kurwa, rzygać! Słyszycie?!

Czwórka roślących facetów ostrożnie zbliżała się do awanturującego się duchownego. Wyciągnęli ramiona daleko przed siebie, jakby próbowali obezwładnić agresywnie

zwierzę.

– Rzygać! Rzygać! Rzyg... – Księdzem gwałtownie rzuciło, wydał z siebie odgłos cofania, po czym wymiotował obficie na buty zgromadzonych.

– Skurwiel! – Jeden z mężczyzn odepchnął duchownego jak najdalej od siebie, ten przewrócił się i wyrznął głową w znajdujący się za nim kontuar.

– Dość tego! – Ewa wstała od stolika. Nie potrzebowała munduru ani odznaki, żeby momentalnie ustawić towarzystwo do pionu. Nagle wszyscy zamilkli, patrząc w jej stronę. Tylko ksiądz mruzczał ciągle coś pod nosem, leżąc pod barem w kałuży rozlanego piwa.

– Ewka, sama widziałaś, co zrobił! – oburzył się jeden z mężczyzn, unosząc do góry obrzygany but.

– To nie daje nikomu prawa go atakować, rozumiano?! A teraz won z baru! Dość wam na dziś.

– Ale...

– Wolisz na dołek?

Mężczyźni obejrzeni się na półprzytomnego księdza na podłodze. Cały czas coś mamrotał, po czym wybuchał gwałtownym śmiechem, jakby opowiadał sam sobie jakieś kiepskie żarty. Po chwili cała zgraja niechętnie opuściła bar, człapiąc nogami jak dzieci, które coś przeskrobały.

– Chłopaki, trzeba wynieść stąd Kozika, zanim jeszcze mocniej nabroi. – Policjantka skierowała się do Maksa i Różyckiego, którzy patrzyli niechętnie to na nią, to na pokrytego alkoholem i wymiocinami mężczyznę. – No co? Ja sama go nie uniosę.

– Nie wstawaj. – Mejza powstrzymał ruchem dłoni wstającego dziennikarza. – Ja go ogarnę, i tak chciałem się już zmywać. Nie psujcie sobie wieczoru.

– Jesteś pewien? Bo...

– Tak. Zostańcie. Na pewno macie sobie do pogadania. To co, Ewa? Jesteśmy umówieni na jutro, tak?

– Tak, siódma, pod komendą. Nie spóźnij się.

– Masz to jak w banku.

Skinął głową na pożegnanie, po czym ruszył pod bar. Nieco spanikowany barman próbował właśnie cucić ogłuszonego księdza.

– Chodź, Mirek, wyniesiemy go na zewnątrz. – Maks rzucił do barmana. – Niech się trochę przewietrzy... Zamówię mu tam jakąś takkę, ale sam go stąd nie wyniosę.

– Taa... Przewietrzy... Dobry pomysł.

Chwycili księdza pod pachy z dwóch stron i powolnym krokiem, ciągnąc po mokrej posadzce jego bezwładne nogi, ruszyli w stronę wyjścia. Ksiądz chwilowo milczał,

jakby zasnął. Jego pozbawione energii życiowej cielsko zdawało się ważyć w takim stanie kilka razy więcej.

Wytarabanili się na zewnątrz. Nadeszła noc. Słabe, migoczące światło ulicznej latarni wylaniało z ciemności kawałek pustego chodnika i ulicy. Nadejściu zmroku nie towarzyszył nawet najmniejszy chłód. Wciąż było parno i lepko. Mejza momentalnie zatęsknił za klimatyzowanym wnętrzem baru.

Posadzili księdza na krawężniku, z głową spuszczoną pomiędzy kolana.

Maks sięgnął do kieszeni spodni po paczkę fajek i poczęstował milczącego barmana. Palili przez chwilę w ciszy, kontemplując upstrzone gwiazdami bezchmurne niebo. Papierosowy dym unosił się obłokiem do atmosfery, by po chwili niknąć w mroku.

– To prawda z tym piwem? – Mejza jako pierwszy przerwał milczenie.

Barman nic nie odpowiedział. Posłał mu jedynie pełne wyrzutu spojrzenie. Po chwili westchnął, jakby zrezygnowany. Milczące przyznanie się do winy.

– Ludzie tak po prostu pozwolili mu po sobie skakać? – kontynuował detektyw. – Ja chyba dawno dałbym mu w zęby, jakby tak zaczął sprzedawać zgromadzonym moje grzeszki.

– Przyzwyczaiałbyś się... Mało kto bierze go na poważnie...

– Czyli takie cyrki dzieją się tu częściej?

– Zdarza się...

– Po prostu nie rozumiem, czemu uchodzi mu to wszystko płazem.

– Ludzie się boją...

– Boją się? To tylko człowiek, nie powinni...

– Boją się, że mógłby powiedzieć znacznie więcej.

Zamilkli. Przez chwilę w ciszy zaciągali się papierosowym dymem. Ksiądz zaczął nieudolnie podnosić się z krawężnika. Barman rzucił peta na ziemię i przygasił podeszwą buta.

– Wezwiesz mu takse? Ja chyba powinienem już wracać za bar...

– Taa, zajmę się tym.

– Dzięki.

Drzwi lokalu na moment się otworzyły, wypuszczając na ulicę trochę panującej w środku wrzawy. Przez moment można było dostrzec sylwetki miłośników spędzających czas Różyckiego i policjantki. Po chwili barman zniknął w środku, a cisza znów przejęła lejce na tym małym skrawku przestrzeni.

Mejza wykręcił numer jedyne go znanego sobie taksówkarza w tej miejscinie, po czym usiadł na krawężniku obok księdza nieudolnie próbującego teraz zapalić papierosa. Upuszczona zapalniczka uderzyła o krawężnik.

– Pomogę ci. – Mejza podniósł zapalniczkę i pomógł księdzu podpalić.

– Dzięki. – Kozik zaciągnął się i spojrzał w gwiazdy. – Wybacz, jeśli tam w środku jakoś cię obraziłem...

– O co tam chodziło? To całe przedstawienie miało jakąś przyczynę?

– Podśluchałem, jak te moczymordy rozprawiają o urodzie tych nastolatków ze stolika obok.

– Nie brzmi jak zbrodnia.

– Bo tego nie słyszałeś... Te dziewczyny mają po trzynaście lat. Czasem... Czasem mam po prostu dość. Ale to nic, przejdzie samo... Zawsze przechodzi. Wybacz mi, tak czy siak, jeśli jakoś cię dotknęły moje słowa. Nie chciałem i w ogóle...

– Tak to działa w waszym świecie? Można robić, co się komu żywnie podoba, pod warunkiem że potem się żałuje i prosi o przebaczenie? Przed chwilą opieprzałeś ludzi za podobne myślenie...

– To co innego. Moje przeprosiny są nieszczerze, nie ukrywam tego. Mają pomóc tylko tobie, mnie to niepotrzebne...

– Nieważne. Nie obraziłeś mnie, spokojnie. Mój stolik ominąłeś.

Ksiądz lepiej przyjrzał się rozmówcy.

– A tak... Przyjezdny... Nieczęsty widok... – Księdzem gwałtownie rzuciło, jakby przygotowywał się do kolejnej salwy.

Mejza delikatnie się odsunął.

– Spokojnie, fałszywy alarm – uspokoił duchowny. – To mówiłeś, po co tu przyjechałeś?

– Nie mówiłem.

– Aha. Ale nie na zwiedzanie?

– Nie. Szukam dziewczyny...

– Nie chciałbym cię rozczarować, ale tutejsze panny to kiepski materiał na żony... Wszystkie co bardziej wartościowe szybko znalazły sobie partnerów. Na przykład takich jak ta banda bydlaków z baru.

– A co przedstawiciel twojego zawodu może wiedzieć o dobrym materiale na żonę? Zresztą nie o to mi chodziło... Natalia Wolczak. – Mejza postanowił grać w otwarte karty, uznał, że rozmówca i tak niewiele z tego zapamięta, jeśli w ogóle...

– Kobieta tego doktorka z wioski?

– Znać się?

– Taka rola księdza znać każdego. I po co ci ona? Zajęta jest.

– Ona do niczego. Chodzi mi o jej dziecko.

– Oho. Wyczuwam *Modę na sukces*...

– Co?

– Myślałem, że zaraz się przyznasz, że ty jesteś ojcem, a nie doktorek.



– A jeśli tak właśnie jest?

– To masz obowiązek zdjąć z dzieciaka grzech pierworodny.

– Nie nadążam.

– Nie ochrzcili go. Nie tylko u mnie, ale w żadnej okolicznej parafii. Wiedziałbym. Dziecko wciąż chodzi z tym brzemieniem... Dobrych parę lat.

– Widział pan kiedyś to dziecko?

– Możemy przejść na ty – oznajmił. – Bo widzę, że tytuły ci średnio przez gardło przechodzą, a formy „pan” nie zdzierzę. Jan jestem... – Czknął i wyciągnął dłoń przed siebie w kierunku, który tylko orientacyjnie wskazywał na rozmówcę. – Jan Kozik.

– Maks Mejza. Miło poznać. To jak z tym dzieckiem?

– W życiu na oczy nie widziałem.

– To skąd wiesz, że się w ogóle urodziło?

– Co?

– Mogła poronić albo dokonać aborcji.

– Hmm... Nigdy tak o tym nie myślałem. Wkurzałem się tylko, że dzieciaka nie ochrzcili, potem kobieta zapadła się pod ziemię i już jej więcej paradującej z brzuchem nie widziałem.

– Zapadła się pod ziemię?

– Jak Nawara zwinął interes, to zamknęli się na tym swoim szlacheckim dworku. Mało kiedy nos teraz wyściubiają. A ona to już wcale.

– Coś słyszałem. Wiadomo, czemu doktorak musiał zamknąć praktykę?

– Oficjalnie wymagania formalne się nie zgadzały... Z rzeczy, które dotarły do moich uszu, chodziło o coś zupełnie innego.

– O co?

– Zamiast prostować wygięte umysły, łamał je do końca.

– Można jaśniej?

– Można, tylko po co?

– Dla mnie to ważne.

– Mieszał ludziom w głowach... Kiedyś przyszedł do mnie człowiek, który leczył u niego stany depresyjne... No, ale zobowiązuje mnie tajemnica spowiedzi, więc na tym możemy zakończyć tę rozmowę.

– Tam w środku tajemnica – Maks kiwnął w stronę baru – zdawała się nie stanowić przeszkody.

– Myślisz, że ktokolwiek z tamtych mi się wypowiedział? Właśnie w tym problem, że tego nie zrobili.

Światła nadjeżdżającej taksówki brutalnie przecięły noc, niemal wypalając na spojówkach odwykłych od jasności oczu dwie potężne kule ognia. Mejza i książdz

zasłonili oczy.

– No, czas na mnie. – Kozik z trudem podniósł się z krawężnika. Otrzeptał spodnie z ziemi, dłonią natrafiając na mokre plamy. Skrzywił się, jakby zdążył już zapomnieć, co wydarzyło się w barze.

– Cóż ojciec tam znowu nawywijał, co? – zawołał taksówkarz z uśmiechem, wychylając się przez okno.

– Nie jestem twoim ojcem, Dominiku. – Ksiądz ruszył, zataczając się w stronę taksówki. – Ile razy mam ci powtarzać, że tylko zakonników się tak tytułuje...

Kozik upadł na kolano. Mejza chciał zerwać się z miejsca, żeby mu pomóc, ale poczuł niewyobrażalny ból w plecach. Jakby coś rozrywało mu wszystkie mięśnie i ścięgna, niczym starożytne narzędzie tortur rozciągające go na kole. Rzucił soczystą kurwą i złapał się za krzyż, zwracając na siebie uwagę taksówkarza.

– O, widzę, że ojciec nie pił sam! Wychyliło się kielicha z detektywem?

– Detektywem? – zapytał ksiądz cicho, jakby sam siebie, odwracając się w stronę Mejzy.

– Wszystko w porządku, detektywie? – zapytał kierowca. – Nie wyglądasz coś najlepiej? Może podwieźć gdzieś?

– Nie trzeba – odparł Mejza, z trudem podnosząc swoje obolałe kości. Zignorował fakt, że każdy w mieście pewnie już wiedział, czym się zajmuje. Całe ciało pulsowało w rytm walącego serca, przepompowując gęstą, odwodnioną od alkoholu krew. Mięśnie wyły z bólu po starciu z kulturystą z wioski. – Odstaw tego tutaj bezpiecznie do domu. Dopilnuj, żeby nie szlajał się po monopolach. Dość dziś wypił.

Taksówkarz wysiadł, chwycił księdza pod ramię i usadowił na tylnym siedzeniu.

– Jak mi ojciec rzygnie na tapicerkę...

– Mam cię adoptować?! Tego się domagasz?!

Drzwi auta trzasnęły. Po chwili szyba z tylnego siedzenia zaczęła powoli sunąć w dół.

– Maks. – Ksiądz wychylił się przez szybę, tak że o mało nie wyleciał z powrotem na jezdnię. – Dziecko... Dziecko trzeba ochrzcić... Do kurwy nędzy... Nawet jeśli to wszystko bujdy... – Splunął na chodnik. – Pewności nie mamy, nie? Po co ryzykować wieczność w piekle? Taki chrzest to chwila roboty...

Mejza nie odpowiedział. Myśli powędrowały gdzieś do dawnych wydarzeń i innego księdza, który tłumaczył mu, czym jest „chrzest pragnienia”. „Chrzcić można tylko żywych” – słowa tamtego duchownego dźwięczały mu w głowie. Słyszał głos płaczącej byłej żony, zdawał się tak realny, jakby stała obok. „Ale jeśli rodzice bardzo mocno pragną, mogą swoją wiarą oczyścić nienarodzone dziecko z grzechu pierworodnego. Tylko musicie pragnąć...”

Do bólu pleców przyłączył się ból głowy. Zaczynał się atak. Musiał zejść z ulicy, nie chciał, zataczając się z bólu, władować się pod koła jakiejś ciężarówki.

– Do zobaczenia, Maks. – Głos Kozika dobiegł go jakby z oddali.

– Ta, do zobaczenia.

Auto odjechało, szum silnika coraz bardziej się oddalał, by po chwili zostawić detektywa z szumem w uszach, samego pośrodku absolutnej ciszy. Z bólem.

Obejrzał się za siebie, na okno baru. Nikt już nawet nie spoglądał w jego stronę, nikogo też nie obchodziło, jak skończył ksiądz. Przez chwilę rozważał powrót i wypicie kolejnego piwa w towarzystwie Różyckiego i policjantki. Alkohol dobrze działał na ból. Szkoda tylko, że to kurewskie lekarstwo było tak wyniszczające. Już wracał do środka, gdy kątem oka zerknął w okno. Zatrzymał się, patrząc na siedzącą w środku parę. Roześmiane twarze nie wyglądały na takie, którym brakuje jego towarzystwa. Postanowił wrócić do hotelu.

Rozmasował obolałe mięśnie i ruszył przed siebie.

Pochłonięty przez ciemność jednym kęsem, zniknął w głębi pustej uliczki.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Miał za sobą ciężką noc. Odgłosy zabawy, przebijające zza cienkiej ściany odgradzającej jego pokój od kwatery dziennikarza, sugerowały, że Różycki nie wrócił z baru sam.

Okolo czwartej nad ranem detektyw poszedł na recepcję, błagając brutalnie przebudzonego recepcjonistę o jakieś zatyczki do uszu. Otrzymał paczkę przeterminowanych, lepkich, przypominających plastelinę wkładek, które wcisnął sobie głęboko do kanałów słuchowych. Średnio wygodne, ale przynajmniej stał się głuchy jak pień. Zazwyczaj miał bardziej sprawdzone sposoby na bezsenność, jednak widok wymiotującego księdza, żałośnie leżącego w kałuży rozlanego piwa, sprawił, że tej nocy zdecydował się z nich nie korzystać. Wiedział jednak, że to tylko chwilowy wstręt.

Zawsze był tylko chwilowy.

Zatyczkami ugrał sobie trzy godziny wątpliwej jakości snu. Dźwięk budzika zdawał się tak surrealistyczny, że przez kilka minut tylko się mu przysłuchiwał, nie wierząc, że alarm wyje specjalnie dla niego. Brutalnie wyrwany z objęć Morfeusza, wyjął sobie z uszu stwardniałe już zatyczki i ruszył do toalety.

Wstając z łóżka, znowu to poczuł. Ciśnienie rozrywające mu kręgi z taką siłą, że kwestią czasu było tylko, aż któryś nagle wystrzeli, przebijając się przez cieką skórę pleców, i zostawi w ścianie za nim olbrzymią dziurę. Uświadomił sobie, że kontuzja, jakiej się nabawił, nie opuści go po jednej nieprzespanej nocy.

Jęcząc z bólu, zwłóknął się na podłogę i poczłapał do łazienki.

Nienawidził luster, zwłaszcza w takie poranki jak ten. Spojrzał sobie w poprzecinane żyłkami czerwone oczy, w których próżno było szukać jakichkolwiek śladów bieli. Usta miał dziś spuchnięte jak instagramowa modelka. Pod oczami wory opadające na nieogolone policzki i fioletowo-żółte sińce przy kościach policzkowych w miejscach, gdzie skóra jest cienka jak papier. Wczoraj wszystko działo się tak szybko, że nawet nie zdał sobie sprawy z tego, jak mocno poturbował go ten gość z wioski. Adrenalina potrafi działać cuda w takich momentach, ale ból zawsze w końcu przyjdzie, nawet jeśli będzie musiał cierpliwie poczekać na swoją kolej.

Choć miał wrażenie, że nie wypił wczoraj dużo, to suma zatankowanego przez całe poprzednie dwadzieścia cztery godziny paliwa skumulowała się w jednego paskudnego kaca. Fale kłującego bólu głowy przychodziły z każdym najmniejszym

ruchem gałek ocznych. Miał wrażenie, że słyszy nawet irytująco głośne tykanie zegara słonecznego w pokoju.

Starzał się. Poranki, po których nawet po nieludzko zakrapianej imprezie wstawał świeży jak skowronek, minęły bezpowrotnie.

Wziął szybki prysznic, włożył wygniecioną marynarkę i powyciągane dżinsy, po czym zszedł na dół. W połowie drogi na recepcję przypomniał sobie o Różyckim i jego cholernej liście pytań do szaleńca od wiertarki. Już miał to zignorować, ale ruszyło go sumienie. Młody załatwił mu spotkanie z policjantką, trzeba było spłacić dług.

Wrócił na górę i zapukał w drzwi sąsiada. Najpierw delikatnie, jednak po braku odpowiedzi walenie w drzwi przypominało już szturm antyterrorystów.

Cisza.

Nacisnął na klamkę, drzwi były otwarte. Nieśmiało zajrzał do środka, bojąc się widoku nagiego Różyckiego, rozwalonego na łóżku z policjantką u boku, ale kobiety już nie było.

Chłopak spał. O nagość nie było się co martwić – miał na sobie długą kraciastą piżamę, w której przypominał śpiącego czterolatka, brakowało tylko misia i kciuka w ustach. Sen musiał mieć wręcz kamienny, skoro walenie w drzwi nie było w stanie go dobudzić.

Pokój przesiąkł zapachem perfum. Mocnym i słodkim. Uczepionym i mieszającym się z DNA pościeli, firanek i zasłon. Ten sam zapach bez trudu wyczuł wczoraj w barze, to rozwiało wszelkie wątpliwości co do tego, kto mógł tu spędzić noc.

Wszędzie dookoła wały się ubrania, notatki i powyrywane strony z lokalnych gazet. Gość miał obsesję, bez dwóch zdań – przywilej młodych. Najwyraźniej zauważył, że w tej rzece coś błyska, i był pewien, że trafił na złoto, gdy mogły to być po prostu rybie łuski.

Mejza przypominał sobie kilka pierwszych śledztw, gdy dopiero zaczynał pracę w policji. Był taki sam. Wszędzie widział tropy, każdy był podejrzany, a rozwiązanie zawsze zdawało się czekać tuż za rogiem. Ale sterta otwartych spraw z czasem tylko rosła, każde śledztwo prędzej czy później trafiało na ścianę, której nijak nie szło przesunąć. W końcu nauczył się, że nie warto się zbyt mocno angażować, a starsi koledzy, z których lenistwa na początku szydził, szybko wpoili mu zasadę – „rób, ale jak najmniej”. Pozwalało to zachować zarówno stołek, jak i resztki zdrowia psychicznego. Zaangażowanie w cokolwiek prędzej czy później zawsze przynosiło tylko jeden efekt – rozczarowanie.

Chodząc po pokoju, stąpał tak głośno, jak tylko był w stanie, ale i to nie zbudziło śpiącego. Gdyby nie chrapanie, pomyślałby, że ma przed sobą trupa. Nachylił się i już miał potrząsnąć młodym dziennikarzem, gdy jego wzrok przykuła powierzchnia

nocnego stolika. Niewielka srebrna tacka przypominająca ułamaną połówkę papierośnicy. Na niej pozostałości po dwóch białych ścieżkach proszku.

Resztki z wczorajszej imprezy.

– Harcerzyk, twoja mać... – wyszeptał do siebie. W tym momencie Różycki złapał go za ramię.

– Co?! – Dziennikarz wpatrywał się w niego zaskoczonym wzrokiem. – Co tu robisz?! Maks? – Przypatrzył się bałaganowi na stoliku, którego nie zdążył uprzątnąć. – To... To nie...

– Nie jestem już gliną – odparł Mejza, nie dając mu dokończyć. – Ale twoja znajoma nim jest...

– Ona... Ona nie...

– Przyszedłem po te pytania, o których wczoraj wspomniałeś. – Detektyw zmienił temat, zdając się ignorować kokainowe ścieżki. – Miałeś mi je gdzieś zapisać. Idę z twoją koleżanką odwiedzić tego Wieśka w celi. – Jeszcze raz rzucił okiem na nocny stolik. – O ile dotarła do pracy...

– Dotarła... Ona... Ona jest bardzo sumienna. To dobra policjantka, ona tylko...

– Oszczędź mi tego. Przecież o nic cię nie pytałem. To masz to gdzieś zapisane? Jak nie, to wychodzę, nie mam czasu.

Różycki drążącą ręką wskazał biurko.

Mejza przyjrzał się przygotowanym kartkom. Wydrukowane pytania, pod każdym spore wykropkowane pole na zapisanie odpowiedzi. Podstawa pod wywiad rzekę.

– Nie przesadzasz? Nie będę miał czasu tak długo z nim gadać.

– Zrobisz, ile możesz... Więcej nie wymagam...

Mejza władował kartki do wewnętrznej kieszeni marynarki i ruszył w stronę wyjścia. Już chwycił za klamkę, gdy elektryzujący ból przeszedł jego ciało. Odrętwienie poczuł aż na czubku języka. Złapał się za plecy.

– Wszystko OK? – Różycki gwałtownie usiadł, opierając się o ramę łóżka.

– To ten skurwiel z wioski. Tak mną rzucił, że chyba coś sobie naciągnąłem.

– Może powinieneś pójść do lekarza?

– Może powinienem.

– Maks?

– Co znowu?

– Mógłbyś jej nie mówić... Ewie. Ona tylko czasem potrzebuje dekompresji... Sam wiesz, jaki zawód gliniarza jest stresujący.

– Dekompresja... Ładne słowo.

– Nie chcę, żeby teraz resztę życia musiała bać się o robotę.

– Myślisz, że bym ją sprzedał?

– Ja nie. Ale cholera wie, co ona pomyśli. Po prostu nie daj jej odczuć, że wiesz. Będę miał u ciebie dług.

– Gdybym miał odbierać wszystkie długi, jakie mają u mnie inni, to pomyślałbym nad zatrudnieniem się w Providence.

Różycki nic nie odpowiedział, spuścił głowę.

– Odwiedzę cię, jak wrócę. Zobaczę, co uda mi się z niego wyciągnąć. Kto wie, może napiszesz artykuł życia – rzucił, po czym zniknął za drzwiami.

\* \* \*

Stał w ciemnym zaułku niedaleko komisariatu, sącząc kawę z papierowego kubka, którą wyrwał recepcjoniście z rąk, stwierdzając, że ten zdąży sobie zrobić nową. Tutaj, otoczony murami komisariatu i sąsiadującego z nim bloku mieszkalnego, czuł przyjemny chłód, jakiego, mimo wczesnej pory, próżno było szukać na ulicach miasta. Kojące uczucie, dokładnie to, czego potrzebował dla spuchniętej twarzy.

Odpalił papierosa i popatrzył na zegarek. Dziewczyna się spóźniała. Już wyciągał telefon i miał dzwonić do Różyckiego, gdy usłyszał kroki. Ewa Wróblewska nie podeszła, stanęła jedynie na wejściu do alejki, zagwizdała i wezwała go do siebie machnięciem dłoni, jak psa.

Podszedł bliżej. Dziś dziewczyna w niczym nie przypominała tej odstrojonej piękności z baru wczoraj. Wciąż czuć było jej perfumy, co sugerowało, że nie miała rano czasu na prysznic, ale dziś słodka woń mieszała się z kwaśnym smrodem kaca. Przywitała się skinieniem głowy, niechętnie zerkając w jego stronę.

– Ciężka noc? – zapytał.

– Noc była lekka – odparła, odwracając się plecami. – To poranek jest ciężki. Idziesz? Nie mamy zbyt wiele czasu.

– Idę. Tak w ogóle to dzięki. Wielu zbywa dawnych kolegów po fachu, ale ty zdecydowałaś się mi pomóc. Doceniam.

– Jedno sobie wyjaśnijmy. – Przystanąła i na powrót spojrzała w jego stronę. Teraz mógł dostrzec to, czego się tak wstydziła. Tego, jak wyglądały jej oczy... Zarówno otępiełe, jak i ożywione. Bardzo niebezpieczna mieszanka. – Nie pomagam ci. Tak naprawdę to nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Wyświadczam przysługę komuś, kogo lubię, to wszystko...

– Skąd ta niechęć do mnie? Już na starcie miałaś wyrobioną opinię, jakby...

– Wiem, za co cię wywalili, Mejza. Ze służby. Nie chcę mieć z takimi ludźmi nic wspólnego.

– Wiesz tyle, ile jest w aktach.

– Taa, ale popytałam tu i ówdzie. Resztę sobie dopowiedziałam.

– I ta reszta tak bardzo cię odstręcza?

– Tak... Bo sprawia, że myślę o rzeczach, do których nie chcę wracać, rozumiesz? Nie potrzebuję tego gówna, pracuję tu dopiero od niedawna i...

– I nic nie wiesz o tym, co to robi z ludźmi? Skoro moje towarzystwo tak bardzo cię odpycha, to mogłabyś mi po prostu powiedzieć, co wiesz o tym dziecku. To proste zlecenie, do cholery. Mam tylko zobaczyć, czy jest całe i zdrowe, zrobić fotkę na dowód i tyle. Facet nic więcej ode mnie nie chce. Więc może oszczędź mi gadania z tym świrem, a sobie ryzyka wpadki, i po prostu mi powiedz.

– Nie rozumiesz?! W tym właśnie rzecz!

– W czym?

– Nie wiem, co się stało z tym dzieciakiem! Nie mam pojęcia! Pamiętam, że ta laska była w ciąży, chodziła z brzuchem, ale tego dzieciaka w wiosce nie ma! Twoja obecność i te wszystkie jebane pytania sprawiają, że myślę o rzeczach, o których nie chcę myśleć. Nie chcę myśleć o tym, co stało się z dzieciakiem, rozumiesz? Nie chcę myśleć, co ta praca robi ze mnie za kilkanaście lat! Nie chcę stać się tobą! Ani tobą, ani swoją matką. Chcę tu pracować... Ja... Ja zawsze chciałam być policjantką.

– Masz pewność?

– Co? Tak, zawsze o tym marzyłam, pamiętam, jak pytali mnie w szkole...

– Nie o to pytam. Pewność, że dzieciaka nie ma w wiosce.

– Nie stuprocentową. Czasem tam zaglądamy, popytać, czy wszystko w porządku i w ogóle. Nikt z nas nigdy się tym nie zainteresował. Jeśli mam być szczerą, w ogóle zapomniałam, że ona była w ciąży. A teraz te pytania jej ojca, potem twoje... Zaczynam myśleć, że stało się coś złego. Nie widziałam tam żadnego dziecka, tylko tyle wiem. W aktach też nic nie mamy.

– Dlaczego tego nie sprawdzisz? Ciebie tam wpuszczają. Muszą.

– Nie tym się tu zajmujemy. Robię tylko to, co każą mi przełożeni.

– No dobra... Czyli na moje pytania mogą odpowiedzieć tylko ci, co tam mieszkają.

– Możliwe... Jeden siedzi w celi, więc chodź w końcu. Nie mamy dużo czasu, zanim zlezie się tu więcej psów.

Weszli do środka, dziewczyna kiwnęła głową dyżurnemu, informując, że przyprowadziła świadka na przesłuchanie, po czym rozległ się bzyczek otwierający główną kratę. Swoje kroki od razu skierowali w stronę schodów, na dół, do piwnic.

– Kiedy go przenosicie do aresztu śledczego? – zapytał Mejza.

– Nie pojedzie do aresztu.

– Co?

– Przenoszą go prosto do psychiatryka, na obserwację. I na moje oko już tam zostanie.



Weszli na ciemny korytarz. Ewa pstryknęła przełącznikiem, uruchamiając oświetlenie. Stopniowo, sekcja po sekcji, światło wydobyło z mroku rząd trzech cel. Brudna zielonkawa farba schodziła ze ścian całymi płatami. Nigdzie nie było krat, cele zamykane były masywnymi stalowymi drzwiami pokrytymi czerwonawą rdzą.

– Skąd ta pewność? Może facet tylko symuluje, żeby się wymigać.

– Wczoraj próbował się wyhuścić – odparła szorstko.

– Co?

– Dopiero rano się dowiedziałam. Nasza wina, powinniśmy lepiej świra przygotować. Zostawiliśmy go w jego ciuchach. Miał pasek...

– Kurwa.

– No. Mieliśmy farta. Poleciałoby kilka głów.

– Rozumiem, że zabraliście mu wszystko, czym mógłby zrobić sobie krzywdę?

Zdjęła z paska pęk kluczy, starając się znaleźć ten od celi. Powoli mocowała się z pordzewiałą zasuwą, pozwalając bezpiecznie zajrzeć do więźnia przed wejściem do środka. Po chwili stal głośno huknęła, zostawiając niewielki otwór w drzwiach.

– Tak, nie masz pojęcia, jak się wszyscy osrali. – Nachyliła się, jakby rutynowo, robiąc najpierw krok do tyłu, i spojrzała do wnętrza niewielkiej celi. – Teraz, o ile nie wpakuje sobie skarpetki do gardła i w konsekwencji nie zadławi, to...

Zamilkła.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – powtarzała jak mantrę rozedrganym głosem i jeszcze mocniej roztrzęsionymi dłońmi starała się wyłowić w pęku kluczy ten właściwy.

– Co jest?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Była jak w transie. Cały czas klęła pod nosem, szeptem.

– Ej! Co się stało? – Delikatnie odepchnął dziewczynę i sam zajrzał do celi.

Mężczyzna w środku leżał na ziemi. Twarzą przy podłodze. W kałuży krwi. Drugie spojrzenie ujawniało krwawe ślady na ścianie. Chropowaty beton ociekał krwią, cały pokryty kawałkami skóry.

– Klucze! – krzyknął do zszokowanej policjantki, która na dźwięk jego głosu stanęła jak wryta, zaprzestając dalszych poszukiwań. – Znajdź ten cholerny klucz!

Wyciągnęła przed siebie drżącą dłoń, wręczając mu cały pęk. Mejza szybko przewertował zestaw, znajdując ten właściwy. Chwila mocowania się z zamkiem i drzwi stanęły przed nimi otworem. Wbiegł pierwszy, momentalnie dopadając do zakrwawionego więźnia. Obrócił go na plecy.

Oczy były wciąż otwarte. Twarz Wiesława Bryzy niemal w całości pokryta była zeschniętą krwią.

– Wezwij pomoc! – krzyknął do policjantki. Ta jednak tylko nad nimi stała, przykładając dłoń do ust, jakby powstrzymując się od krzyku. Cały czas wpatrywała się w ścianę przed sobą.

Przyłożył dwa palce do szyi więźnia, lecz nie wyczuł pulsu. Czaszka woźnego była rozłupana. Chropowata i poszarpana mięsista tkanka pokrywała niemal całe czoło, spod którego przebijała na zewnątrz biel kości. Kto wie, jak długo musiał walić głową w ścianę więziennej celi...

Wzrok Mejzy spoczął na przedramieniu trupa, na którym znajdowała się kolejna rana. Dziwna, niemogąca być efektem żadnego znanego mu narzędzia. Jakby coś urwało z niej kawał mięsa...

Albo wygryzło.

Palcami rozchylił usta zmarłego, odsłaniając pokryte krwią zęby i dziąsła.

– Odejdź od niego! – wykrzyczała po chwili policjantka, najwyraźniej odzyskując zmysły.

Mejza odwrócił się w jej stronę. Milczał.

– Słyszysz mnie?! – krzyknęła ponownie. – Wypierdalaj stąd!

– Co...

– No już! Wypierdalaj! Jak ktoś zobaczy, że tu jesteś...

Mejza wstał, starając się zignorować przeszywający ból pleców. Pozwolił się odepchnąć od ciała, jego miejsce zajęła teraz dziewczyna. Spojrzał na ścianę. Spomiędzy nierówności i zerwanego tynku ściekała krew, zakręcając w różne strony jak rzeka.

I wtedy to dostrzegł. W tej brudnoczerwonej plamie.

Ledwo widoczny tekst nasmarowany na murze ludzką krwią.

*ZaBić ŚMIerĆ*

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wybiegł na ulicę, gdzie na dzień dobry oberwał morderczym słońcem po twarzy. Grzało już z takim natężeniem, że zaczął się zastanawiać, jak długo siedział w piwnicach komisariatu. Wszystko zdawało się dziać tak szybko...

W jednej chwili cały plan się posypał. Szansa na prostą i szybką odpowiedź na pytanie, gdzie jest dzieciak, radykalnie zmaląła. Musiał coś wykombinować, i to szybko, zanim klient zacznie wypytywać, czemu w tak banalnej sprawie od dwóch dni nie ma postępów.

Ale to już nie dziś.

Dziś nie było na to szans, nie po tym, co zobaczył w celi. Nie po to zakończył ten rozdział swojego życia, w którym narażony był na podobne widoki jako śledczy. Nie po to na zawsze zamknął te drzwi i zaminował wejście, żeby znowu być świadkiem takich wydarzeń.

Cały się trząsnął. Schował dłonie do kieszeni i starając się trzymać w miarę sztywno, parł przez przeżarte pustką miasto w poszukiwaniu najbliższego sklepu. Znalazł jakiś nieduży spożywczyak na rogu i ciężko dysząc, władował się do środka. Ruszył prosto do półek z alkoholem. Już sięgał po flaszkę, gdy skarcił go ostry kobiecy głos:

– Nie widzi pan tabliczki?!

– Co? – Rozejrzał się po półkach. „Alkohol podaje sprzedawca” – informowała tabliczka, której nieomal nie zrzucił z półki.

Stanął pod kasą.

– Zero siedem jamesona – rzucił smętnie. – I dwie ćwiartki wiśniówki...

– Proszę pana! – Poczul stukanie palcem w plecy. – Proszę pana!

– Czego?! – odwrócił się gwałtownie.

Zamarł.

– Kolejka jest! – Oburzyła się kobieta z burzą loków na głowie. Na oko mogła się powoli zbliżyć do czterdziestki. Niezbyt luźna bluzka uwydatniała okrągły brzuch. Cięża, bez dwóch zdań. – Wcisnął się tu pan, w ogóle nie patrząc, czy ktoś stoi... – Kobieta zamilkła, zmrużyła oczy, jakby już gdzieś wcześniej widziała tego wpychającego się do kolejki troglodytę. – Maks? – zapytała po chwili. – Boże... Maks...

– Mariola...

– Maks... Co ty tu...

Fala wspomnień wylała się na świadomość, jakby puściła tama. W jednym momencie zaatakował go potężny ból głowy. Dźwięk butelek alkoholu stuknął o sklepową ladę.

– Coś jeszcze? – zapytała sklepowa, wyraźnie podirytowanym głosem.

– Widzę... – zająknął się Mejza. Słowa ledwie przechodziły mu przez gardło. Nie wiedział, co powiedzieć. – Widzę, że jesteś w ciąży...

Kobieta delikatnie położyła dłoń na brzuchu. Uśmiechnęła się.

– Tak... Tak, ja... Dziewczynka, Maks. To dziewczynka.

– Gra-gratuluję... Ja...

Poczuł się słabo. Nogi zmiękły mu, jakby zamiast mięśni miał tam rozmokłą watę. Oparł się o ladę, zrzucając jedną z butelek na podłogę. Nawet nie usłyszał szczęku kruszonego szkła. Obraz stopniowo się zaciemniał, zostawiając tylko niewielki tunel. Tunel, na końcu którego widział jej twarz.

– Maks, wszystko w porządku? Strasznie zbladłeś...

Miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Poczuł krople deszczu na twarzy... Wrażenie było tak wiarygodne... Usłyszał sygnał niezapiętych pasów... Muzykę...

Robiło się coraz ciemniej...

\* \* \*

– *Maks, zaczęło się! Słyszysz mnie?*

*Głos Marioli. Poczuł, jak coś szarpie go za bark, ale to coś potrzebowało chwili, żeby wybudzić go z transu. Zdał sobie sprawę z tego, że siedzi w fotelu. Ekran telewizora zdawał się otaczać go ze wszystkich stron.*

*Jak się tu znalazł? Chyba pamiętał... Po pracy poszedł z Głowackim na wódkę. Musiał się napić. Tak. Musiał... To był okropny dzień. Gdy wrócił, Mariola już spała, a on włączył sobie film...*

– *Maks, do cholery! Rusz się!*

*Pracował nad pewną sprawą. Sprawą dziewczynki... Dziś musiał ją przesłuchać w obecności psychologa i chyba to go tak dobiło. Na tyle, że musiał się napić. W głowie wciąż słyszał jej drżący, kruchy głos. „Ale miałam obiecać, że nikomu nie powiem”. Razem z psychologiem zapewniali ją, że im może powiedzieć wszystko. Że nic nie opuści tego pluszowego pokoju przesłuchań pełnego zabawek. Jakby zabawki mogły cokolwiek zmienić...*

– *Maks!*

*Matka chciała zapuszkować ojca. Oskarżała faceta o najgorsze rzeczy. Jak to zwykle bywa w takich sprawach, z góry musiał zakładać, że kłamie. Ten fach tego wymagał, zwłaszcza gdy w grę wchodziły małżeńskie kłótnie. I chyba na to liczył... Że i tym razem oskarżenia to nic więcej jak skakanie sobie do gardeł byłych miłosnych kochanków.*

Szarpanie za bark stawało się coraz gwałtowniejsze.

„Tata zawsze mówił, że się źle czuję, chociaż wcale tak nie było. Mówił, że boli mnie brzuch i nigdzie nie pójdę, ale mnie nic nie bolało”, mówiła dziewczynka. Dopytywali ją, co ma na myśli. Prosili o rozwinięcie. „Zawsze, gdy szliśmy gdzieś wszyscy razem. Wtedy mama szła sama z bratem, a ja musiałam zostać w domu. Z tatą”. Zostać w domu? – pytali. „Zawsze mówił, że śmierdzę. I że muszę się wykąpać. A to była nieprawda”. Co było dalej, skarbie? „Mówił, że on też. Że on też śmierdzi. I że umyje się ze mną. Chciał... Chciał, żebym go myła”.

– Maks, do kurwy nędzy!

Tak... Musiał się napić.

– Co się dzieje? – Obrócił się w fotelu, patrząc w spanikowane oczy żony stojącej nad nim. Musiał odpłynąć... Mariola trzymała się za brzuch.

– Od minuty do ciebie wrzeszczę, do cholery! Śpisz?! Zaczęło się! Musimy jechać!

– Co się zaczęło?

– Rodzę!

Zerwał się na równe nogi, stojąc przez chwilę jak kołek. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Zawiesz nas czy mam wezwać transport? – zapytała.

– Ja... Ja...

– Zawiesz czy nie? – Zamilkła na moment. – Piłeś?!

– Nie... O czym ty...

– Przysięgałeś, Maks. Kurwa, przysięgałeś... Miałeś już nie...

– Nic nie piłem, daj mi spokój! Ubieraj się i jedziemy.

Jeszcze raz spojrzeli sobie w oczy na korytarzu. Uśmiech na twarzy kobiety przebijał się przez grymas przerażenia. Była tak szczęśliwa.

– Będziemy mieć dziecko, Maks. Możesz w to uwierzyć? Nasza mała Sonia niedługo do nas dołączy.

– Myślałem, że jeszcze nie zdecydowałaś się na imię.

– Właśnie wpadło mi do głowy. Sonia. Podoba ci się?

– Jest piękne.

Noc była cicha i deszczowa. Wycieraczki pracowały na pełnych obrotach, ale wciąż słabo widział drogę przed sobą. Kolejne krople rozbijały się o przednią szybę, tworząc mu przed oczami mozaikę wodnych zawijasów. Co chwilę zerkał w prawo, patrząc, jak Mariola trzyma się za brzuch, jakby obawiała się, że dziecko po prostu wypadnie, nim zdążą dojechać do szpitala. Chciał, żeby się uspokoiła... Musiała się uspokoić. A może to on musiał?

Odpalił odtwarzacz płyt. Potrzebowali czegoś kojącego zmysły. Z głośników popłynęła muzyka jej ulubionego zespołu – Poets of the Fall. Padło na utwór Late Goodbye.

*Mknął przed siebie, za nic mając sobie ograniczenia prędkości. Wiedział, że w razie czego wykpi się odznaką i rodzącą żoną. Tylko że reakcje przestawały nadążać. Miał wrażenie, że nie do końca panuje nad maszyną. Że tylko pamięć mięśniowa trzyma ich jeszcze na drodze.*

*– Maks... Daleko jeszcze?*

*– Już prawie jesteśmy, skarbie. Wytrzymaj jeszcze chwilę.*

*– Maks!*

*Stracił panowanie nad kierownicą. Auto wpadło w poślizg i zatrzymało się na najbliższym drzewie. Dźwięk giętej blachy to najbardziej przerażający odgłos na świecie. Wdziera się do mózgu, zalega w organizmie jak ołów, nawiedza w snach przez lata.*

*Gdy otworzył oczy, nie widział nic prócz kłębow szarego dymu. Cudem otworzył drzwi i wypadł na ziemię. Potworny ból głowy nakładał się na ból złamanej nogi. Za kilka godzin lekarze stwierdzą poważny wstrząs mózgu.*

*Czołgał się po chodniku w rytm sygnału niezapiętych pasów w stronę drzwi pasażera, wlokąc za sobą bezwładną kończynę. Światła awaryjne waliły mu po twarzy. Dopadł do klamki i naparł na nią całym ciałem, gdy zauważył drzewo wyglądające, jakby wyrastało wprost z maski samochodu. Jakby wrak stał tam od stuleci, pozwalając naturze w całości nim zawładnąć.*

*Resztką sił wyciągnął Mariolę na zewnątrz. Deszcz zmywał krew z jej twarzy. Próbował ją cucić, ale nie reagowała.*

*– Skarbie? Mariola, skarbie. Powiedz coś, proszę...*

*Nagle poczuł, że jego spodnie mokną szybciej, niż powinny, jakby siedział wprost w kałuży. Tylko że deszcz był lodowaty, a on czuł ciepło. Zamarł, gdy spojrział w dół.*

*Brodził we krwi. Jej krwi.*

*Wyciekającej wprost z rozdartego łona.*

*\* \* \**

*– Halo! – krzyknęła zza pleców kasjerka. – Kolejkę mi pan blokuje. Płaci pan? I za tę rozbitą też pan musi.*

*Mejza odwrócił się i zmieszany spojrział na swoje zamówienie. Butelki wysokoprocentowego alkoholu. Ostry głos kobiety za ladą przywrócił go temu światu. Musiał kompletnie odpłynąć.*

*– Tak... – Sięgnął do kieszeni po portfel. Po chwili trzymał w dłoni przezroczystą reklamówkę wypełnioną obijającym się o siebie szkłem. Mariola spojrzała w jej stronę, tylko na moment, ale tyle wystarczyło, żeby doszczętnie go zawstydzić. Zakrył reklamówkę własnym ciałem. – Mam tu sprawę do załatwienia – odparł w końcu, przypominając sobie, że pytała go, co tu robi.*

*– Sprawę? – Kobieta szeroko się uśmiechnęła. – Tutaj, u nas?*

– Tak...

Począł, aż Mariola zapłaci. Coś mówiło mu, że tak właśnie powinien postąpić. Począł i pogadać, chociaż miał ochotę jak najszybciej stamtąd uciec i utopić wszelkie głębsze myśli w zawartości reklamówki. Czuł się jakoś nieswojo, patrząc na brzuch ciężarnej byłej żony. Myślał, że... Że po tamtym wieczorze nie będzie już zdolna nigdy... Najwyraźniej ludzki organizm potrafił zdziałać cuda.

Im starszy się robił, tym częściej wracał myślami do dawnych czasów, do Marioli wyidealizowanej w jego głowie aż do granic. Często zastanawiał się, co by było, gdyby...

Nagle poczuł się bardzo głupio. Jadąc tu, przeszło mu przez myśl, że może na nią trafić. Miał jakąś dziwną nadzieję, że stanie naprzeciwko osoby równie złamanej, co on sam. Naprzeciwko kogoś, kto przeszedł podobną drogę. Kogoś, z kim mógłby spróbować drugi raz.

Szczęk szkła w torebce wyrwał go ze stanu zamyślenia. Jeszcze raz spojrzął na uwydatniony brzuch, czując ten przerażający wstyd.

Wstyd, że tylko jego myśli wędrują wstecz, gdy najwyraźniej wszystkich dookoła skierowane były na rzeczy mające dopiero nadejść.

Wyszli ze sklepu i przystanęli na niewielkim zacienionym fragmencie chodnika.

– Dobrze wyglądasz – rzucił, chcąc nakierować rozmowę na jakiegokolwiek tory.

– Ty... Ty też, Maks.

– Serio?

Uśmiechnęła się.

– Nie, chciałam po prostu być miła.

– Byłam w Psiej Budzie, wiesz? Nie było tam psów...

– Zdechły dawno temu. Właściciel nigdy się chyba do końca nie pozbierał. Kochał te owczarki najbardziej na świecie... Naprawdę nie mogę uwierzyć, że cię tu spotkałam. Jakie interesy cię tu przywiały? – Ponownie spojrzała na reklamówkę. – Znalazłeś tu pracę?

– Nie, nie, mam tu tylko zlecenie.

– Zlecenie?

Poszperał przez chwilę w kieszeniach. Wyjął i wręczył jej wizytówkę agencji detektywistycznej, mając nadzieję, że chociaż w ten sposób nieco się zrehabilituje w jej oczach i nie wyjdzie na skończonego przegrywa.

– Detektyw? – Wyjrzała znad wizytówki. – Naprawdę?

Kiwnął głową.

– Odszedłeś z policji?

– Krótko po tym, jak... Krótko po tym, jak odeszłaś.

– Co się stało?

– Nic. Potrzebowałem zająć się czymś nowym, świeżym.

– Świeżym? Detektyw to chyba podobny zawód czy nie?

– Dużo prostszy. A ty, co porabiasz? – Zmienił temat. – Szczerze mówiąc, jestem równie zdziwiony tym, że cię tu spotkałem, jak ty. Nienawidziłaś tego miasta. Twierdziłaś, że tu nie ma perspektyw... – Widząc, jak uśmiech schodzi jej z twarzy, pożałował, że to powiedział. Sam nie wiedział, czemu to zrobił. Chyba chciał pokazać, że nie tylko jemu życie rzucało kłody pod nogi.

– Chciałam wrócić tu tylko na chwilę. Pozbierać się w przyjaznym środowisku. Ale, jak widać, plany się zmieniły... – Poglądziła się po brzuchu. – Choć wciąż obstaję przy swoim zdaniu. – Ponownie się uśmiechnęła. – Tu nie ma perspektyw, nie chciałabym, żeby moje dzieci tu zostały. A co porabiam? Nic szczególnego, na razie zajmuję się domem... To co to za zlecenie?

– Wiesz, jak to jest. Nie mogę mówić. – Chciał zabrzmieć tajemniczo, ale nie zauważył, żeby zrobił na niej jakiegokolwiek wrażenie. Kobieta spojrzała na zegarek.

– Taa, słuchaj... Cholera – ucięła.

– Coś się stało?

– Nie, tylko idą te dziwaki. – Kiwnęła głową na drugą stronę ulicy. – Nie stójmy tu, proszę, odejźmy na bok.

Maks się obejrzał. Dwójka dobrze mu już znanych mężczyzn z wioski. Łysy z wyłupiastymi oczami i ten, przez którego ma problemy ze wstawaniem w łóżka i gryzieniem co twardszych pokarmów.

– Sukinsyn... – wyszeptał pod nosem.

Kobieta nieco się odsunęła. Łysy szedł przed siebie jak zahipnotyzowany, nie oglądał się na boki. Jedynie kulturysta obciął ich zaciekawionym spojrzeniem. W jego oczach pojawiła się jakaś iskierka, jakby coś właśnie sobie uświadomił. Spojrzał Maksowi w jego pełne nienawiści i żądzy zemsty oczy, po czym uśmiechnął się delikatnie i zniknął za drzwiami sklepu.

– Zawsze dziwnie się gapią... Nie lubię ich – rzuciła Mariola. – Wpadają tu czasem po zakupy...

– Zrobili ci kiedyś jakąś krzywdę?

– Co? Nie... Ale są dziwni. Unikam ich.

– Nie chciałabyś może pójść na kawę? Trochę powspominać?

– Miło z twojej strony, Maks, ale spieszę się do domu. – Zamachała w powietrzu siatką z zakupami.

– Tak. Pewnie, tak tylko...



– W końcu tu przyjechałeś... Zabawne, jak się czasem w życiu układa. Jak byliśmy ze sobą, to nigdy nie chciałeś zobaczyć, skąd pochodzę. Parę razy próbowałam zabrać cię tu na weekend.

– Ja... Sam nie wiem, czemu nigdy cię tu nie odwiedziłem. Byłem jakiś inny...

– Jak my wszyscy, Maks. – Uśmiechnęła się, po czym znowu zerknęła na zegarek. – Jak my wszyscy... Przyjechałeś sam? Z żoną?

– Ja? Ja... Ja przyjechałem sam. – Podniósł przed siebie dłoń, demonstrując brak obrączki. – Żony brak.

– Rozumiem. Czyli z nikim się nie spotykasz?

Przez chwilę zastanawiał się, czy opowiedzieć jej o kobiecie, z którą spotykał się lata temu. Tej, którą poznał w bibliotece na spotkaniu promującym książkę opowiadającą o jednej ze starych spraw, które prowadził jeszcze w policji, ale uczucie wstydu uderzyło wtedy ze zdwojoną siłą. Przypomniał sobie, jak długo nie mógł się pozbierać, gdy i ona postanowiła spuścić go w kiblu. Jak długo męczył ją telefonami... Tak długo, że w końcu zmieniła numer... Pamiętał kobiety zabierane do auta z ulicy, takie, które pojawiały się w jego życiu nocą tylko po to, by zniknąć rano, nie łatając dziury w sercu, za to tworząc nową w portfelu. Pamiętał, jak potrafił wykorzystywać przewagę, którą dawała mu odznaka, i próbował uderzać do załamanych kobiet, których facetów sam wsadzał za kraty. Pamiętał to poczucie obrzydzenia do samego siebie. Tak bardzo nie chciał być sam, gdy odeszła...

Pamiętał...

Czasem miał wrażenie, że pamięć to choroba.

– Wiesz... – odparł po chwili, drapiąc się po nosie. – Jest kilka kobiet. Ale to nie to. Sam nie wiem, chyba po prostu nikogo na siłę nie szukam. Pozwalam sprawom iść swoim tempem.

– No tak... – Uśmiechnęła się kobieta. – To dobrze, Maks. Dobrze, że jesteś szczęśliwy. Cieszę się.

– Tak... A ja cieszę się, że ty też.

– Naprawdę muszę już lecieć. – Kobieta obdarowała go szerokim uśmiechem. – Trzymaj się. Może jeszcze się miniemy, to małe miasto. – Posłała mu swoje magiczne mrugnięcie okiem i ruszyła w dalszą drogę.

– Pewnie... Bardzo... Małe... – Patrzył, jak odchodzi, ściskając w dłoni reklamówkę. Stał tak jeszcze przez dłuższą chwilę, niemal jak posąg, nieruchomo.

Chciał stracić ją z zasięgu wzroku, nim otworzy pierwszą flaszkę.

\* \* \*

Zanim dotarł do hotelu, cały świat zdążył się już rozmyć.

Problemy, które jeszcze kilka godzin temu tkwiły w głowie jak gwoździe, wydawały się teraz mocno rozwodnione, jakby dotyczyły kogoś innego, nie jego.

Rzucił w kąt przepoconą koszulę i wysypał na łóżko zawartość reklamówki, którą zdążył po drodze jeszcze uzupełnić o kilka piw. Przyglądał się przez chwilę szklanym butelkom, jakby podziwiał stojące na półce trofea.

Nalał sobie solidnego drinka i zanurzył w nim usta. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, by się napić, miał przed oczami zmasakrowaną głowę więźnia, jego przegryzione przedramiona wraz z ochłapami mięsa wyplutymi na podłogę i rozległą plamę krwi na ścianie. Jak bardzo trzeba chcieć umrzeć, żeby zrobić sobie coś takiego? Pogryzł się, żeby mieć krew do napisania tego... Tego czegoś?

Pił tak długo, aż czerwona obszarpana twarz pełna wiszących płatów martwej skóry, którą cały czas miał w głowie, zaczęła się rozmywać, powoli wypierana przez twarz spotkanej w sklepie Marioli. Nie potrafił stwierdzić, który widok był dla niego bardziej bolesny. Zdziwiło go, jak dobrze znosiła upływ czasu, który dla niego nigdy nie był zbyt łaskawy. Jakby kolejne życie rodzące się w jej ciele oddawało jej trochę swojej energii. Blizna na szyi swędziała nie do wytrzymania.

W zamyśleniu nawet nie zauważył, jak mocno ścisnął szklankę. Tanie i cienkie szkło pękło, rozcinając mu skórę na dłoniach. Krople ciemnej krwi kapnęły na podłogę.

Po chwili usłyszał pukanie do drzwi.

Starał się być tak cicho, jak to tylko możliwe. Wpełzł do kąta pokoju, niczym przestraszony szczur, obejmując butelkę whisky jak małe dziecko, którego miał zamiar bronić przed złem czyhającym za drzewami.

– Maks? – usłyszał głos dziennikarza. – Maks, jesteś tam? Słyszałem, jak wchodzisz.

Nie odpowiedział. Po chwili klamka się poruszyła, wtedy zdał sobie sprawę, że nie przekręcił zamka w drzwiach.

Różycki nieśmiało zajrzał do pokoju.

– Maks? – Dziennikarz przyjrzał się siedzącemu w kącie detektywowi. Mejza spuścił głowę na klatkę piersiową, niemal jakby spał. – Co jest? – Nie doczekując się odpowiedzi, podszedł bliżej i szturchnął go w ramię.

– Odejdź – odparł posępnie Mejza. – Nie mam ci nic do opowiedzenia. Nie dziś.

– Jak to? Nie byłeś właśnie na posterunku? Przecież Ewa miała cię wpuścić. Próbowałem do niej dzwonić, ale nie odbiera moich telefonów... – Zamilkł, gdy detektyw podniósł głowę. Spojrzał w jego zamglone przekrwione oczy, wilgotne, jakby spoglądał spod cienkiej warstwy szkła. – Wszystko OK? – spytał zmieszany. – Czy ty... Ty płakałeś?

– To tak cholernie boli... – odparł Mejza drżącym głosem, z oczu kapnęły mu pojedyncze łzy.

– Co? Te twoje plecy? Jezu, poszedłeś z tym do lekarza? Mógłbyś tych z wioski pozwać za uszczerbek na zdrowiu. A twoja ręka?! Krwawisz? Co się stało?

Mejza milczał.

– Maks?

– Tak... Plecy... Ręka też... – odrzekł już nieco spokojniejszym głosem. – Słuchaj, Piotr... Te twoje prochy... To pomaga?

– Co? Na co ma pomagać?

– Na ból.

– Słuchaj, wolałbym, żebyśmy zapomnieli o tym, co widziałeś...

– Zapomnę, ale najpierw załatw mi działkę.

– Co?! – oburzył się Różycki. – Nie ma mowy! Dużo wypiteś? – Dziennikarz rozejrzał się po pokoju. Dostrzegł rozsypane na łóżku butelki. – Zaczynasz bredzić. Nie chcesz tego, nie wciągnę cię w to.

– Kurwa, Piotrek... Nie umoralniaj mnie. Nie mam pięciu lat, wiem, co robię.

– Cholernie nie wyglądasz na kogoś, kto wie, co robi.

– Naprawdę potrzebuję... – Chwycił dziennikarza za fraki i przysunął bliżej siebie. – Ból robi się już nie do zniesienia i nie wiem, jak długo wytrzymam, rozumiesz? Potrzebuję czegoś, żeby iść dalej... Muszę go przytępić. Alkohol już nie pomaga, czaisz? Ja... Ja muszę...

– Czy my dalej mówimy o tych plecach?

– Załatw działkę.

– Powiedziałem, że... – Różycki starał się wyrwać z uścisku albo chociaż odwrócić twarz na tyle, żeby nie dosięgnęła go strzelająca z ust detektywa ślina.

– Mógłbym cię wsypać, wiesz? Straciłbyś robotę. Twojej policjantce zrobiliby test na obecność narkotyków...

Różycki milczał. Spuścił głowę.

– Ale nigdy bym tego nie zrobił – dodał po chwili. – Kompletnie mnie nie obchodzi, jak się prowadzicie. Ale mam tu sprawę do załatwienia. Potrzebuję tego, żeby iść dalej. Zrozum, do cholery...

Różycki wyrwał się, po czym odszedł kilka kroków i popatrzył na Mejzę z góry, z politowaniem, po chwili głośno westchnął i zaczął grzebać w wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął mały strunowy woreczek wypełniony białym proszkiem, po czym kucnął, zrównując się wzrokiem z byłym policjantem.

– Więcej nie mam, będę musiał sam sobie załatwić. To już nawet nie jest tak, że chcę... Bo bardzo mocno nie chcę, rozumiesz? Potrzebuję. Dlatego przemyśl, co

robisz. – Wyciągnął dłoń z woreczkiem przed siebie.

– Skąd to bierzesz? – zapytał Mejza, przejmując towar i sięgając po leżącą na łóżku marynarkę.

– Mam tu znajomego. Zresztą nie twoja sprawa, nie musisz wiedzieć.

Mejza kiwnął tylko głową, po czym pociągnął łyk ze szklanki wypełnionej alkoholem.

– Co się tam stało? Widziałeś się w końcu z tym Wieśkiem czy nie? Masz dla mnie notatki?

– Nie żyje.

– Co?

– Rozwalił sobie łeb o ścianę.

– Co?! Ale że jak?! Potknął się czy co?!

– Może... Ale wtedy, lecąc na mur, musiałyby tak lawirować, żeby zdążyć jeszcze napisać coś na nim własną krwią.

Różycki zamilkł, usiadł na łóżku i przez chwilę przetwarzał otrzymane informacje.

– Co napisał? – zapytał po chwili, wyciągając z kieszeni drobny notatnik.

– Brednie.

– Czyli.

– Coś o zabijaniu śmierci, coś w tym stylu.

– Coś w tym stylu?

– Zabić śmierć. Tak napisał.

– Co to ma niby znaczyć?

– Brednie. – Mejza upił trochę whisky. – Tak jak mówiłem.

– Wcześniej coś chrzanił o tym, że nie powinniśmy sprowadzać tu nowych...

Widzisz w tym sens?

– Nie widzę... Już od dawna.

Trwali przez chwilę w ciszy.

– Co teraz? – zapytał Różycki, po czym wyciągnął dłoń w kierunku butelki whisky trzymanej przez Mejzę.

– Co jest?

– Daj łyka.

– Myślałem, że nie pijesz, harcerzyku.

– Bo nie piję, gdy nie muszę. Teraz, jak oddałem ci swoją ostatnią działkę, to mam ochotę na drinka.

Prowadzili przez chwilę pojedynkę spojrzeń. Nałóg za nałóg. Dwie sponiewierane dusze ciągnące się nawzajem na dno.

Mejza przekazał butelkę Różyckiemu, ten przywarł do niej jak małe dziecko do smoczka i pił, wybałuszając oczy. Wyglądał, jakby pierwszy raz miał z tym do czynienia.

– Dzięki. – Otarł usta rękawem. – Co dalej?

– Dalej?

– No, jak pociągniesz tę sprawę? Straciłeś świadka, nie masz pojęcia, co stało się z dzieciakiem, i nie masz nikogo, kto może ci o tym opowiedzieć. Do wioski cię nie wpuszczą. Przyznam, że nie zazdroszczę, jesteś w dupie.

– Dzięki.

– Nie można zgłosić zaginięcia?

– Co?

– No wiesz, wtedy policja będzie musiała to sprawdzić.

– Żeby zgłosić zaginięcie, trzeba wiedzieć, kto zaginął. W tym przypadku nie wiemy, czy ten ktoś nawet istnieje. Zgłosiłbyś zaginięcie Świętego Mikołaja?

– A rejestry urodzeń, akty chrztu? Coś musi się znaleźć.

– Wszystko sprawdzone, po dzieciaku ani śladu. O chrzcie mówił mi ksiądz, że by wiedział, gdyby... – Upił łyka, wpatrując się w ścianę przed sobą. – Cholera...

– Co?

– Klecha może mieć jakieś informacje o tym, co dzieje się w wiosce. Mówił mi, że kiedyś rozmawiał z gościem, który który chodził do Nawary na terapię. Twierdził, że doktor krzywił pacjentów jeszcze mocniej, zamiast im pomagać.

– W sensie?

– Nie wiem. Klecha nie mówił nic więcej, zasłaniał się tajemnicą spowiedzi czy coś...

– Cholera. Żeby wyjawiał chociaż nazwisko... Wtedy mógłbym gościa o to sam wypytać.

– Chyba się do niego przejdę. – Mejza wstał z podłogi i zachwiał się na nogach. – Dopóki jestem jeszcze w stanie iść.

– I co, myślisz, że tym razem powie coś więcej?

– Nie wiem, spróbuję rozwiązać mu język. – Chwycił za nową, nieotwartą jeszcze butelkę whisky. – Nie chcę tu siedzieć, chcę już wrócić do domu. To miejsce chyba mi nie służy... Muszę łapać się takich tropów, jakie mam.

– A jaki to niby trop? Mówiłeś, że sprawa morderstwa ciężarnej cię nie interesuje. Nawet jak dowiesz się o tym, co Nawara robił z pacjentami, którym był między innymi ten woźny, to nic ci to nie da w sprawie dzieciaka.

– Dziewczyna, której dziecka szukam... Ona też była jego pacjentką, rozumiesz? Ojciec zapisał ją do Nawary, gdy ta zaszła w nieplanowaną ciążę. Nie chciała tego

dziecka. Doktorek miał pomóc jej z czarnymi myślami.

– Serio? To ta jego laska? Była najpierw jego pacjentką?

– Tak.

– I myślisz, że jakoś ją zmanipulował, żeby usunęła ciążę?

– Nie wiem, dużo na to wskazuje.

– Słuchaj, dasz mi znać, jeśli wyciągniesz coś od księdza? Wystarczy mi samo info, kim był ten gość, który się leczył u Nawary, resztę ogarnie mi Ewka. Jeżeli jest tak, jak mówisz, to każda informacja, jaką zdobędziesz, pomoże mnie i vice versa. Mamy podobne cele.

– Napiszę ci, jak się czegoś dowiem – rzucił, wyciągając z torby wygniecioną koszulę.

– Dzięki.

– Zostawić ci to? – Mejza skinął głową w stronę trzymanej przez młodego butelki.

– A mógłbyś?

– Ta, tylko nie przesadzaj. Na drugi dzień będzie nieprzyjemnie.

Różycki skinął głową.

– Kiedy chcesz to wziąć? – zapytał dziennikarz, wskazując na wewnętrzną kieszeń nakładanej właśnie przez Maksa marynarki.

Detektyw zatrzymał się na chwilę w bezruchu, jakby coś analizował. Kompletnie już zapomniał o znajdującym się w środku woreczku.

– Jeszcze nie zdecydowałem, czy w ogóle to wezmę – odparł po chwili.

– W takim razie po co ci to?

– Ból może powrócić. Zazwyczaj w ogóle się go nie spodziewam... Jesteśmy w kontakcie, OK? – rzucił, po czym zamknął za sobą drzwi, zostawiając Różyckiego samego w swoim pokoju.

\* \* \*

Dochodziła szesnasta. Nie wiedział, gdzie indziej mógłby spotkać Kozika, więc udał się na ostatnią odprawianą przez niego tego dnia mszę. Wszystko mógł sprawdzić sobie w internecie na stronie parafii. Nie lubiłeś jakiegoś księdza? Któremuś wygadałeś trochę za dużo na spowiedzi i teraz jest jakoś niezręcznie? Wystarczy sprawdzić grafik na stronie.

Gdy przyszedł, nabożeństwo powoli się kończyło. Dało się usłyszeć ogłoszenia parafialne wybrzmiewające przez głośniki wystawione na zewnątrz. Głupotą byłoby w taki upał nie chcieć schronić się w zimnych murach świątyni, toteż cały betonowy plac przed kościołem był pusty.

Mejza pchnął masywne skrzydło drewnianych drzwi, wpuszczając do zacienionej kruchty nieco słonecznego światła. Hałas sprawił, że wszyscy obecni w środku na

chwile się odwrócili. Ksiądz przerwał potok słów i cała uwaga w tym momencie skierowana była na Maksa, który poczuł się jak na tych filmach, w których bohater wchodzi do jakiegoś zapyziałego baru, a na jego widok zacina się szafa grająca. Jednak po chwili ksiądz wznowił ogłoszenia i wszystko wróciło do normy.

Niewielki kościół umiejscowiony na obrzeżach miasta świecił pustkami. Kilka starszych pań porozsiewanych na całej powierzchni świątyni, jakby każda zaklepała sobie oddzielną ławkę, do tego jakieś małżeństwo z dzieckiem, kilku ministrantów, no i oczywiście sam mistrz ceremonii – Kozik.

Detektyw przycupnął sobie obok konfesjonału i czekał, aż miejsce powoli wyludni się w rytm granych przez organistę szlagierów. Gdy w końcu Kozik odpędził od siebie ostatnią wierną, mającą najwyraźniej wiele dodatkowych pytań, Mejza wstał i ruszył w jego stronę.

– Zamykamy! – rzucił ksiądz, widząc zmierzającą w jego kierunku kolejną zagubioną duszę. Przy panującej w kościele akustyce zabrzmiało to niemal jak głos samego Boga.

– Myślałem, że kościoły zawsze stoją otworem dla wiernych – odparł Mejza. – Dokąd ma iść ktoś, kto nie ma już dokąd pójść?

Kozik wcisnął na nos okulary, których nie zakładał podczas mszy, i mrużąc oczy, przyjrzał się postaci kroczącej środkiem ołtarza.

– Ty masz dokąd iść, detektywie – odparł spokojnie. – Do pokoju w Dobranocce. Spać. – Wrócił do przecierania kielicha wiszącą u szyi stułą. – Po zawianym kroku wnioskuję, że sen będzie teraz jedynym zbawieniem.

– Nie sądziłem, że będziesz mnie pamiętał. Nie po okolicznościach, w jakich się poznaliśmy... Tak czy owak, mam kilka pytań.

– To źle trafiłeś. W tym miejscu nie zadaje się pytań. To wszystko psuje.

– Nalegam. – Wyjął spod marynarki nieodpieczętowaną butelkę whisky i zamachał nią w powietrzu. – Miła odmiana od wina mszalnego, co?

– Kto powiedział, że miałem tam wino? – Kozik rozejrzał się nieufnym wzrokiem po wnętrzu świątyni, po chwili kiwnął głową w stronę drzwi prowadzących do zakrystii i bez słowa ruszył przed siebie, zachęcając detektywa, żeby podążył za nim.

Weszli do niewielkiego smutnego pomieszczenia. Są przestrzenie, których wystrój można nazwać minimalistycznym, ale minimalizm to styl. Wnętrze zakrystii było natomiast nie tyle stylowe, co po prostu biedne. Cztery krzesła, wyglądające na wyciągnięte wprost z jakiejś salki w szkole, wielka poobgryzana ze wszystkich stron ława, którą przywleczono tu chyba spod śmietnika, i pamiętająca czasy Jaruzelskiego meblościanka.

Kozik wyjął zza przeszklonej szafeczki dwie szklanki z Duralexu, jakich miliony w polskich domach, i bez słowa postawił na stole. Usiedli. Przejął butelkę od niespodziewanego gościa, po czym rozlał dwa drinki. Wzniesli toast, upijając po małym łyku, i mierzyli się przez chwilę wzrokiem.

– A więc? – Ksiądz przerwał milczenie. – Wiemy już, z czym przyszedłeś. Nie wiemy po co.

– My?

– A co, myślisz, że go tu nie ma?

– Kogo?

Kozik wzruszył ramionami.

– Boga? – Mejza próbował się upewnić. – O nim mówisz? Że niby Bóg siedzi tu z nami?

– Wierzysz? Wybacz, ale zawsze o to pytam. Odpowiedzi bardzo często mnie zaskakują.

– Nie – odparł krótko. – A ty? Odnoszę wrażenie, że jesteś dość sceptyczny jak na księdza.

– Popracuj kilka lat w miejscu takim jak to, to też będziesz. Widziałeś te pustki? Powiem ci, że w niedziele nie jest wcale lepiej. Moja robota tutaj nie ma najmniejszego sensu.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

– Jakie pytanie?

– Czy ty sam wierzysz? Ksiądz chyba musi, co?

– Nie chodzi o to, czy wierzę... Tylko czy mogę sobie pozwolić na to, by nie wierzyć. Czy ktokolwiek z nas może sobie na to pozwolić?

– Chyba nie nadążam.

– Wiesz, co by się stało, gdyby nie tacy jak ja? Gdyby nikt nie przekonywał ludzi, że muszą wierzyć?

– Chaos, armagedon, fale gwałtów, przemocy i rozbojów? Pewnie powiesz, że ludzie są grzeczni, póki boją się wiecznej kary za swoje grzechy.

– Nie. Wcale tego nie powiem.

– Nie?

– Gdyby nie było Boga, każdy po prostu palnąłby sobie w łeb. Musimy wierzyć, że jest. Nie mamy wyjścia. Inaczej po co nam to wszystko? – Rozejrzał się ostentacyjnie po pomieszczeniu. – Swoją drogą nie sądzę, że są gdzieś tam ludzie naprawdę niewierzący. Wiara w cokolwiek jest już zbyt mocno ugruntowana w naszej kulturze. Zawsze w coś wierzyliśmy. Tylko to nas napędzało. Nawet jak ktoś twierdzi inaczej, to i tak gdzieś tam w głębi duszy ma nadzieję, że wszystko, co tu robimy, ma jakiś sens.



Trwali przez chwilę w ciszy. Obaj unieśli szklanki do ust i upili trochę, mierząc się wzrokiem.

– Nie odpowiedziałeś mi, po co przyszedłeś, detektywie – kontynuował ksiądz. – Chyba nie na pogaduchy o sensie życia?

– Chcę wiedzieć, co Nawara robił pacjentom. Mówiłeś, że wiesz. Że wypowiadał ci się jego pacjent.

– Prosisz, żebym złamał tajemnicę spowiedzi?

– Proszę, żebyś mi pomógł. Twoją rolą jest pomagać ludziom dobrej woli, czy nie?

– A jesteś takim człowiekiem? Dobrej woli? Co ci da ta wiedza? Nie dowiesz się dzięki temu, co się stało z dzieckiem.

– Matka tego dziecka sama była pacjentką Nawary. Leczyła się u niego na depresję spowodowaną niechcianą ciążą. Ojciec zapisał ją na terapię, żeby doktorek wybił jej z głowy aborcję. Muszę wiedzieć, czy mu się udało.

Ksiądz wsłuchiwał się w słowa Maksa z uwagą, po chwili wypił na hejnał pozostały w szklance płyn i nalał im obu kolejnego drinka.

– Jedź do domu, detektywie. Zostaw w cholerę to miasto i tę sprawę. Czasem najlepsze, co możemy zrobić, to po prostu odejść.

– Nigdzie się nie wybieram. Jeśli się dowiem, że Nawara zmusił tę dziewczynę...

– To co? Taki z ciebie obrońca życia?

– Mój wewnętrzny gliniarz nie da mi spokoju, to wszystko. Nie spocznę, póki gościa nie wsadzą. Mam znajomych w policji, dziennikarzy... Wciąż potrafię poruszyć niebo i ziemię, gdy tylko zechcę czyjejs głowy.

– Czyli nie robisz tego tylko dla wypłaty?

– Sam nie wiem, chyba na początku taki był zamiar, ale jest jak zawsze. Zawsze miałem z tym problem.

– Z czym?

– Wszystko nagle staje się bardzo osobiste. Nie potrafię odpuścić.

– I kiedy ta sprawa stała się osobista?

– Chyba dziś rano. Były pacjent tego doktora popełnił samobójstwo w celi. Tuż przed tym, jak chciałem go przesłuchać. Przestało chodzić już tylko o dziewczynę i jej dziecko.

Ksiądz spuścił głowę. Zamilkł.

– Wiesław... – wydukał Kozik osłabionym głosem. – Próbowałem z nim pogadać po tym, jak jego żona... a potem córka... Ech, jebać to wszystko. – Osuszył szklankę, po czym szybko napełnił ją z powrotem, jakby przerażał go widok pustego naczynia przed sobą.

– Facet rozwalił sobie łeb o ścianę. Jak bardzo trzeba mieć pomieszone w głowie, żeby zrobić coś takiego? Przedtem jeszcze machnął na murze jakiś napis, własną, kurwa, krwią.

– Napis? Jaki napis?

– „Zabić śmierć”. Nic z tego nie rozumiem. Podobno wcześniej jak mantrę powtarzał: „Nie powinny sprowadzać tu nowych”. Umysły szaleńców mnie przerastają. Już zdrowych ciężko mi zrozumieć.

Ksiądz się zamyślił.

– Rozumiesz coś z tego? – zapytał Mejza, dostrzegając zadumę duchownego.

– Nie, nic... Tylko że... Śmierć można pokonać tylko w jeden sposób.

– Ty na serio? Niby w jaki? Stać się nieśmiertelnym?

– Nie, nieśmiertelność jest niemożliwa. Przynajmniej na razie...

– To niby jak?

– Trzeba sprawić, żeby umarła z głodu... Trzeba przestać „sprowadzać tu nowych”. Zabrać jej żer.

– Co?

– Narodziny nieubłagane prowadzą do śmierci. Brak nowych istnień prędzej czy później sprawi, że śmierć przestanie istnieć.

– Jak już wszyscy wymrą?

– Myślenie części antynatalistów, żadna szczególnie nowa teoria czy inna filozofia... Są tacy, dla których wymarcie gatunku ludzkiego to jedyna słuszna opcja. Tak to przynajmniej brzmi... Biorąc pod uwagę to, czego Wiesław doświadczył za życia, chyba nie można go winić, że mógł podążać myślami w takie rejony... Ale nie wiedziałem, że leczył się u Nawary. Wiesz, moje życie ogranicza się ostatnio tylko do tego miejsca i Psiej Budy. Nie robię już praktycznie nic więcej. Co prawda słyszałem jakieś plotki, że Wiesiek mieszkał w tym dworku, ale... To rzuca na wszystko nowe światło.

– To poświęć trochę tym światłem na mnie. Nie trzymaj mnie w mroku. Co Nawara robi pacjentom?

– We wszystkich normalnych okolicznościach bym cię spławił, ale widzę, że naprawdę chcesz dobrze. W twoich oczach nie dostrzegam chciwości i pogoni za pieniądzem. Widzę smutek. Głęboki smutek. Powiedz, doznałeś kiedyś straty?

– Straty?

– Straciłeś kogoś bliskiego?

– Po co w ogóle to pytanie?

– Nie odpowiadaj, jak nie chcesz.

– Straciłem córkę. I co z tego?

– Przykro mi.

– Nie twoja wina.

– A była to czyjaś wina?

– Widzę, że nic tu po mnie... – Mejza wstał, ale w tym momencie duchowny chwycił go za ramię.

– Poczekaj. Powiem ci, co wiem. Los chciał, że moim zawodem stało się być tubą Bożą, a ten na górze chce, żeby panowało dobro. Jeśli to, co ci powiem, sprowadzi na świat trochę dobra i sprawiedliwości, to może warto... Ale opowiem ci to tylko raz, więc słuchaj uważnie. Ten człowiek, którego wypowiadałem, leczył się u Nawary na depresję. Opowiadał mi, że po każdej sesji miał kilka kolejnych powodów, dla których warto byłoby ze sobą skończyć. Jak go trochę przycisnąłem, to udało mi się dowiedzieć to i owo o tych „sesjach”. Doktorek, zamiast go leczyć i wskazywać drogę do światła, pchał go dalej w mrok. Namawiał, żeby szedł za tym głosem w głowie, który kazał mu wszystko zakończyć. Chyba nie muszę mówić, na jak podatny grunt wpadają takie słowa u ludzi w ciężkiej depresji. Jeśli osoba, do której poszedłeś po pomoc z samobójczymi myślami, sama zaczyna cię przekonywać, że to świetny pomysł... No. Chyba sam rozumiesz, że o tragedię nietrudno.

– Kurwa... – Mejza zaczął uświadamiać sobie, co ksiądz miał na myśli, mówiąc, że dziecko mogło nigdy się nie narodzić.

– Ten człowiek... On podjął próbę. Powiesił się na strychu... Uratowało go to, że belka pękła w momencie, w którym, jak twierdzi, był już jedną nogą na tamtym świecie.

– Z tego ci się wypowiadał?

– Tak.

– Na jednej próbie się skończyło?

Kozik kiwnął głową.

– I pewnie po tym odnalazł Boga, tak? To chcesz powiedzieć? Że palec Boży złamał tę belkę i...

– Nie. Nie było żadnego palca.

– To co?

– Wystraszył się. Po prostu się wystraszył.

– Czego?

– Tego, co widział po drugiej stronie.

– Nie było światła na końcu tunelu? – Mejza uniósł lekceważąco brew. – Ciepła, miłości i zmarłych bliskich wyciągających ręce, żeby go przeciągnąć na tamten świat? Zmarły w dzieciństwie psiak nie czekał na pana, merdając ogonem?

– Nie. – Ksiądz ze smutkiem spojrział w pustą szklankę. – To, co widział, było zgoła odmienne od rzeczy, które właśnie wymieniał. Nie było to niebo, o jakim opowiadamy dzieciom, gdy odejdzie babcia...

– To co takiego widział?

– Że świat, w którym żyjemy, może być zupełnie innym miejscem, niż nam się wydaje. Że to, co czcimy i uznajemy za naszego Boga, wcale nie musi być takie dobrotliwe i kochające, jak to sobie opowiadamy z pokolenia na pokolenie. Że to, co czeka na nas po drugiej stronie, jest w rzeczywistości złe i plugawe... I wcale nie chce naszego dobra, a śmierć wcale nie jest wybawieniem... Tylko początkiem koszmaru...

Mejza obserwował w milczeniu, jak ksiądz ściska w dłoni pustą szklankę i wbija wzrok w stół przed sobą.

– Opowiadasz tak, jakbyś po części mu uwierzył. – Uśmiechnął się, zakrywając nieco przestraszony wyraz twarzy i próbując trochę rozładować ponurą atmosferę, ale księdzu wcale nie było do śmiechu.

– Nie rozumiesz. Nie chodzi o to, że mu wierzę... Tylko znowu... Czy mogę sobie pozwolić na to, by nie wierzyć?

– Czyli to miałeś na myśli, mówiąc, że doktor łamie skrzywione umysły, zamiast je prostować? Mam rozumieć, że jeśli dziewczyna poszła do niego, żeby wyleczyć się z myśli o aborcji, to...

– Przykro mi... Dziecko mogło nigdy nie przyjść na ten świat. Cięża była co prawda dość zaawansowana, ale są różne metody...

– Cholera... I tak to podejrzewałem... Tylko że to teraz bardzo utrudnia mi robotę.

– W jaki sposób?

– Facet, ten mój klient... Chce dowodów. Jak się zapewne domyślasz, z racji swojego fachu, łatwiej jest o dowód, jeśli coś rzeczywiście istnieje. Jak mam przekonać klienta, że jego wnuk nigdy się nie narodził, skoro nie mam na to potwierdzenia?

– Witaj w moim świecie. – Ksiądz wzniósł toast napełnioną właśnie szklanką.

– Skoro wiedziałeś, co doktor robi pacjentom, to czemu nie zareagowałeś? Nie wiesz, ile umysłów zdołał jeszcze skrzywić w czasie swojej działalności. Mogłeś temu zapobiec...

– Kto mówi, że nie zareagowałem? Poszedłem do niego.

– Rozmawiałeś z Nawarą?

– Tak. Myślisz, że skąd wiem o antynatalizmie i tym całym zabijaniu śmierci, co? Myślisz, że jestem aż tak wyedukowany? Ja po prostu już to kiedyś słyszałem... Od Nawary.

– Czyli wiedziałeś... Wiedziałeś, jakie ma podejście. Nie tylko od pacjenta, ale też sam się o tym przekonałeś. I mimo to milczałeś. Pozwalałeś, żeby kolejni pacjenci

zapisywali się do niego na terapię.

– Popeliłem grzech, detektywie. Jeden z gorszych. Grzech zaniedbania. To wszystko działo się w okresie, gdy byłem już wszystkim bardzo zmęczony. Miałem to po prostu w dupie, mówiąc krótko i zwyczajnie, udawałem, że nic takiego się nie dzieje. Jestem człowiekiem, jak każdy. Wróciłem do tego myślami, dopiero gdy zamknęli tę jego klinikę. A teraz powiedziałeś mi, że Wiesiek Bryza też był jego pacjentem i że ta dziewczyna też.

– Lista ofiar jego chorych terapii rośnie...

– Pamiętaj, że na razie to nic więcej, jak tylko nasze domysły. Wiesław był jak tykająca bomba. Jeden z tych, co to wkroczyli na drogę bez powrotu. Nie wiemy na pewno, czy doktor miał z tym coś wspólnego. Mógł mieć niecodzienne poglądy, ale nie ma dowodu, że przekonywał do nich każdego, kto go odwiedzał. Nie wiemy też nic o dziewczynie. Ten jeden pacjent to mógł być jednorazowy przypadek...

– Jak on się nazywał?

– Kto?

– No ten od depresji i belki na strychu.

– Czy to ma znaczenie?

– Jeśli chcemy przyskrzynić doktorka, to ma.

– Już go poznałeś.

– Tak?

– To właściciel Psiej Budy. Stoi też za barem. Mirek. Bardzo źle zniósł śmierć swoich czworonogów...

– On?! Chciał się zabić tylko dlatego, że zdechły mu psy?!

– Ludzie odbierają sobie życia z dużo bardziej błahych powodów... Strata najbliższych sobie stworzeń wcale nie wydaje się w tym wypadku jakaś prozaiczna. Znasz to uczucie, gdy wracasz do domu i nikt tam na ciebie nie czeka? Nikt nie cieszy się na twój widok?

Znał aż za dobrze. Nie odpowiedział. Nastął moment ciszy.

– Znasz ten słynny cytat z Nietzschego? – spytał po chwili ksiądz, powoli obracając szklanką. – O tym, co się dzieje, gdy za długo patrzysz w otchłań?

– Otchłań zaczyna spoglądać również na ciebie... Myślałem, że cytat dotyczy tych, co walczą z potworami. Tego, że mogą stać się tacy jak one... Często powtarzali mi to przełożeni w policji, gdy chcieli poczuć się inteligentniej.

– Każdy ma swoją otchłań, detektywie. Czarną dziurę ukrytą gdzieś w myślach. Dziurę, która rośnie, pochłaniając wszystko wokół... Aż nie zostanie nic poza nią. Wtedy bardzo łatwo jest po prostu do niej... wejść. Poddać się. Mirek wszedł. I z tego, co mówił, otchłań nie bez powodu jest tak ciemna. Gdybyśmy widzieli, co w niej jest,

trzymalibyśmy się z daleka... No cóż. – Uderzył pustą szklanką o stół, po czym rzucił wymownie okiem na pustą butelkę. – Masz to, po co przyszedłeś. Złamałem dla ciebie tajemnicę spowiedzi, zadowolony?

– Kolejny grzech do twojej listy?

– Czasem jeden grzech można odkupić tylko innym grzechem. Wiesz, dwa minusy dają plus. Mam nadzieję, że informacje, które ci przekazałem, przyniosą choć trochę dobra. A teraz wybac. – Uniósł się z krzesła i podniósł pustą butelkę po whisky, po czym obrócił ją do góry dnem, pokazując, że nie wylatuje z niej już ani kropla. Cały czas chwiał się na nogach. – Piasek w twojej klepsydrze właśnie się przesypał. Pozwól, że się teraz oddalę. Czeka mnie wiele przygotowań na jutrzejsze msze...

– Dałeś mu rozgrzeszenie? – spytał Mejza, łapiąc zawianego księdza za rękaw w połowie drogi do drzwi. Blizna swędziała go teraz jak nigdy dotąd. Czuł, jak wibruje mu pod nią każda żywa komórka.

– Co?

– Czy dostał rozgrzeszenie za to, co zrobił? Właściciel Psiej Budy. Chciałbym wiedzieć...

– Po co ci to?

– Dostał? Wiem, że według waszej wiary samobójcy idą prosto do piekła. Ale co, jeśli popełnił tylko próbę? – Mejza brzmiał coraz bardziej desperacko, jedną dłonią trzymał się za szyję. – Co, jeśli mu się nie udało?

– To nie twoja sprawa. – Ksiądz spróbował zrzucić z siebie dłoń Maksa trzymającą go za sutannę. – Puść, bo pognieciesz! Pijany jesteś, idź do domu!

Obaj chwiali się na nogach. Wydawało się, że alkohol tylko czekał na moment, aż wstaną, aby przypomnieć im, w jaki sposób działa.

– To dałeś mu czy nie?!

– Nic nikomu nie dawałem! Za to ty daj mi spokój i puść mnie, do cholery!

– Co? Nie dałeś?

– Nie mieszam się... Każdy dostał życie od Boga i tylko przed nim za nie odpowiada. Mnie gównie do tego... Nie ma czegoś takiego jak rozgrzeszenie, za wszystko prędzej czy później odpowiemy sami.

– Ale po co on w ogóle przyszedł się spowiadać? Skoro mówił, że tam... – Mejza powstrzymał chwilowy atak czkawki. – Że tam jest coś innego...

– Szukał czegoś, co go przed tamtym obroni i pozwoli zasnąć w nocy. Jak małe dziecko zapalające w nocy lampkę w strachu przed tym, co czyha w mroku... Szukał alternatywy... Idź do domu! – Ksiądz szarpnął rękawem sutanny tak gwałtownie, że obaj stracili równowagę i gruchnęli na zakurzoną posadzkę.

Mejza spojrział w górę, leżąc na plecach. Świat wirował. Uświadomił sobie, jak bardzo alkohol go znieczulił, bez tego zapewne wiłby się już z bólu. Usiadł i spojrział w stronę księdza. Kozik leżał nieruchomo na brzuchu.

– Nie pójdę do domu, jeśli przed tym połamiesz mi nogi – rzucił w stronę księdza, ale nie doczekał się żadnej reakcji. – Ej! Słyszysz? Ojczy! – Przyglądał się jeszcze przez chwilę nieruchomo leżącemu duchownemu. – Kurwa mać! – W panice podczołgał się bliżej i parę razy szturchnął Kozika w bark, po czym przewrócił go na plecy. Ksiądz miał zamknięte oczy. – Kurwa... Kozik, ja pierdolę... Co jest? Ej? – Szturchnął nieprzytomnego księdza coraz mocniej.

Tylko że ten za nic nie chciał wstać...

\* \* \*

– *Doktor pana przyjmie.* – *Młoda kobieta, zdająca się być jeszcze przed dwudziestką, wyjrzała na korytarz poczekalni. Sukienka opinała się na jej ciężowym brzuchu, sprawiając, że to właśnie na nim wzrok lądował w pierwszej kolejności.*

*Otyły, siwy mężczyzna skinął głową, zamknął czytaną książkę, po czym podniósł się i wszedł do gabinetu.*

– *Pan Kozik, tak?* – *zapytała, siadając za biurkiem.* – *Prosiłabym o dowód tożsamości.*

*Wyjął z portfela dokument i przekazał go sekretarce, czekając, aż spíše niezbędne dane. Dookoła panowała głęboka cisza, z której przebijał się jedynie chrobot końcówki długopisu na papierze i tykanie naściennego zegara.*

– *Doktor czeka za drzwiami.*

*Mężczyzna ponownie skinął głową, siląc się przy tym na wymuszony uśmiech. Przestąpił kilka kroków i przeszedł do kolejnego pomieszczenia. Po drugiej stronie znajdował się ciasny pokój umeblowany jedynie w dwa fotele. Z nagich, chropowatych ścian wycierało zimno i smutek.*

*Siedzący na jednym z foteli doktor podniósł delikatnie dłoń, wskazując mebel naprzeciwko siebie. Kozik uznał to za zaproszenie, więc usiadł.*

*Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. Doktor wydał się Kozikowi chorym człowiekiem. Chorym w sensie fizycznym. Może to z uwagi na wychudzone, drobne i słabe ciało? Może przez zapadniętą twarz, której osiemdziesiąt procent pochłaniały grube szkła w okrągłych oprawkach. Cokolwiek było z nim nie tak, to coś wywierało na człowieku wrażenie obcowania z kimś innym. Z kimś, kto odstaje od pozostałych. Doktor od początku nie powiedział ani słowa, więc Kozik postanowił zacząć.*

– *Nie spyta doktor, z czym przychodzę?*

– *A chciałbyś, żebym spytał?*

– *Płacę za to, żeby tu być. Płacę za rozmowę...*

– Właśnie, więc wykorzystaj ten czas. Nie wiem, czemu milczysz. Możemy przejść na ty? Wolę rozmawiać z pacjentami jak ze starymi przyjaciółmi.

– Pan już to zrobił, więc niech będzie, ale ja zostanę przy „panu doktorze”.

– Dobrze. Więc? Przyszedłeś, bo...?

– Przychodzę, bo mogłem dziś pójść tylko w dwa miejsca. Tutaj albo na dach ratusza.

– Dach ratusza?

– Tak powiedziałem.

– A niby jak miałbyś się dostać na dach ratusza, jeśli można spytać?

– Ochroniarz jest moim kumplem. Czasem mnie tam wpuszcza.

– A co można robić na dachu ratusza?

– Podziwiać miasto z góry. Rozmyślać. Palić papierosa... To najwyższa budowla w mieście, wiedział doktor o tym?

– Trudno było nie zauważyć.

– Upewniam się tylko, bo jest doktor u nas od niedawna. Miasto się podoba?

– Społeczność życzliwie mnie przyjęła. Mam własny gabinet w centrum i pierwszych pacjentów. Przyjmuję zarówno prywatnie, jak i ze skierowania. Nie narzekam. Więc mówisz, że mogłeś pójść na dach ratusza...

– Tak.

– Ale przyszedłeś tutaj.

– Nie inaczej.

– Żałujesz?

– Jeszcze nie. Zresztą na dach mogę pójść też później. Po wizycie.

– Kolega wciąż tam będzie, żeby otworzyć?

– Będzie.

– Mój gabinet też będzie otwarty jeszcze przez kilka godzin.

– Wiem o tym.

– To czemu jednak zacząłeś od wizyty u mnie?

– Bo widzi doktor. Gdybym najpierw poszedł na dach, to już nie mógłbym przyjść tu.

– Rozumiem.

– Czyżby?

– Myślę, że tak.

– Skoczyłbym.

Na chwilę obaj zamilkli. Doktor podniósł się z fotela, żeby otworzyć okno. Spojrzał w dół z czwartego piętra na przechadzających się po mieście ludzi. Do ciasnego i cichego wcześniej pomieszczenia wleciało trochę panującego na ulicy gwaru. Pokój ożył. To jakby wtłoczyć życie na powrót w sztywne zwłoki.



– I moją rolę – zapytał w końcu Nawara – jest przekonać cię, że pójście dziś na dach nie jest najlepszym pomysłem?

– A potrafi doktor coś takiego?

– Może... Chociaż ciężko prosić kogoś o zrezygnowanie z zapalenia papierosa z punktu widokowego w taki piękny dzień jak dziś. Całe to słońce i śpiew ptaków... Tylko czy naprawdę warto wchodzić tak wysoko?

– Pobyć przez chwilę nieco bliżej nieba? Myślę, że tak. Warto.

– I potem spaść prosto do piekła? Kto jak kto, ale ksiądz powinien wiedzieć, że tam na górze nie lubią samobójców. Stwórca nie lubi, jak jego zabawki popsują się, nim sam zdąży je złamać.

– Tak widzi doktor Boga? Jako niewyżyte dziecko łamiące zabawki?

– Nie. Nie mam w zwyczaju gardzić czymś, czego istnieniu zaprzeczam. Zwyczajnie staram się użyć języka, który do księdza dotrze.

– Tak w ogóle to skąd doktor wie, że jestem księdzem?

– Sprawdzam, kto zapisuje się do mnie na wizyty. Wystarczyło podrzucić to nazwisko kilku pacjentom. To jak, strach przed zamkniętą bramą raju nie wystarczy? Chce ksiądz innych powodów, dla których warto dalej żyć? Czy może ta wizyta to jakiś nieśmieszny żart, którego nie rozumiem?

– A ma doktor inne powody?

– Może zacznę od pytania, dlaczego ksiądz chce ze sobą skończyć?

– A dlaczego ludzie popełniają samobójstwa? Może mi doktor wymieni kilka, a ja dopasuję coś do siebie. Więc dlaczego to robią?

– Z różnych przyczyn.

– Na przykład?

– Bieda, nałogi... Traumatyzacja z dzieciństwa, których nie mogą się pozbyć. Różnie.

– Różnie... Wszystkie te powody wydają mi się jakieś strasznie powierzchowne. Nie ma doktor czegoś bardziej wyrafinowanego?

– Niektórzy mądrzej.

– Mądrzej?

– Tak.

– Czyli życie jest domeną głupców?

– Naprawdę nie rozumiem, po co prowadzimy tę rozmowę... Możesz już powiedzieć, co naprawdę tutaj robisz?

– Mirek Halny, właściciel Psiej Budy... Był głupcem?

– Och, więc to o niego chodzi... – Doktor westchnął znudzony. – Wiedziałem, że ta sprawa kiedyś do mnie wróci.

– Doprawdy?

– Słyszałem, że często księdza odwiedzał. Domyślałam się, że mógł o mnie wspominać, ale nie mam wpływu na to, co mówił. Zakładam, że mówił dużo, ale ile z tego było prawdą, to wiem tylko ja i on.

– Dlaczego mu to robiłeś? Przyszedł do ciebie z problemem, a ty, zamiast mu pomóc...

– Dlaczego myślisz, że mu nie pomogłem?

– Słyszałem rzeczy, które mu opowiadałeś... Wiesz, że ci się udało?

– Co mi się udało?

– Powiesił się.

Doktor zamknął okno, po czym znowu rozsiadł się w fotelu. Położył obie dłonie na kolanach i spuścił głowę. Martwa cisza znów zadomowiła się w środku.

– Będziesz udawał, że ci z tego powodu przykro? – zapytał groźnie Kozik.

– Cieszyć się nie zamierzam.

– Belka, na której zawiązał linę, pękła. Spokojnie... Przeżył.

– Och. – Doktor podniósł delikatnie wzrok.

– Zakończ praktykę, Nawara. Nie potrafisz tego robić, więc z tym skończ. Zanim ktoś jeszcze ucierpi.

– Pomagam ludziom, tak jak powinno się to robić.

– Powinno? Do kurwy nędzy! – Kozik zaczął wygrażać palcem. – Jak ktoś ci mówi, że chce skoczyć z dachu, to nie mówisz mu, że mamy dziś piękną pogodę i będzie miał podczas lotu ładny widok. Mówisz mu, że świat jest piękny i warto dalej żyć!

– A warto? Słuchaj, ojczulku...

– Nie nazywaj mnie tak...

– Nie wiem, co chcesz tu osiągnąć, ale to ty powinieneś przestać, nie ja. Mirek pozbył się złudzeń... Po wielu długich sesjach zrozumiał życie, takim, jakim jest naprawdę. Zmądrzał i podjął słuszną decyzję. Nam nic do tego.

– Takim, jakim jest naprawdę? To znaczy jakim?

– Jałowym.

– Jałowym?

– Mirek pojął, że jedynym celem istnienia jest śmierć. Jaki sens ma miłość, złość, nienawiść, gniew, wiara, żal... Jaki sens ma cokolwiek w obliczu śmierci? Po co przez to wszystko przechodzić? Żałoba po stracie bliskich, samotność, paskudne choroby, cała masa bólu i cierpienia, ciągłe poczucie braku sensu i sprawiedliwości. Po co się z tym męczyć?

– Trzeba było wysłać go do mnie. Widzę, że mam nieco lepszą odpowiedź niż ty, gdy mnie ktoś spyta o cel istnienia.

– Życie wieczne? Bez żartów. Ja tu mówię na poważnie, a ty... Jedyne, co możesz im zaoferować, to strach. Strach przed tym, że po tym koszmarze zacnie się następnym, jeśli

nie będą wystarczająco grzeczni i wstrzemięźliwi. Bez strachu przed śmiercią cała wasza wiara posypałaby się jak domek z kart. Służy tylko temu, żeby pomóc z tym strachem żyć. A o to chodzi, żeby się go wyzbyć. Życie wieczne... I to niby ja go skrzywdziłem? Był już tak blisko prawdziwego spokoju. Trzeba go było zostawić samemu sobie. Spróbowałby znowu...

– Nie spróbuj, ale to już nie twój interes.

– Ani twój. Pamiętasz może niejaką Kingę Wróblewską? Policjantkę?

– Skąd ty...

– Jej córka, niejaka Ewa, też pracuje tutaj w policji, na pewno ją znasz... Podczas jednej sesji Mirek opowiedział mi, jak pewnego dnia w Psiej Budzie Ewa wypła trochę za dużo i opowiedziała mu to i owo o swojej matce... O tym, jak postanowiła iść jej drogą i wstąpić do policji, mimo tego, co się wydarzyło. Słyszałem, że jej matka często księdza odwiedzała. Zapewne opowiadała o swoich problemach, o tym, jak się czuje... Może chciała rad... Przypomnisz mi, jak zmarła?

– Skurwysynu...

– Dokładnie. W wannie było tyle krwi, że wyglądała, jakby brała kąpiel w soku z wiśni. Tak zapamiętała to mała Ewa, która znalazła matkę z pociętymi nadgarstkami. Sok z wiśni... Dziewczyna nie pije go do dzisiaj... Nie potrafiłeś pomóc jej matce. Nie miałeś odpowiedzi, których oczekiwała... Twój Bóg nie dał ci odpowiednich słów. Żadnego leku na jej chorobę. Chcesz, żebym zrezygnował z praktyki? Może to czas, żebyś ty w końcu zrezygnował? Nie chodzisz przecież po tym świecie od wczoraj. Czy cokolwiek z tego, co robisz, sprawia jakąś różnicę? Ludzie zaczynają przychodzić do ciebie, gdy szukają odpowiedzi, ale z czasem dochodzą do wniosku, że już wcale nie chcą jej znać. Przestaje ich obchodzić... Opuściłeś sobie z policjantką Kingą, potem z Mirkiem z Psiej Budy, a teraz przyszedłeś tu tylko po to, żeby się poczuć nieco lepiej ze sobą i zwalić winę na mnie. Coś mi mówi, że w środku musisz czuć się dokładnie tak samo jak ja. Widzisz, że na trawiącą ten świat chorobę nie ma lekarstwa... Więc po co kazać pacjentowi się męczyć?

Kozik zamilkł, spuścił głowę.

– Idź już, ojczulku. Idź i w końcu odpuść. Dość długo już walczyłeś.

\* \* \*

Duchowny nagle otworzył szeroko oczy, po czym wybuchnął gromkim śmiechem. Ocknął się.

– Skurwiel... – rzucił Mejza, uderzając księdza lekko w bark. – Myślałem, że mi tu zszedłeś. Że rozwaliłeś głowę czy coś...

– Ha! Żebyś widział swoją minę! Gacie pełne?

Obydwaj zaczęli się głośno śmiać, ale po chwili Kozik zamilkł równie gwałtownie, co wcześniej się roześmiał. Wbił wzrok w podłogę przed sobą.

– Co jest? – spytał Mejza, po czym podążył wzrokiem za spojrzeniem Kozika. Na podłodze leżał mały woreczek strunowy wypełniony białym krystalicznym proszkiem. Detektyw oklepał gwałtownie kieszenie, pchany chyba tylko paniką. Wiedział, że woreczek należy do niego. Musiał wypaść.

– Czy to to, o czym myślę? – zapytał Kozik poważnym tonem. Sprawiał wrażenie cudownie otrzeźwiałego.

– To nic takiego. – Mejza podniósł woreczek z ziemi. – Dostałem od kolegi. To na ból.

– Ból?

– Kontuzję pleców... Bola jak diabli...

– Tak? Jakoś nie wyglądasz, jakby cię coś bolało.

– Bo już się znieczuliłem.

– I jakie to uczucie? – Ksiądz kiwnął głową w stronę trzymanego w dłoni Maksa pakunku.

– W jakim sensie?

– Co po tym czujesz?

– Nie brałem tego. Chyba nawet nie miałem zamiaru... Sam nie wiem, po co to od niego wziąłem. Chciałem mieć ratunek w razie czego... Chyba.

– Od kogo to wziąłeś?

– Nieważne.

– Nie chciałbyś spróbować?

– Co?

Obaj wstali z podłogi, ale zawroty głowy szybko posadziły ich z powrotem na krzesła. Mejza położył towar na stole przed sobą i przez jakiś czas w milczeniu tylko na niego spoglądali.

– No i? – Ksiądz ponowił pytanie.

– Nie jestem pewien. Mam już nałóg, nie chciałbym, żeby był zazdrosny.

– Myślisz, że uzależnisz się od jednej dawki?

– To jakiś test, tak? Wodzisz mnie na pokuszenie, jak wąż z tym jabłkiem?

– Są tacy, co mówią, że Bóg jako stwórca wszystkiego stworzył też narkotyki. Ale są też tacy, co twierdzą, że było dokładnie na odwrót. Że to narkotyki stworzyły Boga. Jest taki izraelski naukowiec... Twierdzi, że lud podążający za Mojżeszem przez pustynię był na nieustannym haju.

– O czym ty mówisz?

– Pustynia, jedzenia niewiele, a w okolicach góry Synaj rosła roślina o silnych działaniach halucynogennych... Te wszystkie błyskawice, światła i głosy trąby opisane w Księdze Wyjścia cholernie by pasowały do narkotycznych wizji, wręczanych sobie

przez tłum. Wiesz, jeden ćpun krzyknie, że słyszy głosy, to reszta szybko to podłapie i też zacznie słyszeć. Ten sam gość twierdzi też, że pakt Mojżesza z Bogiem nigdy nie został zawarty... Że facet po prostu wlaź na górę tak naspawany, że gadał sam ze sobą i wrócił do ludzi z dziesięcioma przykazaniami.

– Wierzysz w to wszystko?

– Chyba zauważyłeś, że staram się nie odrzucać żadnych teorii. Zresztą narkotyki są nierozdzielnie związane z religią, czy tego chcemy, czy nie. Najstarsze znane ludzkości rytuały pozwalające na istną transcendencję i wejście w kontakt z absolutem wiązały się z zażyciem substancji psychotropowych. Ludzie wierzyli, że tylko w tym stanie mózg jest zdolny zestroić się ze stwórcą.

– Wyjątkowy z ciebie ksiądz, wiesz?

– To co robimy?

Obaj wciąż nieufnie wpatrywali się w leżącą na środku stołu saszetkę, jak na przyczajone zwierzę mające zaraz rzucić się im do gardeł.

– Nie będę cię powstrzymywał – odparł Mejza, po czym przysunął woreczek bliżej Kozika. – Chcesz, to się częstuj. Może zobaczysz w końcu tego swojego Boga. Bo na to liczysz, nie?

Ksiądz powoli i ostrożnie chwycił saszetkę w dłoń i począł oglądać ze wszystkich stron. Po chwili przetaił stół rękawem i wysypał na niego niewielką ilość krystalicznej substancji. Nachylił się, rzucił ostatnie spojrzenie Maksowi, który wpatrywał się w niego z nienagannym skupieniem, po czym zatkał palcem jedną dziurkę w nosie, a drugą mocno zaciągnął usypany na stole kopczyk.

Momentalnie go odrzuciło. Oczy niemal wyszły z orbit, a dłonie pocierały nos, jakby próbowały wydrapać go z twarzy. Po chwili się opanował i z szerokim uśmiechem na twarzy spojrzął na detektywa.

– No i? – zapytał Mejza. – Co czujesz?

Kozik odetchnął głęboko, wypinając do przodu klatkę piersiową, jakby gotów zmierzyć się ze wszystkim, co przygotował dla niego wszechświat. Raczej przybity i zniechęcony wcześniej duchowny w jednej chwili zaczął przypominać tryskającą optymizmem gwiazdę rocka.

– Jak się czujesz? – ponowił pytanie Mejza.

– Jak anioł.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mejza nie miał pojęcia, jakim cudem znaleźli się pod klubem. Wydarzenia poprzednich kilku godzin wydawały się tylko strzępkami jakiejś większej całości, przypominając we wspomnieniach dynamiczny filmowy zwiastun przygotowany na hollywoodzką modłę. Chyba coś zniszczyli, chyba coś ukradli i chyba dał komuś w mordę...

Ciężkie basy, słyszane nawet na zewnątrz, pompowały krew w żyłach, sprawiając, że serce chciało wyskoczyć z klatki piersiowej wprost na parkiet. Każdą nutę odczuwał całym ciałem. Klubowa muzyka, którą wcześniej tak mocno gardził, zdawała się teraz idealnie zestrojona z jego wewnętrzną energią, szukając ujścia na wszystkie możliwe sposoby.

Po raz pierwszy od dawna czuł, że naprawdę żyje i że to życie jest nieziemsko przyjemne.

– Wchodzimy? – zapytał Kozik, łapiąc go za rękaw.

Spojrzał na spoconą i spuchniętą twarz księdza. Jego rozbiegany wzrok zdawał się skanować każdy milimetr przestrzeni przed nimi, jakby za chwilę miał podłączyć się do drukarki i wydrukować ten sam klub w 3D razem z bramkarzem. Sutanna zniknęła, ubrany był w dżinsy i zwykły luźny T-shirt, w takim zestawie w ogóle nie przypominał poważnego księdza sprzed kilku godzin.

Bramkarz stojący w wejściu już jakiś czas temu zauważył, jak czają się pod klubem. Spoglądał tylko spod byka, raz po raz przybijając pieczętkę na nadgarstku kolejnej pijanej małolaty.

– Maks, ej, Maks! – krzychał szeptem ksiądz, stojący już nieco dalej, w krzakach. Mejza mógłby przysiąc, że jeszcze sekundę temu stali tu razem, nie miał pojęcia, jakim cudem duchowny tak szybko się oddalił. Sukinsyn się teleportował, to było jedyne wytłumaczenie.

Ostrożnym krokiem zbliżył się do księdza, uważnie go obserwując. Chciał być pewny, że tym razem nie przemieści się, jak tylko na moment spuści go z oczu.

– Maks, ej, Maks. Masz. – Ksiądz nasypał sobie odrobinę proszku na przestrzeń pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, po czym przyłożył Maksowi pod nos.

Mejza gwałtownie zaciągnął powietrze, wsysając w nozdrza całą porcję. Kozik po chwili powtórzył manewr, tym razem na sobie.

– Wchodzimy! – krzyknął Mejza.

- Co? – spytał szeptem ksiądz, w przerażeniu rozglądając się na boki.
- Do klubu.
- Tak, tak. Już idziemy.

Bramkarz nie robił problemów, ale widać było, że gryzł się w język, próbując powstrzymać wybuch śmiechu. Chyba wpuścił ich do środka jedynie dlatego, że miał nadzieję móc wyrzucić ich na kopach za kilka minut, jak tylko nadepną komuś na odcisk.

Muzyka w środku sprawiała, że organy obijały się o żebra, jakby urządziły sobie w środku własną imprezę. Kolorowe światła waliły po oczach, a Mejza miał wrażenie, że każde napełnia go innym rodzajem energii. Niebieskie napełniało go nadzieją, zielone spokojem, a czerwone agresją. Cały ten emocjonalny koktajl przelewał się w nim, sprawiając, że czuł się jak nigdy dotąd. Już zawsze chciał się czuć w ten sposób.

Chciał czuć.

Bo najgorsze w starzeniu się jest to stopniowe blaknięcie wszystkich emocji. Jakby oglądało się świat na starej fotografii. Nie odczuwamy już tak jak kiedyś i nie mamy pojęcia dlaczego. I to nas najbardziej wkurwia. Wykańcza. Czujemy się coraz mniej ludźmi. Gniew nie jest już prawdziwym gniewem, smutek nie jest smutkiem, a radość to tylko chwilowe strzały dopaminy, po których następuje paskudny zjazd. Każdy przebłysk szczęścia w życiu powoduje tylko te dziwne wyrzuty sumienia. Coś, co trudno tak naprawdę zrozumieć. To okrutne uczucie, że nie powinniśmy czuć się szczęśliwi, bo tuż za rogiem czeka na nas coś strasznego.

Ale teraz to wszystko odeszło. Pozwalał sobie na radość i wcale nie czuł się winny.

Przebili się przez tłum wirujących w pulsującym tańcu licealistek prosto pod bar, którego krawędzi chwycili się, jakby od tego zależało ich życie, jakby przypływ tancerek mógł ich porwać i utopić w każdej chwili. Ksiądz zamówił dwa piwa, a Mejza nieustannie przyglądał się tańczącej na parkiecie młodzieży.

- Powinniśmy tam wejść! – krzyknął detektyw.
- Co?!
- Na parkiet!
- Chcesz tańczyć?! Myślałem, że bolą cię plecy. Zresztą... Wiesz, jak niegodnie wyglądają goście w naszym wieku podczas tańca?!

Mejza uśmiechał się, sącząc piwo. W ogóle nie słyszał, co mówi ksiądz, muzyka była zbyt głośna. Patrzył na roześmiane twarze młodych ludzi skaczących w rytm muzyki.

- Chodź! – krzyknął, po czym odstawił ledwo naruszone piwo na blat. Ksiądz jedynie pokręcił przecząco głową.

Mejza ruszył przed siebie. W ogóle nie przeszkadzały mu zdziwione twarze zderzających się z nim osób. Jego wątle ciało odbijało się między tańczącymi jak w maszynie do pinballa, ale miał wrażenie, że wszyscy przenikają przez niego jak duchy. Stał na środku sali i zamknął oczy. Na jedną krótką chwilę cały świat na zewnątrz przestał istnieć. Muzyka ucichła, został sam.

Tylko on i nieprzenikniona ciemność własnych myśli.

Po chwili do świadomości zaczęły docierać pierwsze dźwięki. Najpierw sam wokal, potem wysokie tony, na samym końcu soczyste basy. Pierwszą rzeczą, jaką poczuł w ciemności własnej świadomości, było ciepło rozchodzące się wzdłuż kręgosłupa, jak kojący balsam. Gdzieś tam w tłumie, między zapachem tanich przesłodzonych perfum, potu i podłej wódki, czuł, jak opuszcza go cały ból nagromadzony w dążącej do autodestrukcji duszy. Blizny zdawały się znikać, rany goić, a starość parować niczym morską wodą, zostawiając w nim jedynie sól młodości.

Ruch za ruchem, skręt za skrętem.

Gdy otworzył oczy, zdał sobie sprawę z tego, że już tańczy. Przestrzeń dookoła niego zdawała się poszerzać w miarę tego, jak zgromadzona zewsząd młodzież uświadamiała sobie, z kim przyszło im imprezować. Stanowili jedną świadomość, jeden organizm, który odrzucał go jak źle przyjęty przeszczep.

Nic go teraz nie obchodziło. Bez strachu i wstydu włączał do swojego repertuaru kolejne paralityczne ruchy, ledwie trafiające w wylewające się z głośników bity. Czuł, jak staje się pełnokrwistym ucieleśnieniem tego, co autor leżącego właśnie kawałka chciał przekazać swoją twórczością.

Wolny od samoświadomości, wolny od bólu.

Wolny.

- Dawaj na parkiet! – krzyknął do stojącego przy barze księdza.
- Co?! Zapomnij! Co ty w ogóle robisz?! Nazywasz to tańcem?!
- Dawaj tu, ojcze!
- Wyglądasz, jakbyś dostał spazmów! Widziałeś ty kiedyś tańczącego człowieka?!
- To chodź tu, na Boga, i pokaż sam, jak to powinno wyglądać!

Ksiądz wszedł na parkiet. Zgromadzeni dookoła przepuścili go, jakby brali udział we flashmobie. Każdy był ciekaw, co zaraz nastąpi. Kozik mijał zapłakane od śmiechu twarze w drodze do Maksa wywijającego na środku parkietu. Stał jak wryty przed detektywem, jakby miał problem przystosować się do nowej rzeczywistości, która właśnie przed nim wyrosła bez żadnego ostrzeżenia.

- Tańcz! – krzyknął Mejza niecierpiącym sprzeciwu tonem.
- Co?! – Obaj starali się przekrzyczeć puszczaną przez DJ-a muzykę.
- Tańcz, powiedziałem!



– Nie!

– Rzuć mi wyzwanie! Tańcz!

Ksiądz podciągnął spodnie niemal pod same pachy, strzelił karkiem i rozprostował knykcie, jakby rozgrzewał się przed ważnym meczem. Po chwili zaczął delikatnie bujać biodrami w rytm futurystycznej muzyki.

– To nazywasz tańcem?! – wyśmiał go Mejza, ani na moment nie przerywając tego, co sam uznał za taniec.

Ksiądz nieco przyspieszył.

– Nie rozśmieszaj mnie!

– Dobra, skurwielu – odparł Kozik. – Sam tego chciałeś.

Ksiądz rzucił się w wir szalonego tańca, przypominającego rytuał godowy jakiejś dawno zasypanej upływem czasu cywilizacji. Uderzał piętami w parkiet z taką werwą, że rozsądnym byłoby się bać, że naruszy delikatną strukturę klubu i pogrzebie zgromadzonych pod gruzami zawalonego sufitu. Drugą opcją było wykopanie w ziemi dziury tak głębokiej, że na własne oczy przekonałby się, czy piekło istnieje, a kolejne piwo wypiłby z samym Lucyferem. Kot

DJ, widząc, co się dzieje na parkiecie, chyba celowo zapuścił jeszcze szybszy kawałek, żeby zobaczyć, jak ten festiwal groteski dalej się potoczy. Soczysty dubstep, przypominający odgłosy łamanego metalu, kości i ludzkiej psychiki, lunął z głośników z siłą wodospadu. Będący już chyba w transie Kozik zdawał się tańczyć bardziej do tego, co ma w głowie, niż do rzeczywiście grającego kawałka. Mejza natomiast zamknął oczy, starając się poczuć każde doznanie całym sobą. Przyspieszał wraz z melodią, zwalniał tuż przed dropem i wybuchał całym sobą, gdy tylko kakofonia dźwięków sugerowała, że właśnie osiągnęła swoje apogeum.

Nie potrafił tego opisać, ale gdy tak zamykał oczy, czuł, jakby unosił się nad ziemią. Nogi zmiękły mu tak mocno, że już w ogóle nie czuł w nich oparcia. Gdy próbował dotknąć twarzy, zdziwił się, jak bardzo jest odrętwiała.

Poczuł się dziwnie obco, jakby nagle znalazł się gdzie indziej i stał się kimś innym. Przeraził się.

Otworzył oczy.

Nie stał już na parkiecie, w klubie, pośród tłumu. Niespodziewanie znalazł się we własnym mieszkaniu. Takim samym jak zawsze, jednak zupełnie innym. Odsłonięte zasłony wpuszczały do środka tyle słonecznego światła, że całe pomieszczenie wydawało się wręcz otulać go ciepłem. Kolory były żywe i świeże, wnętrza wysprzątane, a gdy odruchowo sięgnął do lodówki po piwo, zobaczył, że po brzegi wypełniona jest jedzeniem. Prawdziwym jedzeniem.

Usłyszał szum dochodzący z łazienki. Ktokolwiek tam był, brał właśnie prysznic.

Spanikowany, rozejrzał się po mieszkaniu w poszukiwaniu czegoś do obrony. Dopadł do komody obok łóżka, padł na ziemię i sięgnął ręką głęboko pod nią. Wyjął ukrytego glocka 17 i zamarł, gdy usłyszał, że strumień wody nagle się zatrzymał. Odgłosy bosych stóp klapnęły na łazienkowych kafelkach. Ostrożnie podszedł do drzwi i cały czas celując przed siebie, nacisnął klamkę.

Uderzył go strumień niehumanie jasnego światła. Oczy potrzebowały chwili, żeby do niego przywyknąć, jednak gdy już to zrobiły, wydobyły z jasności sylwetkę kobiety odzianej jedynie w dwa ręczniki. Jeden wokół ciała, drugi wokół włosów. Gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się serdecznie z takim ciepłem, że mogłaby rozpuszczać lodowce. Widok broni zdawał się jej w ogóle nie przerażać.

– Mariola? – zapytał. – Mariola, co ty tu...

– Opuść to, głuptasku – odparła kobieta, spokojnie przyglądając się swojej cerze w zaporowanym lustrze nad umywalką, chociaż z pewnością nie mogła nic w nim dostrzec. Jej ciężowy brzuch, z jakim ją ostatnio widział, zniknął. Wyglądała też dużo młodziej. Przypominała wersję siebie, jaką znał z czasów przed wypadkiem. – Odłóż to, bo zrobisz sobie krzywdę.

Mejza spojrział w dół na trzymaną przez siebie broń. Zdał sobie sprawę, że cały czas owija palec wokół spustu. Przerażony, odłożył pistolet na umywalkę.

– Od razu lepiej. – Kobieta zarzuciła mu ramiona na szyję, po czym obdarowała namiętym pocałunkiem. – Jak minął ci dzień? – zapytała. – Tak szybko wróciłeś z pracy?

– Tak... – odparł zmieszany. Nagle poczuł olbrzymi ból głowy, jakby ktoś wiercił mu dziurę w mózgu. – Ja... Ja byłem w pracy. – Nie potrafił sobie przypomnieć, jak znalazł się w łazience, mimo to obecność Marioli szybko wydała mu się naturalnym stanem rzeczy.

– Dobrze się składa. – Mariola uśmiechnęła się szeroko. – Będziesz mógł odebrać Sonię ze szkoły. Ja zrobię sobie dzisiaj wolne.

– Sonię? Jaką... Jaką Sonię? O czym ty...

– Głuptasie, zapomniałeś już, o której nasza córka kończy zajęcia?

– Córka? Ja... Ja nic... – Chwycił się za głowę, próbując powstrzymać pulsujący ból.

Kobieta złapała go za dłonie i przyciągnęła do siebie.

– No już – powiedziała. – Przestań. Boli tylko, jak z tym walczysz.

Na łagodny dźwięk jej głosu ból ustąpił jak na komendę.

– Czy tak mogło być? – zapytał, obejmując kobietę jak przestraszone dziecko. Czuł, jak ogarnia go przyjemne ciepło. – Czuję się tak dobrze. Czy może już tak zostać?

– Chciałbyś tu zostać? W tym miejscu? Ze mną? Z nami?

– Ja...

– Maks, głuptasie. – Uśmiechnęła się, delikatnie odsuwając go od siebie. – Po tym, co zrobiłeś?

– Co zrobiłem? – Ból głowy znowu zaczął się nasilać. – Ja... Ja nie chciałem, naprawdę. Jechałem tak szybko i...

– Maks...

– Zabiłem ją... – Załamał mu się głos. Oczy wypełniły się łzami. – Kurwa mać... Zabiłem Sonię.

– Nie o tym mówię, ale nie myśl teraz o tym wszystkim. Boli tylko, gdy myślisz. Musisz odpuścić.

– Chcę tu zostać. Muszę zostać.

– Chcesz być ze mną? Czy po prostu nie chcesz już być sam? Przecież nie byłem jedyną kobietą w twoim życiu. Co stało się z tymi następnymi? Teraz cofasz się coraz mocniej w przeszłość, szukając rzeczy i osób, które mogłeś tam zostawić. Które być może wciąż na ciebie czekają.

– Ja...

– Maks, głuptasie. Zapomniałeś już, że przeszłość nie istnieje? Nikt w niej na ciebie nie czeka... Przykro mi...

– Ja... – Warknął z bólu, łapiąc się za głowę. – To tak kurewsko boli!

– To już nieważne, Maks. Po tym, co zrobiłeś, nic nie ma już znaczenia.

– Co zrobiłem? Skarbie, powiedz mi, co mógłbym zrobić, żeby zostać.

– Stchórzyłeś. Gdybyś chciał tu zostać, nie stchórzyłybyś wtedy. Wykorzystałbyś okazję.

– Nie stchórzyłbym? O czym ty... Co zrobiłem?! Powiesz mi w końcu, do cholery?! – darł się, niemal padając na podłogę z bólu.

Mariola delikatnie objęła jego twarz. Poczł miętkość jej dłoni na chropowatych policzkach. Nagle się uspokoił.

– Pokażę ci – wyszeptała łagodnie, po czym delikatnie obróciła jego głowę w stronę zaporowanego lustra.

Maks patrzył przez chwilę w mleczną powłokę zakrywającą odbicie, które spodziewał się zobaczyć. Po chwili kobieta przejechała dłonią po szybie, odsłaniając niewielki przejrzysty fragment.

Czerwień.

Dostrzegł, że jego twarz zalana jest krwią. Serce zaczęło walić jak oszalałe, czuł, jak traci grunt pod nogami, gdy przerażony starał się doszukać źródła krwotoku. Kobieta jeszcze raz chwyciła jego twarz w dłonie. Początkowo próbował się wyrwać, jednak po chwili odpuścił. Pozwolił Marioli delikatnie obrócić swoją twarz bokiem do lustra. Ból ustąpił.

Obszerna blizna na jego szyi całkowicie zniknęła. Zastąpiona czymś innym... W skroni miał dziurę wielkości pięści. Z przypominającej otchłań rany wciąż sączyła się krew. Gdy spojrział w dół, zdał sobie sprawę z tego, że znowu trzyma pistolet.

– Wciąż możesz tu trafić, Maks. Wiesz, co robić. Musisz być dzielny.

Ponownie spojrział na pistolet. Ramię mimowolnie poszybowało w górę. Do skroni.

Spojrzał żonie w oczy. Już miał nacisnąć, gdy poczuł, jak zbiera mu się na wymioty. Z całej siły odrzucił od siebie Mariolę na przeciwległą ścianę i nachylił się nad zlewem.

– Odwróć go na bok! Szybko, bo się udławi!

Mejza otworzył oczy, po czym zwymiotował na brudny chodnik pod sobą. Trząśnięcie z zimna, choć był cały zlany potem. Przez chwilę wpatrywał się w kałużę wymiocin, ciężko dysząc, gdy zdał sobie sprawę, że leży na chodniku nieopodal klubu i ktoś nad nim stoi. Przytłumione basy wciąż docierały z oddali.

Gdy spojrział w górę, ujrzał przerażone blade twarze księdza i Różyckiego.

– Stary... – rzucił dziennikarz drżącym głosem. – Napędziłeś nam stracha. Już dzwoniłem po karetkę, bałem się, że nam tu zejdziesz.

– Co... – Mejza splunął na chodnik. – Co jest?

– Padłeś jak sztywny – odezwał się Kozik. – W środku, na parkiecie. Nie wiedziałem, czy to zawał, czy jaki... Ochroniarz w ogóle nie chciał z nami dyskutować. Chcieliśmy, żeby wezwał pomoc, ale on po prostu wywalił nas z klubu. Co za skurwiel!

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał Różycki. – Wolałbym nie wzywać karetki, jeśli nie ma potrzeby, wiesz... Musiałbyś im powiedzieć, co brałeś...

– Nic mi nie jest – odparł Mejza słabym głosem, po czym dźwignął się z chodnika i walcząc z zawrotami głowy, dotoczył się do najbliższej ławki.

– Ile tego wziąłeś? – Różycki spojrział raz na detektywa, raz na księdza. – Wzięliście...?

– Skąd się tu wziąłeś? – odpowiedział pytaniem na pytanie Mejza.

– Byłem w środku cały czas. Właśnie wychodziłem z kibla, gdy zobaczyłem tłumy na parkiecie. Zanim się przebiłem, leżałeś już na ziemi.

– Nie wyglądasz mi na kogoś, kto chodzi po klubach. – Detektyw przetarł rękawem zapaskudzone usta.

– Ty też. A jednak byłeś w środku.

Mgła dopiero zaczynała schodzić ze wzroku Maksa, pozwalając mu dostrzec, jak bardzo dziennikarz się poci. Nosił go też jakby mocniej niż zwykle.

– To ile wziąłeś? – ponowił pytanie Różycki już nieco bardziej agresywnym tonem. – Proszę, powiedz mi, że coś zostało.

– Wszystko poszło – włączył się ksiądz, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Kurwa! – wybuchnął Różycki, po czym ze wstydem rozejrzał się dookoła. – Wybaczenie... To nic, to nic... Zaraz... zaraz powinien tu być...

– Kto?

– Nieważne. To co, potrzebujesz karetki?

– Mówiłem już, że nic mi nie jest. Zasłabłem, to wszystko.

– Nie powinieneś tego łączyć z alkoholem.

– Co?

– Myślisz, że czemu nie piję? Stymulant plus depresant to autostrada na tamten świat. Zbyt wielu odeszło w ten sposób... Kojarzysz Layne'a Staleya z Alice in Chains? Kurwa... Gdzie on jest?

– O kim mówisz? Czekasz tu na kogoś czy co?

– O, idzie! – wykrzyknął dziennikarz, po czym ruszył w stronę przechodzącego nieopodal mężczyzny.

– Tym razem to ty mnie nabrałeś – rzucił ksiądz, siadając obok na ławce. – Myślałem, że umarłeś. Zrobiłeś się blady jak trup i zaraz potem zwymiotowałeś.

– Niczego nie udawałem. – Mejza przyglądał się Różyckiemu dyskutującemu z facetem odzianym w koszulkę z logo Nirvany. W słabym świetle latarni można było dostrzec jego długą kozią bródkę. Mężczyźni pogadali chwilę, po czym wymienili się uściskiem dłoni. Zaraz po tym Różycki puścił się biegiem w krzaki.

– Też się po tym wszystkim chujowo czuję – powiedział ksiądz bardzo zmęczonym głosem. – Chyba jedyne, czego teraz chcę, to położyć się spać.

– I co, masz dla nas jakieś nowe przykazania? Czego jeszcze chce nam zakazać ten na górze?

– Co?

– Pytam, czy znalazłeś po tym swojego Boga. Wiesz, jak Mojżesz...

– Szybko odzyskałeś poczucie humoru jak na gościa, który jedną nogą był już po drugiej stronie. Zresztą do takich wizji przydałyby się jakieś halucynogeny.

– Jak wejść w posiadanie takowych, to będziesz pierwszą osobą, do której się udam. Masz moje słowo. Jak brać, to tylko z tobą.

Ksiądz posłał mu zmęczony uśmiech.

– Czyli Boga nie znalazłeś?

– Nie... I nie chcę dalej zapuszczać się w te rejony. Chyba wolę szukać go na dnie butelki. Lepszy diabeł znany i tak dalej... – Kozik podniósł się z ławki. – Pójdę już. Dziennikarz cię odprowadzi.

– Kozik... – Maks zatrzymał księdza po kilku krokach, ten wyglądał na śmiertelnie zmęczonego.

– Hm?

– Tam niekoniecznie musi być tak źle.

– Co?

– Po drugiej stronie.

Ksiądz spojrział na detektywa wpatrującego się w chodnik przed sobą. Westchnął ciężko, po czym obdarował go zmęczonym uśmiechem.

– Dobranoc, Maks.

Mejza skinął lekko głową. Przez chwilę obserwował znikającego w mroku księdza.

– Ruszamy? – zapytał Różycki. Wyglądał znacznie lepiej niż jeszcze kilka minut temu.

– Tak, chyba czas, żebym się położył.

– Bardziej miałem na myśli klub – odparł energicznie dziennikarz. – No chodź! Noc jeszcze młoda.

– Zapomnij. Ja wracam. – Podniósł się z ławki. Przez chwilę walczył z zawrotami głowy, ale udało mu się odzyskać stabilną postawę.

– Odprowadzić cię? Wyglądasz jak gównno.

– Nie trzeba.

– A ten... Nie mówiłeś, jak wygląda sytuacja odnośnie do naszej sprawy.

– Naszej sprawy?

– Dowiedziałeś się czegoś od księdza? Kto był tym pacjentem Nawary?

– Właściciel Psiej Budy. Ale bądź dla niego delikatny, OK?

– Mirek?!

– Tak. I mówię serio, bądź delikatny.

– Jestem profesjonalistą, Maks. Dzięki za pomoc. Pogadam z nim. Może dowiemy się w końcu, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nawara mieszał ludziom w głowach.

– Co?

– Powiedzmy, że jeśli ktoś chorował na depresję, to na receptę doktorek przepisywał mu żyletki albo linę.

– O kurwa. I tym pacjentem był gość z Psiej Budy?

– Dlatego proszę cię już trzeci raz, żebyś był delikatny.

– Będę, Maks. Wiesz co, chyba właśnie tam skieruję swoje kroki. Buda powinna być wciąż otwarta. Tak jak mówiłeś, kluby to chyba nie mój klimat.

– Dobranoc, Piotrze.

– Ta, dobranoc.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Obudził go potworny głód. Nieprzyjemne zasysanie w żołądku, dające wrażenie, że zaczyna trawić sam siebie. Wyścig z czasem. Jeśli nie wstanie w ciągu kilku minut, to niewiele z niego zostanie.

Nie otwierając oczu, machał chaotycznie ręką, aż wymacał leżący na stoliku nocnym telefon. Uniósł go na wysokość twarzy, po czym nagle upuścił, trafiając się prosto w nos. Zaklął siarczyście i dźwignął się z łóżka szybciej, niż zakładał to pierwotny plan. Była dziesiąta rano, a miał już kilkanaście nieodebranych połączeń. Połowa od jedyne go starego kumpla z policji, który wciąż chciał z nim gadać – Głowackiego, pozostałe z nieznanego numeru. Westchnął ciężko, po czym odłożył telefon z powrotem na stolik.

Podniósł się z trudem i wolnym krokiem ruszył w kierunku łazienki. Szybko oszacował straty, stwierdzając, że tragedii, o dziwo, nie ma, po czym zanurzył głowę pod strumieniem chłodnej wody. Na zmianę pił i moczył głowę, dopóki nie zgasły wszystkie kontrolki w mózgu krzyczące o krytycznie niskim poziomie nawodnienia.

Usłyszał wibracje dochodzące z pokoju. Dotoczył się do telefonu i odebrał.

– Chłopie, spałem... – rzucił do słuchawki zachrypniętym głosem. – Miałem za sobą ciężką, pracującą noc...

– O czym ty, kurwa, mówisz?! – krzyknął Głowacki, nie kryjąc zdenerwowania. – Od dwóch dni nie mogę się do ciebie dodzwonić!

– Co? O czym ty...

– Wychodziłem już z siebie. Wiesz, jak się martwiłem? Już chciałem dzwonić do twojej byłej żony.

– Ja... – Odsunął od siebie telefon i spojrzał na datę. Nagle poczuł, jak traci grunt pod nogami. Usiadł na łóżku. – Ja... Zdobywałem informacje. Pracuję nad sprawą dla klienta – skłamał, starając się szybko pozbierać myśli. Przespał całe dwa dni. Dwa cholerne dni!

– Po naszej ostatniej rozmowie byłeś jakiś dziwny. Bałem się, że coś sobie...

– Że coś sobie co?

– Chyba mnie rozumiesz... Tamta kobieta, którą wypchnęli z balkonu, ta cała działaczka pro-life. Brzmiałeś, jakby mocno cię to ruszyło. A teraz nie odbierasz od dwóch dni, nikt nie ma z tobą kontaktu. Wystraszyłem się i tyle.

– Nic mi nie jest... Działaczka pro-life?

- Gazet nie czytasz?
- Ostatnio jakoś niespecjalnie mam czas...
- Okazało się, że kobitka była w pewnych kręgach bardzo znana. Bardziej konserwatywna od papieża. Udzielała się w ruchach antyaborcyjnych.
- Zaraz, czekaj, powiedziałeś „wypchnęli”? Wcześniej twierdziłeś, że...
- Wtedy niewiele miałem na stole. Ale wyszły na jaw nowe fakty. W mieszkaniu znaleźliśmy czyjeś odciski.
- Odciski?
- I przesłuchaliśmy jej męża. Podobno kobieta ostatnio była nękana telefonami od byłego chłopaka. Facet chciał się spotkać, ale go zbywała. To był też jedyny gostek, poza jej mężem, który mógł mieć klucz. Kiedyś z nią mieszkał, a ta najwyraźniej nie wymieniła zamków...
- I myślicie, że to on?
- Jej mąż tak twierdzi, normalnie byśmy byli sceptyczni, ale jest problem.
- Jaki?
- Facet się ulotnił. Ten jej były chłopak. Przepadł jak kamień w wodę. Niby nic, ale słuchaj tego... Jego matka zgłosiła oficjalne zaginięcie. Syn podobno nigdy nie zniknął. A ja od dwóch dni się do ciebie dobijam, bo chciałem, żebyś mi coś potwierdził.
- Co takiego?
- Mówiłeś, że widziałeś kogoś na balkonie. Błedego blondyna z włosami do karku?
- Tak, blond włosy do karku mogę potwierdzić, co do bladeści... Tak mi się wydawało, ale to było cholernie wysoko... Zresztą stwierdziłeś, że to udar od słońca.
- Moje poczucie humoru czasem gryzie mnie w dupę. Mógłbyś spojrzeć na fotkę tego byłego chłopaka? Wyślę ci na telefon. Potwierdzisz mi, czy pasuje do tego, co widziałeś.
- Pewnie... Ale pamiętaj o pierwszej zasadzie dorosłego życia.
- Pamiętam. Przysługa za przysługę.
- Sprawdzisz mi pewnego doktora. Psychiatrę. Nazwisko Nawara. Będę potrzebował listy jego byłych pacjentów, niezapłaconych mandatów, problemów z prawem. Cokolwiek na niego znajdziesz.
- Listy pacjentów?
- Kto wie, może uda się sprzedać ją jakiejś kancelarii prawniczej.
- Niby po co?
- Żeby pacjenci mogli przygotować pozew zbiorowy. Działał na ich niekorzyść, ale muszę dotrzeć do tyłu, ile dam radę, żeby ich przesłuchać. Chcę go wsadzić, tyle powinno ci wystarczyć.
- Dobra, puszczę go na bęben. A ty spójrz mi na tego gościa.



– Zgoda.

Głowacki się rozłączył. Chwilę po tym telefon zawibrował – wiadomość ze zdjęciem. Mejza przyjrzał się długowłosemu blondynowi na fotografii. Z tą bródką facet wyglądał niemal jak sam Jezus. Zamknął oczy, starając się przywrócić z pamięci obraz tamtego poranka. Błada twarz pośród kwiatów... Tak... To mógł być on. Ale na pewno nie może tego stwierdzić na tyle mocno, żeby wskazać gościa palcem i oskarżyć o morderstwo.

Usiadł, cały czas drapiąc bliznę, i spuścił głowę. Czuł, jak spływająca do mózgu krew powoli uruchamia maszynę procesów myślowych. Ponownie spojrzął na datę w telefonie, nie mogąc uwierzyć, że przespał całe dwa dni. Świat najwyraźniej nie mógł mu tego podarować, o czym informowała go pulsująca ikona nieodebranych połączeń. Przyglądał się chwilę temu drugiemu, nieznanemu numerowi, który wydzwaniał do niego cały wczorajszy dzień, po czym wcisnął zieloną słuchawkę.

W skupieniu nasłuchiwał kolejnych sygnałów, ktokolwiek dobijał się do niego przez ten czas, najwyraźniej poradził sobie bez jego pomocy.

Żołądek znów o sobie przypomniawszy głośnym burknięciem niezadowolenia. Potworny głód, jaki odczuwał, miał teraz przynajmniej logiczne uzasadnienie. Cały zeszytniały stoczył się z łóżka. Ból pleców powrócił, jednak już nie tak ostry i gwałtowny jak wcześniej. Teraz był znacznie gorszy, tępy i nieustający.

Włożył wymięty czarny T-shirt i lekką lnianą marynarkę i już ruszał na zewnątrz, gdy zadzwonił telefon. Ten sam nieznanany numer, na jaki próbował dodzwonić się wcześniej. Odebrał.

– Tak?

– Maks – odezwał się kobiecy głos. – Maks Mejza?

– Kto dzwoni?

– Od dwóch dni próbuję się dodzwonić. Tu Ewa.

– Ewa?

– Policjantka. Zaprowadziłam cię do celi...

– A, tak. Miałem uszkodzony telefon, wybacz. Co jest?

– Widziałeś się może z Piotrkim?

– Z Piotrkim?

– Różycki... Dziennikarz?

– No tak... Jakiś czas temu, a co jest?

– Od dwóch dni nie odbiera moich telefonów. Tak samo jak ty. Myślałam, że może w coś się razem wpakowaliście. Kiedy go ostatnio widziałeś?

– A co jest dzisiaj?

– Poniedziałek.

- To w piątek. Widziałem go w piątek. Nie ma go w pokoju? Mogę iść zobaczyć.
- Nie ma, sprawdzałam.
- Może się wymeldował i wrócił już do siebie?
- Bez pożegnania?
- Słuchaj, wasza relacja nie do końca jest dla mnie jasna, może po prostu...
- Nie wymeldował się, pytałam recepcjonisty. To z nim wchodziłam do jego pokoju, bałam się, że może coś się stało. Nie pozwolił mi zajrzeć do ciebie... Wszystkie jego rzeczy dalej są na miejscu. Ten sam bałagan co wcześniej.
- Dziwne.
- Jak go ostatnio widziałeś, nie mówił może, że dokądś się wybiera? Cokolwiek?
- Słuchaj, będę z tobą szczerzy. Mam lekkiego kaca i próba przypomnienia sobie teraz czegokolwiek może sprawić, że eksploduje mi głowa. Dam znać potem, OK? Jak tylko coś wpadnie mi do głowy.
- Dobra. Ale martwię się.
- Niepotrzebnie. Harcerzyk raczej unika kłopotów. Oddzwonię.
- Dobra, dzięki.

Rozłączyła się.

Schował twarz w dłoniach, próbując przypomnieć sobie jak najwięcej z wydarzeń piątkowego wieczoru. Chyba mówił Różyckiemu, czego dowiedział się od księdza, i chyba to właśnie do Psiej Budy udał się potem dziennikarz.

Ruszył na dół, chcąc zapłacić recepcjoniście za kolejną dobę, ale nikogo nie zastał. Ledwo stawiając krok za krokiem, czując, że omdlenie wisi nad nim jak ostrze gilotyny, udał się w stronę Psiej Budy, mając nadzieję, że dostanie tam coś do jedzenia i przy okazji wypyta o dziennikarza.

W jego stanie odczuwał uderzenia wiszącego już wysoko na niebie słońca z jeszcze większą mocą niż dotychczas. Liczyła się każda kropla potu, jaka opuszczała jego ciało. Każda kropla mogła przechylić szalę na korzyść całkowitego odwodnienia, sprawiając, że padnie twarzą w chodnik. Męczyły go też dreszcze.

Zadziwiając sam siebie, dotarł pod Psią Budę. Wtargnął do środka jak pustelnik, od lat niewidzący jakichkolwiek śladów cywilizacji poza swoją jaskinią. Zdziwiony klientem o tak wczesnej porze, właściciel przyciszył telewizor, jakby wystraszony, że coś się stało. Mejza poczłapał do baru.

- Mogę w czymś pomóc? – zapytał barman, zabierając z lady gazety.
- Coś do jedzenia – wydukał przez zaciśnięte wargi Mejza. – I piwo.
- Mam tylko burgery i mrożone frytki.
- Czyli dokładnie to, co chcę – rzucił, wyciągając na blat portfel.

Właściciel kiwnął głową, otworzył mu z miejsca butelkowane piwo, nalał do kufła, po czym udał się na zaplecze. Dźwięk obracającego się w mikrofalni talerza w normalnych warunkach powinien być wystarczającym sygnałem, żeby jak najszybciej ewakuować się z lokalu, ale w tej chwili brzmiał dla niego jak anielska melodia, hipnotyzująca i malująca w wyobraźni obraz rychłej uczty.

Zanurzył spierzchnięte usta w chłodnym piwie. Zamknął oczy i siedział tak przez dłuższą chwilę, próbując jakoś pozbić się do kupy. Sprawa nie wyglądała różowo, nie miał pojęcia, jak popchnąć zlecenie do przodu bez kolejnej wizyty w wiosce. Do tego czuł się jak wrak, cały obolały, głodny i odwodniony. Ale nie to było w tym wszystkim najgorsze. Najgorsze było to dziwne wrażenie pragnienia, ulokowane gdzieś jakby z tyłu głowy. Swędzenie, którego nijak nie mógł podrapać. Dobrze znał to uczucie, tylko do tej pory bardzo łatwo mógł je zaspokoić – wystarczyło pójść do monopolowego.

Organizm chciał kolejnej dawki.

Chciał znowu poczuć się tak dobrze.

Porcelanowy talerz uderzył o blat. Barman wyrwał go z transu, podsuwając pod nos smutnie wyglądającego, parującego burgera i porcję zwiędłych frytek.

Bez zbędnych formalności rzucił się na posiłek z barbarzyńskimi manierami. Właściciel lokalu przyglądał się mu z bezpiecznej odległości, jakby obserwował dzikie zwierzę rozrywające swoją ofiarę gdzieś na sawannie.

– Był tu Różycki? – zapytał po chwili Mejza, wciąż przeżuując posiłek z pełnymi ustami.

– Słucham?

– Ten dziennikarz. Harcerzyk. – Spojrzał w stronę pełnego kufła jak na dawno niewidzianego przyjaciela, po czym przywarł do niego i pił tak długo, aż nie zobaczył dna. – Jeszcze jedno proszę – rzucił, kiwając głową w stronę lodówki.

– Wszystko w porządku? – zapytał barman, odkapslowując kolejną butelkę. – Wyglądasz, jakbyś od dwóch dni nie widział na oczy jedzenia i picia.

– Wierz mi lub nie, przyjacielu, ale dokładnie tak było. To jak z tym Różyckim, był tutaj?

Barman zamyślił się przez moment.

– Był, jakiś czas temu. Chyba w piątek. Czemu pytasz?

– O czym rozmawialiście?

Mirek nie odpowiedział, uciekł wzrokiem.

– Spokojnie, to ja mu powiedziałem, że byłeś pacjentem Nawary. Wiem tyle, co i on, możesz się z tym nie kryć.

– Co? Jak... A ty, skąd wiedziałeś?

– Mam znajomości w różnych urzędach. – Skłamał, nie chcąc sprzedać księdza. – Przejrzałem rejestry, to wszystko. Nie wiem, czy słyszałeś, ale taki mam zawód, grzebię, aż nie wygrzebię.

– Nawara to zły człowiek.

– Tak słyszałem. Wiesz, czemu zamknęli mu ten jego gabinet?

– Były skargi. W tym również moje. Nieprawidłowo podchodził do pacjentów.

– Z czym do niego poszedłeś? – spytał, sprawdzając, czy barman opowie mu tę samą historię, co ksiądz.

– Z całym szacunkiem, detektywie, ale nie pana sprawa. Zresztą sam nie bardzo chcę do tego wracać. To samo powiedziałem harcerzykowi.

– Czyli pytał o to?

– Tak, chciał wiedzieć wszystko. Powiedziałem, że jak chce wiedzieć, co Nawara robi pacjentom, to niech się do niego zapisze. Ja zamknąłem ten rozdział swojego życia i zaminowałem wejście. Nie mam zamiaru do tego wracać dla ambicji jakiegoś dziennikarza.

– Żeby sam się do niego zapisał? Przecież zamknęli mu gabinet, niby jak miałyby to zrobić?

– Z tego, co wiem, to Nawara wciąż prowadzi swoich starych pacjentów. Przecież każdy, kto mieszka z nim w tym zasranym dworku, też się u niego leczył.

– Co?! – Mejza podniósł wzrok znad resztki frytek. – To wszystko to jego pacjenci? Skąd wiesz?

– Byłem tam, w sensie w wiosce. Widziałem tam tych samych ludzi, których mijałem na korytarzach jego kliniki. Była tam nawet ta babka, co pomagała mu to wszystko prowadzić.

– Natałka Wolczak.

– Tak, skąd wiesz?

– Poznałeś jej dziecko?

– Nie, gdy ostatni raz ją widziałem, wciąż była w ciąży.

– I nigdzie potem nie widziałeś jej z małym?

– Nie. Unikam ich jak ognia.

– Po co tam poszedłeś? Mówiłeś, że między innymi przez ciebie zamknęli mu gabinet.

– Nie zrozumiesz.

– Pewnie nie, ale obiecuję, że spróbuję.

– Kiedy zwracasz się do obcego człowieka po pomoc, do specjalisty... Mówisz mu dosłownie wszystko... To powstaje relacja, którą ciężko tak po prostu zakończyć. Dla

niego jesteś może tylko kolejnym pacjentem, ale on dla ciebie... Dla ciebie jest jak ojciec i bóg w jednym.

– Nie przesadzasz aby?

– W chwili słabości znowu się do niego zwróciłem i tyle. Byłem tam tylko raz, po tym, co usłyszałem, więcej już nie przyszedłem.

– Co ci powiedział?

– Chciał, żebym tam z nimi zamieszkał przez jakiś czas. Budował wokół siebie coś w rodzaju społeczności. Gdy popatrzyłem na złamanych ludzi dookoła niego... Nie chciałem brać w tym udziału. Mówił, że mógłbym dalej chodzić do pracy i w ogóle, ale jednym z warunków było wkładanie każdego zarobionego grosza w ten jego przybytek i dobro społeczności. Mieliśmy tam mieszkać jak jedna wielka wspierająca się rodzinka.

– Kurwa, pachnie sektą.

– Tak samo pomyślałem, dlatego już więcej tam nie wróciłem.

– Zerwałeś z nim wszystkie kontakty?

– Tak, od dobrych paru lat nie potrzebuję już niczyjej pomocy.

– Przeszło ci?

– Co?

– To, z czym do niego poszedłeś.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Barman uciekł do przecierania kufli.

– No a jak z tym Różyckim? – spytał ponownie Mejza. – Mówił ci może, że gdzie się wybiera? Jego laska nie daje mi spokoju, podobno od dwóch dni nie ma z nim kontaktu.

– No, tak jak mówiłem. Poleciałem mu samemu zapisać się do Nawary, skoro tak bardzo pragnie napisać artykuł o tym, co doktor robił z pacjentami.

– I co? Potraktował tę radę na serio?

– Nie wiem, błysk w jego oku sugerował, że tak.

– Może po prostu wrócił już do siebie? Z tego, co wiem, to nie jest stąd.

– I zostawił Ewę bez żadnej informacji?

– A co, nie mogło tak być? Może zwyczajnie chciał od niej uciec i...

– Wydawało mi się, że ta dwójka ma się ku sobie, to tyle. – Mirek wzruszył ramionami.

Mejza westchnął głęboko, odsuwając od siebie puste naczynia.

– W takim razie na mnie już chyba czas. – Rzucił na ladę dwa zmięte banknoty, po czym z trudem dźwignął się z krzesła. Zatrzymał się na chwilę. – Słuchaj, nie myślałeś, żeby sprawić sobie nowe psy do lokalu? Nazwa miałyby wtedy więcej sensu.

– Nie, nie myślałem.

- Czemu?
- Bo to tak nie działa. Zresztą nazwa wciąż ma sens.
- Niby jaki?
- Często tu piją policjanci.

Mejza posłał barmanowi obolały uśmiech, po czym ruszył w kierunku drzwi, po drodze wyciągając telefon i pisząc policjantce SMS-a, dokąd mógł udać się jej kochanek. Odpowiedź, że już wyciągnęła tę informację od taksówkarza, przyszła szybko. Podobno pogadała z mieszkańcami wioski i dziennikarz przyszedł zadać kilka pytań do artykułu, po czym, przez nikogo nie niepokojony, odszedł w swoją stronę.

Mejzie trudno było w to uwierzyć.

\* \* \*

Gdy dotarł do Dobranocki, recepcjonista był już na swoim miejscu. Stał za ladą, gryząc końcówkę długopisu i stercząc nad jakimiś papierkami. To, że hotele w Stawirowie nie są dobrym biznesem, można było wyczytać z samego wyrazu twarzy. Mężczyzna był tak zamyślony, że nie zauważył stojącego przed nim Maksa, dopóki ten ostentacyjnie nie chrząknął.

- Pan detektyw... – rzucił smutno właściciel hotelu.
- Wieści szybko się rozchodzą, co?
- Jak w każdym małym mieście. Czemu mnie pan okłamał, że jest z pomocy społecznej?
- Bo dokładnie za to mi płacą.
- Za okłamywanie innych? Brzmi jak mało szlachetny zawód.
- A to w innych fuchach kłamię się mniej?

Recepcjonista nie odpowiedział.

– Przyszedłem zapłacić. – Mejza wyłożył na blat odliczoną kwotę. – Teraz już nie podam konkretnej daty. Widzę, że nie macie tu zbyt dużego obłożenia, więc po prostu co rano będę przedłużał rezerwację na kolejny dzień, OK? Nie wiem, jak długo tu jeszcze zostanę.

Recepcjonista skinął delikatnie głową, po czym przeliczył otrzymaną gotówkę.

- Sprawa nie idzie po pana myśli? – zapytał.
- Można powiedzieć, że trafiłem na ścianę. Zazwyczaj po prostu walę w nią głową, aż się nie przebije, ale dziś głowa boli mnie już wystarczająco. Wróciłem, żeby jeszcze chwilę się przespać.
- Czy dziś przyjmuje pan pocztę?
- Co? Pocztę?
- Jest list do pana.
- List? I jak to, czy dziś przyjmuję? Mówiłem coś, że nie przyjmuję poczty?

– Mówiłem panu o liście, jak wracał pan w sobotę nad ranem, ale kazał mi go pan...  
Ekhm... Zutylizować.

– Zutylizować?

– Podetrzeć się. Miałem się nim podetrzeć.

– Och...

– Yhym...

– I ma go pan dalej czy...?

– Wciąż tu jest. – Recepcjonista podał Maksowi list, patrząc oskarżającym i czekającym na przeprosiny wzrokiem. Mejza przejął kopertę.

– Miałem... Ekhm... Miałem ciężką noc, wtedy.

Recepcjonista wciąż tylko się w niego wpatrywał.

– Przepraszam – dodał po chwili.

– Przyjęte. Dziękuję za zostanie z nami na kolejną noc i życzę przyjemnego pobytu.

Mejza wrócił na górę, ściskając kopertę w spoconej dłoni. Usiadł na łóżku i rozerwał papier. W środku była tylko wyrwana z zeszytu kartka i jedno zdanie nabazgrane długopisem.

„Doktor cię przyjmie”.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Kiedy go tu wiozłeś? – zapytał kierowcę, opierając się plecami o brudną taksówkę. Zaciągał się papierosem. Malujący się w oddali dworek doktora Nawary znów przyciągał obietnicą kojącego chłodu.

– Sobota, będzie jakoś z samego rana – odparł taksówkarz, rozpakowując kanapkę z aluminiowej folii.

W okolicy panowała relaksująca atmosfera. Mordercze słońce zrobiło sobie chwilę przerwy, schowane za chmurami. Pojawił się też wiatr. Smagane nim drzewa i wysokie trawy szumiały w dziwnie hipnotyzujący sposób.

– Mówią, że wieczorem będzie padało – dodał po chwili kierowca.

– Nie zapowiada się – skomentował w przestrzeń Mejza, rzucając peta na ziemię. – I nie dzwonił, żebyś zabrał go stąd z powrotem? Tym razem żadnego płaczu?

– Na pewno nie po mnie. Może wrócił pieszo, to przecież nie tak daleko.

– W te upały nawet krótki spacer to gwarantowany udar. Może zamówił inną taksówkę?

– Tu nikt inny nie jeździ taksówką, mam monopol na te usługi.

– Nie opowiadał, po co pcha się na tę wioskę? Może mówił, co zamierza robić potem?

– On w ogóle niewiele mówił. Siedział albo bardzo skupiony, albo bardzo skacowany, ciężko było poznać. Spytałem go, czy za dziesięć minut nie zadzwoni z bekiem, żebym go stąd zabrał, ale nawet się nie zaśmiał. Powiedział, żebym nie czekał, to nie czekałem. Pojechałem z powrotem do miasta. A pan, po co pan tam znowu lezie?

– Dostałem zaproszenie.

– Zaproszenie? Od doktora? Że co, że na kawę czy co?

– Nie wiem, ale niegrzecznie byłoby odmówić.

– Z tego, co słyszałem, to maniery nie są mocną stroną tamtych z wioski. Nie rozumiem, czemu pan miałby się ich w takim razie trzymać.

– Może żeby pokazać, że nie jestem taki jak oni?

– To co, mam nie czekać?

– Nie, wezwę cię, gdy będę potrzebował. Nie wiem, ile mi się tam zejdzie.

– No to do zobaczenia, detektywie. – Kierowca odpalił silnik. – Tylko nie daj sobie pan tam we łbie grzebać, mi wyglądasz pan na zdrowego na umyśle, nie ma co dać



sobie wmówić, że jest inaczej.

– Ta, i tego się trzymajmy. Bywaj.

Po chwili warkot rozklekotanego auta umilkł. Mejza został sam pośród szumu wiatru. Niechętnie ruszył do przodu, tym razem mądrzejszy o doświadczenia poprzedniego razu. Może nie miał ze sobą maczety do przedzierania się przez zarośla, ale przynajmniej nałożył coś z długim rękawem, oszczędzając sobie licznych zadrapań. Myśli zaprzętała mu kwestia Rózyckiego. Zastanawiał się, czy dziennikarz z jakiegoś powodu postanowił zostać w wiosce. Jeśli barman miał rację, to planem harcerzyka było udawanie pacjenta potrzebującego pomocy terapeuty. Niby policjantka już ten trop sprawdziła, ale ona musiała trzymać się procedur, mieć powody, nakazy... On nie musiał. Mógł kopać głębiej.

Żałował, że nie było go przy tej rozmowie Rózyckiego z barmanem. Wyperswadowałby mu ten głupi plan.

Idąc, zdał sobie sprawę, że wiatr przybiera na sile. Słońce też od dłuższego czasu nie wyglądało zza chmur. Niebo w oddali zasnuło się czernią i szkarłatem, zaczynało też grzmieć. Rzeczywiście zapowiadało się na deszcz.

Nagle wszystkie jego zmysły zabiły na alarm. W całej tej kakofonii szelestów, chrzczenia i świerczenia usłyszał coś, co nie pasowało do otoczenia.

Regularne, rytmiczne kroki.

Ktoś się zbliżał. Szedł tą samą drogą, co on, tylko w innym kierunku. Od strony wioski.

Detektyw uskoczył w bok i padł na ziemię, chowając się w zaroślach. Momentalnie oblażyły go owady, jakby próbowały przegonić intruza ze swojego świata. Szalejące muchy, wyczuwające nadchodzący deszcz, wlatywały mu do oczu i ust, gdy leżąc nieruchomo, nasłuchiwał kroków.

Dostrzegł sylwetkę mężczyzny. Przygarbiony nieznajomy brnął przed siebie ledwie wydeptaną ścieżką, chowając dłonie w kieszeń obszernej bluzy. Mejza ugrał tylko jedno szybkie spojrzenie na jego twarz. Imponująco długa kozia bródka zdecydowanie grała pierwsze skrzypce wśród cech charakterystycznych. Miał pewność, że już gdzieś go widział. Nie potrafił sobie tylko przypomnieć gdzie.

Pod klubem? To on spotkał się z dziennikarzem?

Tylko że za tą bródką... Dziwnie znajome rysy twarzy. Gość wyglądał jak krewny kogoś, kogo nie potrafił sobie teraz przypomnieć.

Gdy tylko mężczyzna zniknął w wysokich trawach, Mejza wyczołgał się z kryjówki i dokładnie otrzepał ubrania i włosy. Czuł, że ten manewr ze skokiem w chaszczę kosztował go co najmniej pokleszczowe zapalenie opon mózgowych.

Upewnił się, że znowu jest sam na ścieżce, i ruszył przed siebie. Po kilku minutach mozolnego marszu dotarł do drewnianej kładki i stodoły. Z każdym kolejnym krokiem robiło mu się coraz słabiej, miał ochotę zwymiotować. Od dawna nie czuł tego paskudnego uczucia stresu przemieszanego ze strachem. Nagle zatęsknił za swoim klaustrofobicznym mieszkaniem i codzienną rutyną pracy ochroniarza, którą wykonywał przed założeniem agencji.

Naprawdę nie miał ochoty znowu oberwać w zęby, żeby tylko zaspokoić krążące w nim resztki ambicji.

Zwolnił kroku, przechodząc przez kładkę. Cały czas wpatrywał się w brudną szybę stodoły, starając się zauważyć, czy ktoś siedzi na czatach.

Tym razem siedział.

Łysy mężczyzna z wyłupiastymi oczami wyszedł mu na przywitanie, wyrastając niemal jak spod ziemi. Nic nie mówił, stał tylko w bezpiecznej odległości, pozwalającej na szybkie dobiegnięcie do bramy w razie potrzeby, i milczał, jakby czekając, aż Mejza zrobi pierwszy ruch.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Mieszkaniec wioski zachowywał się jak na granicy paniki. Błądził oczami po całej okolicy, gotów, by w jednej chwili pobiec po wsparcie do środka.

Wtedy zadzwonił telefon.

– To nie jest dobra chwila – rzucił Maks do słuchawki.

– Sprawdziłem tego twojego doktora. To wszystko zaczyna się robić bardzo dziwne. Na liście nazwisk jego byłych pacjentów widnieje Krystian Tarczyn.

– Coś powinno mi to nazwisko mówić?

– To gość, którego zdjęcie ci wysłałem. Ten z balkonu... Ten, którego matka zgłosiła zaginięcie. Zidentyfikowałeś go?

– Sam nie wiem... To mógł być on. Słuchaj, naprawdę muszę kończyć... – Łysy mężczyzna wyglądał na gotowego do biegu w kierunku dworku.

– Czekaj, jest coś jeszcze.

– Nie teraz.

– Nie uwierzysz, kto jeszcze jest na liście pacjentów! To...

Mejza się rozłączył.

– Cześć! – wykrzyknął, unosząc przed siebie dłonie i rozcapierzając palce na znak, że jest nieuzbrojony. Postąpił kilka kroków, ale zatrzymał się, gdy zauważył, że jeszcze jeden ruch z jego strony, a mężczyzna zrobi coś nieprzewidywalnego. – Byłem tu już wcześniej, pamiętasz? – kontynuował. – Dostałem list! – Powoli sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągając z niej pomietaną kopertę. – Napisano w nim, że doktor mnie przyjmie. Wiesz coś o tym?

Mężczyzna nie odpowiedział. Stał i patrzył raz na Mejzę, machającego kopertą w dłoni jak białą flagą, raz na masywną bramę, która po chwili otworzyła się od wewnątrz. W wejściu stanął mężczyzna, na widok którego Maksowi zadrżała szczęka. Ta twarz... Te cholernie charakterystyczne rysy twarzy. Miał wrażenie, że to jego widział, idąc tu przez wysokie trawy. Tylko nie tak przypakowanego i z kocią bródką. A może to tylko upał płatał wyobraźni figle? Cofnął się o krok, jakby gotów do ucieczki. Wtedy ciszę wypełniło donośne szczekanie psów.

Łysy podszedł do umięśnionego mężczyzny, jakby bardzo uradował go widok wsparcia. Szepnął mu coś do ucha. Kulturysta uśmiechnął się i spojrzał na Maksa.

– Myślałem, że odrzuciłeś zaproszenie! – wykrzyczał. – Czekaliśmy na ciebie wczoraj!

– Wiesz, jak to bywa z pocztą w tym kraju! List zaginął, dostałem go dopiero kilka godzin temu!

– Jesteś sam?

Mejza rozejrzał się ostentacyjnie dookoła.

– A z kim mam niby być?

Kulturysta przywołał go do siebie machnięciem ręki. Mejza podszedł niepewnie, cały czas rozglądając się dookoła. Starał się też nie spuszczać z oczu tego łysiego, który przebierał nogami, jakby z podniecenia na to, co ma za chwilę nastąpić.

– Będę cię musiał przeszukać. – Kulturysta położył dłoń na klatce piersiowej detektywa.

– Co? Zapomnij. – Mejza usiłował chwycić go za nadgarstek i odtrącić ramię, ale odpuścił, jak tylko zdał sobie sprawę, że nie ma tyle siły. Mięśniak uśmiechnął się z politowaniem.

– Inaczej nie wejdiesz. To ty chciałeś zobaczyć się z doktorem, nie ja. Chcesz, żeby ci pomógł z problemem, to się dostosuj albo odejź.

W głowie wybrzmiały mu słowa księdza: „Czasem najlepsze, co możemy zrobić, to po prostu odejść”.

– Dobra – rzucił po chwili, unosząc ramiona. – Sprawdzaj sobie. Nie mam broni.

– Broni? – Kulturysta zaczął przeszukiwanie. – Kto powiedział, że chodzi o broń. Skąd ktoś taki jak ty miałby w ogóle wziąć spluwę? – Wyjął mu z kieszeni telefon komórkowy. Maks kątem oka zauważył na ekranie kilka nieodebranych połączeń od Głowackiego. – Przechowam to na czas wizyty – powiedział, wsadzając sobie telefon do kieszeni, po czym kiwnął głową do łysiego, dając znak do otworzenia bramy.

Mejza zaklął w duchu. Miał plan, żeby nagrać dziewczynę, jak przyznaje się do aborcji. Specjalnie nie brał ze sobą dyktafonu ani innego specjalistycznego sprzętu, żeby w razie kontroli nie wzbudzić niepotrzebnych podejrzeń, ale teraz, bez telefonu,

wszystkie pierwotne założenia poszły do piachu. Starał się nic po sobie nie pokazać, robić dobrą minę do złej gry.

Weszli do środka, zostawiając łysego na zewnątrz.

– Jaki jest jego problem? – zapytał Mejza, kiwając głową w stronę zamkniętej bramy.

– Hm?

– Tego z wyłupiastymi oczami. Typ jest jakiś niepokojący.

– Skupmy się na twoim problemie. Bo to twój problem, tak? Nie wasz? Kobieta nie chciała przyjść z tobą?

– Kobieta?

– Przecież widziałem was pod sklepem. Który to już miesiąc?

Mejza odleciał na moment myślami, zbity z tropu. Kompletnie nie rozumiał sensu pytania.

– Nie wiesz czy co? – powtórzył pytanie kulturysta. – To nie twój dzieciak?

– Mój, mój – odparł Mejza, jakby otrząsając się z transu. – Szósty miesiąc.

Mięśniak tylko kiwnął głową. Zatrzymali się pod posągami anioła z ułamanymi skrzydłami, przy wysuszonej fontannie. Psy, najwyraźniej znudzone ciągłym ujadaniem, postanowiły uciąć sobie drzemkę. Na podwórze wróciła niepokojąca cisza.

– Tak w ogóle to Marcel jestem. – Kulturysta wyciągnął dłoń na przywitanie.

– A ja Maks.

– Słuchaj, zapomnijmy o okolicznościach, w jakich się poznaliśmy, co? Wpadłeś tu jak do siebie. Każdy zareagowałby tak jak ja. Nie wiedzieliśmy, po co przyszedłeś. Zrozumiałem dopiero, jak zobaczyłem cię z żoną tam pod sklepem. Ten problem z niechcianym dzieckiem, o którym wspominałeś...

– Rozumiem, nie ma sprawy. – Starał się udawać, że nadaża za myślami rozmówcy. Uznał to za swoją jedyną szansę.

– Trochę cię poturbowałem. Nie spodziewałem się, że będziesz taki lekki i kruchy.

– Tak jak mówiłem, nie było tematu – odparł Maks przez zaciśnięte wargi.

– A tak z ciekawości, kto ci powiedział, że tutaj możesz... poradzić sobie z problemem?

– Rozmawiałem z barmanem z Psiej Budy. To od niego wiem, że doktor wciąż przyjmuje.

– Od Mirka? Serio? Myślałem, że już całkowicie o nas zapomnieli.

– Tylko mi wspomnieli, że poleca usługi doktora, to wszystko. Sam nie wiem, czego mam się spodziewać.

– Tak powiedział, hm? No dobra.

– To co, zabierzesz mnie do niego?

– Doktorka nie ma, niedługo przyjedzie. Trzeba było pojawić się wczoraj, czekał na ciebie cały dzień.

Mejza wyjął z kieszeni marynarki zgniecioną paczkę cameli. Poczęstował mężczyznę.

– Nie, dzięki – odparł mięśniak.

– Właśnie widzę, że dbasz o zdrowie. Ale nie masz nic przeciwko, żebym ja...?

Kulturysta pokręcił tylko przecząco głową. Wydawało się, że na wspomnienie o zdrowiu dziwnie posmutniał.

– To co się będzie działo u doktora?

– W jakim sensie?

– To psychiatra, tak? Da mi jakieś testy do rozwiązania, będzie pytał o rodziców i dzieciństwo czy jak? Pytam, czego mogę się spodziewać.

– Realnej pomocy. Doktor Nawara nikogo nie zostawi w potrzebie. Sam byłem w życiu u wielu specjalistów i to jedyny człowiek, który daje gotowe rozwiązania. Reszta tylko słucha i kiwa głowami. Nikt inny nie mówi, co robić.

– Możesz to jakoś rozwinąć?

– Wszyscy mamy problemy. Jesteśmy tylko ludźmi, więc czasem nie dajemy sobie rady sami. Wtedy idziemy po pomoc do specjalistów i większość potrafi tylko gadać. Udzielają rad, których sami by się nie trzymali. Doktor jest inny.

– Aha. Właśnie powtórzyłeś to samo, tylko w inny sposób.

– Co?

– Podaj jakiś konkret.

– Jeśli twoim problemem jest niechciana ciąża, to dostaniesz coś, co ten problem rozwiąże, to mam na myśli. Tak naprawdę to tuż przed twoim przyjściem przyszła do nas dostawa czegoś, co może ci pomóc.

– I doktor robi to wszystko bezinteresownie?

– Nie. Wręcz przeciwnie. Robi to w interesie nas wszystkich. Odkrył coś, czego większość z nas nigdy sama by nie odkryła. Mamy wielkie szczęście, że chciał się z nami tą wiedzą podzielić.

– A jaki ty miałeś problem?

– Nie będziemy gadać o mnie.

– Dużo was tu mieszka? – Mejza zmienił temat. – Gdy wszedłem wtedy bez zapowiedzi, widziałem całkiem liczną grupkę, ale jak tak się teraz rozglądam, to ani żywej duszy... – Wodził wzrokiem po placu przed rezydencją.

– Jeśli masz więcej pytań, to zachowaj je dla doktora, właśnie przyjechał. – Mięśniak kiwnął głową w stronę otwierającej się bramy.

W wejściu stanął sam doktor Nawara. Wyjątkowo drobnej budowy, łysawy mężczyzna w dużych okrągłych oprawkach. Zaraz po wejściu zdjął z nosa okulary i przetarł szkła ubrudzoną koszulką. Spojrzał w niebo, jakby próbując oszacować prawdopodobieństwo deszczu.

Jego ubrania były bardzo znoszone. Spodnie upstrzone licznymi dziurami, które nie pojawiły się tam z zamysłu podążających za trendami projektantów. Gdy z powrotem nałożył okulary, rozejrzał się po placu zmęczonym wzrokiem, który na dłużej zatrzymał się tylko na rozmawiających przy rzeźbie anioła mężczyznach.

Mejza nie mógł uwierzyć, że tyle jest zachodu o tak małego i niegroźnego, zdawałoby się, wręcz nieistotnego człowieczka.

Nawara skinął nieznacznie głową w stronę Marcela, po czym bez słowa udał się do rezydencji.

– Mam za nim iść czy co? – zapytał Mejza, ruszając w kierunku drzwi.

Marcel chwycił go za bark, jasno dając do zrozumienia, że na samodzielne zwiedzanie nie ma co liczyć.

– Spokojnie, daj mu się przygotować do rozmowy. Za dziesięć minut sam zaprowadzę cię do gabinetu. Teraz masz chwilę dla siebie. Pamiętaj, że wciąż możesz po prostu odejść.

– Ja mogę odejść, ale niestety moje problemy nie zrobią tego samego.

Marcel odpowiedział milczeniem. Przez dziesięć minut czekali w ciszy. Mejza, paląc papierosa za papierosem, starał się opanować nerwy i drżenie całego ciała. Nieustannie spoglądał prosto w oczy rzeźbie anioła. Marcel natomiast stał bez ruchu, jakby sam był tylko taką rzeźbą. W końcu zerknął na zegarek.

– Chodź – rzucił do Maksa, po czym ruszył w stronę rezydencji.

Detektyw wyrzucił peta na ziemię i udał się za przewodnikiem, starając się dotrzymać mu kroku. Tym razem wewnątrz piętrowego pałacyku było dobrze oświetlone. Padające przez przybrudzone okna promienie słońca odkrywały wirujące w powietrzu cząsteczki kurzu, podążające za ruchem wiatru, jakby robiły im przejście.

Marcel szedł szybko, nie pozwalając Maksowi na zwiedzanie. Kolejne pomieszczenia tylko przelatywały detektywowi przed oczami, jak krajobraz za oknem podczas jazdy pociągiem. Niewiele dostrzegł, ale z tego, co widział, był w stanie ułożyć sobie w głowie obraz niezwykle zapuszczonego domu, pełnego przygnębiającej atmosfery, jakby nikomu nie zależało, żeby nadać wewnątrz choć odrobinę życia. Piętrzące się w kuchennym zlewie zaschnięte od brudu naczynia, śmieci na podłodze i przytargane spod śmietnika meble.

Mięśniak ruszył w górę schodów. Minęli długi zacieniony korytarz, pełen zamkniętych pomieszczeń. Gdy Mejza zauważył, że został przed nimi już tylko pokój

na samym końcu holu, który musiał być gabinetem Nawary, szybkim ruchem chwycił za klamkę jednych z wcześniejszych drzwi.

Głuchy klekot. Zamknięte na klucz. Był prawie pewien, że ze środka dobiegło go ciche kobiece westchnięcie. Jakby ktoś przestraszył się, że zostanie nakryty w pokoju w samej bieliźnie. Marcel na sam dźwięk naciśniętej klamki obrócił się gwałtownie. Chwycił Maksa za kołnierz.

– Co to było?! – Wielkolud zacisnął zęby.

– Ja... Ja myślałem, że to tutaj – tłumaczył Mejza, czując, jak miękną mu nogi. – Że to gabinet Nawary.

– Gabinet jest na końcu korytarza.

– Myślałem, że już przystanęłeś i mogę wejść...

Mięśniak zwolnił nacisk na ubranie.

– Źle myślałeś. Wchodź. – Kiwnął głową na właściwy pokój. – Doktor cię przyjmie.

Mejza rzucił gorze mięśni nieufne spojrzenie, wygładzając pomietą marynarkę. Przesząpił kilka kroków, zostawiając niechcianego towarzysza za plecami, i stanął pod drzwiami. Cały czas obawiał się, że to jest właśnie ten moment, w którym ktoś postanowi zakończyć scenę, zaciągnie kurtynę i pociemnieje mu przed oczami. Jednak uderzenie w potylicę nie nadeszło, zamek nie stawiał oporu.

Wszedł do środka.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nawara stał tyłem do wejścia, do połowy schowany za molochowym biurkiem, na tle którego zdawał się jeszcze drobniejszy. Jego przygarbiona sylwetka sprawiała, że ktoś niespodziewający się nikogo w środku mógłby kompletnie go przeoczyć, lustrując pobieżnie wnętrze gabinetu. Zdawał się zupełnie nieistotny. Nic nieznacząca we wszechświecie mrówka.

Ułamane regały, zapchane pochodzącymi z makulatury książkami i czasopismami, ugięły się pod ciężarem zawartości. Większość z dziedziny filozofii, nie psychologii czy psychiatrii. Nawara stał ze szklanką w dłoni, popijając małymi łykami przejrzysty płyn. Kontemplował widok placu za oknem.

– To, co robisz... – odezwał się w końcu doktor, wciąż błędząc wzrokiem gdzieś za oknem. Jego głos był pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu. – To, co robisz, jest bardzo szlachetne. Słuszne.

– Słucham? – zapytał Mejza, wciąż skanując wzrokiem półki z książkami.

Nawara się odwrócił. Usiadł na poobrywanym z materiału obrotowym krześle, na którym wyglądał na jeszcze drobniejszego, po czym skinieniem dłoni zaprosił rozmówcę do biurka.

– Maksymilian Mejza... Skąd pan do nas przyjechał?

– Czy to ważne? – Maks usiadł i natychmiast tego pożałował. Krzesło było tak niewygodne, jakby ktoś przygotował je dokładnie w tym jednym celu. Sprawić, żeby rozmówcy było niekomfortowo.

– Wszystko w porządku, panie Mejza? – zapytał doktor, widząc wiercącego się, coraz bardziej bladego detektywa. – Marcelowi powiedział pan, że był kiedyś jednym z moich pacjentów. Zastanawiam się, gdzie to mogło być. Bo nie w tym mieście. Jest pan pewien, że leczył się u mnie?

– Tak myślałem, ale najwyraźniej coś mi się pomieszało. To był trudny okres mojego życia, niewiele z niego pamiętam. Widać chodziłem do kogoś innego.

– Naturalnie... Gdzie pan pracuje, jeśli można spytać?

– Tworzę strony internetowe.

– Rozumiem.

– Wspomniał pan, że to, co robię, jest słuszne? O co z tym chodzi?

– Tak... Wbrew pozorom niewiele osób potrafi się na to zdobyć. Czy mogę spytać, dlaczego chce pan to zrobić?



Mejza zamilkł na chwilę, szukając w pustej głowie właściwej odpowiedzi. Ciężko jest grać w grę, nie znając jej zasad. Zgrywanie idioty było jedynym, co mu pozostało.

– Wciąż nie jestem pewien, w jaki sposób chce mi pan pomóc. Z tym... Z tym moim problemem.

Doktor otworzył jedną z gigantycznych szuflad biurka, po czym zaczął w niej szperać. Po chwili na blacie wylądowało kilka blistrów tabletek.

– Co to? – zapytał Mejza, przyglądając się obco wyglądającym opakowaniom.

– Terapeutyki, z grupy prostaglandyn.

– Nazwa powinna mi coś mówić?

– To leki, między innymi na choroby stawów i wrzody żołądka. Dostępne tylko na receptę, ale mamy swoje dojścia. Przed chwilą mieliśmy dostawę.

Gość z kozią bródką. Dostawca. To tłumaczy, czemu spotkał się z harcerzykiem. Dziennikarz po prostu uzupełniał zapas używek.

– A nie masz czegoś na ból pleców? – Mejza teatralnie chwycił się za bok. – Po tym, jak twój mięśniak ostatnio mnie potraktował, coś mi w nich strzeliło.

– Słucham? Ból pleców? Nie rozumiem...

– To żart. To jeszcze raz, co to za tabletki? Co one robią?

– Nie bardzo znam się na żartach. Przyjęcie prostaglandyn wywołuje skurcze szyjki macicy. W efekcie prowadzi do wydalenia zarodka wraz w wyściółkę macicy. Chyba pan rozumie.

Mejza przetwarzał przez chwilę to, co właśnie usłyszał. Spojrzał doktorowi prosto w oczy. Ostatni raz napotkał tak martwe spojrzenie, chyba gdy sam patrzył w lustro.

– Rozumie pan czy nie?

– Aborcja farmakologiczna.

– W rzeczy samej. Więc widzi pan, że mam tu konkretne rozwiązanie na pana... problem. Od pana chcę usłyszeć tylko, czemu się pan na to decyduje.

Mejza milczał przez chwilę, spuścił wzrok. W głowie przewinęła mu się setka myśli. Przed sobą miał coś, co w końcu powinno wystarczyć klientowi za dowód. Jeśli porcja pigułek aborcyjnych, wciskanych mu właśnie przez tego samego doktora, do którego klient posłał swoją ciężarną córkę w ciężkiej depresji, nie wystarczy, to zawód detektywa chyba po prostu nie jest mu pisany. Musiał to tylko dobrze rozegrać.

Sięgnął dłonią po blistry, jednak Nawara szybkim ruchem przysunął je bliżej siebie.

– Czy to egoistyczna decyzja? – zapytał ponownie doktor.

Mejza patrzył mu przez chwilę prosto w oczy. Próbował szybko poskładać do kupy wszystko, czego się do tej pory dowiedział o metodach działania Nawary. Nie przyszedł nieprzygotowany. Pamiętał, że ksiądz wspominał coś o antynatalizmie, więc wcześniej powęszył trochę w internecie. Przez chwilę błędził wzrokiem po grzbietach

książek dookoła – Friedrich Nietzsche, Arthur Schopenhauer, Peter Wessel Zapffe... Żaden z autorów raczej nie wyróżniał się wyjątkowo pozytywnym podejściem do życia.

– Wszystko w porządku, panie Mejza?

– Nie.

– Słucham?

– Nie sądzę, żeby to była egoistyczna decyzja. – Nagle zdał sobie sprawę, że nie musi kłamać. – Kiedyś byłem policjantem.

– Doprawdy? I co z tego?

– Cały ten syf... – Spojrzał błędnym wzrokiem za okno. – Nie powinniśmy sprowadzać tu nowych.

– Więc o to chodzi...

– Widziałem rzeczy, jakie większości z was się nawet nie śniły. Na co dzień pływacie tuż przy brzegu, w rękawkach, obserwowani przez ratownika... Nie macie pojęcia, jak głębokie, oślizgłe i ciemne jest dno, gdy wypłynie się nieco dalej.

– Nie chce pan, żeby dziecko musiało żyć w takim świecie?

– Sam nie chcę żyć w takim świecie. Dlaczego miałbym kogokolwiek do tego zmuszać? Kogoś, kto nie jest w stanie sam zdecydować...

– Rozumiem...

– Nie uważam, że usunięcie ciąży jest egoistyczne, do tego zmierzam. To zatrzymanie dziecka byłoby przejawem myślenia tylko o sobie.

– Pan i ja... Mamy ze sobą wiele wspólnego. Pan rozumie...

– Nie wydaje mi się, żebym cokolwiek rozumiał...

– Ścieżki, jakie obraliśmy... Policjant, terapeuta... Nie chodzi mi o to, że nasze zawody są do siebie podobne. Chodzi mi o to, że mamy do czynienia z czymś, czego nie widzą na co dzień inni ludzie. Obaj staliśmy po drugiej stronie lustra. To na nas wpływa... Zmienia nas... Siedzimy w ciemnym pokoju z latarką w dłoni, licząc na to, że jak będziemy świecić wystarczająco długo, to pokój się zmieni, ale to nieprawda, dobrze pan o tym wie, prawda? Pokój się nie zmieni, pozostanie ciemnym pokojem. To pokój zmieni nas. Baterie kiedyś się wyczerpią, a my przywykniemy do ciemności.

– Może odpuścimy sobie już te metafory i powie mi pan, czym dokładnie się zajmuje, jeśli można spytać...

– Najtrudniejszymi przypadkami. Głównie depresją. Tak jak pan widział to, co ukryte przed masami, tak ja również zapuszczałem się w najciemniejsze możliwe rejony, w ludzką psychikę. Poznawałem myśli, których na co dzień się nie głosi. Nie chcemy ich słuchać. Nie chcemy słuchać ludzi, którzy nie widzą w świecie sensu i jedyną drogę ucieczki dostrzegają w śmierci. Nie chcemy słuchać, bo się boimy.

– Boimy się? Niby czego?

– Że ci ludzie mogą mieć rację.

– Podobno musiał pan zamknąć swoją klinikę. To prawda?

– Prawda, jak najbardziej.

– Co się stało?

– Nie wszystkim podobało się to, co robię... ale dość o mnie. Chciałbym dowiedzieć się trochę więcej o panu, skoro mam panu pomóc.

– Przecież powiedziałem już, jaka jest moja motywacja. Dostanę teraz te leki?

– Dlaczego wyrzucili pana z policji?

– Kto powiedział, że mnie wyrzucili? Skąd w ogóle wiesz, że byłem...

Doktor uśmiechnął się w paskudny sposób, dający do zrozumienia, że wie więcej, niż powinien, i tylko czekał, żeby się tym faktem pochwalić. Mejza zaklął w duchu. Kto w tym mieście wiedział o jego przeszłości w policji? Tylko policjantka, a skoro wiedziała ona, to i dziennikarz... Skoro do tego grona dołączył Nawara...

To mogło oznaczać tylko jedno – wyciągnął to od Rózyckiego. Pytanie tylko, w jaki sposób? Policjantka mówiła, że według zeznań mieszkańców dziennikarz spędził tu tylko chwilę, próbując zadać kilka pytań, po czym ulotnił się w znanym sobie kierunku. Tylko że zaraz po tym zajściu przepadł jak kamień w wodę. To, co opowiada Nawara, sugeruje, że ich rozmowa musiała być dużo dłuższa i dużo głębsza... Być może udało mu się jednak udawać pacjenta. Być może dziennikarz wciąż tu jest...

– A więc? – Nawara ponowił pytanie.

Mejza milczał. Przełknął ślinę. Poczuł, jak serce gwałtownie przyspiesza i znowu zawraca mu się w głowie. Czas na moment stanął w miejscu.

– Proszę się nie bać, nikomu nie powiem. Jestem tu tylko po to, żeby pomóc, nic więcej. Jak to szło, detektywie? W tym raporcie? – Uśmiech na twarzy doktora zrobił się jeszcze bardziej upiorny. Refleksy słońca odbijały się w jego zakurzonych okularach, sprawiając, że oczy wyglądały na skąpane w ogniu. – Pewnego dnia, po odprawie u naczelnika, jak zwykle poszedł pan do swojego biura...

Detektyw wbił wzrok w podłogę. Czuł, jak kropla zimnego potu wędruje mu po plecach, wsiąkając w bieliznę. Zaczął nerwowo drapać bliznę na szyi.

– Co stało się z Rózyckim? – zapytał groźnie Mejza, szeptem, zaciskając podskakującą na udzie pięść. Nawara wiedział... I mała szansa, że wyciągnął to z dziennikarza po dobroci.

– Sprawdził pan sprzęt... Radio, odznaka, służbowa broń...

– Dość...

– Wszystko działo się tak szybko... Przyłożył pan lufę do skroni i nacisnął na spust... – Nawara ułożył dłoń w kształt pistoletu i przyłożył do głowy. – PAF! Bez

namysłu... Gwałtownie... Jak zerwanie plastra...

– Gdzie jest dziennikarz?! – Mejza momentalnie wstał, wywracając krzesło. – Policji powiedziałaś, że zadał kilka pytań i wyszedł! Skąd to wszystko wiesz?!

– Nie wiem, o kim pan mówi. Proszę się uspokoić. – Nawara uśmiechnął się szeroko.

Mejza spojrzał mu groźnie w oczy, po czym wybiegł na korytarz. Ciężko dysząc, biegł przed siebie, po kolei naciskając wszystkie klamki mijanych pokoi. Nawoływał dziennikarza.

– Różycki! Wyłaź! Słyszysz?! Wychodzimy stąd! Różycki?!

Nagle Marcel wyrósł przed nim jak ściana. Nie do obejścia.

– Zejdź mi z drogi, skurwielu – rzucił Maks przez zaciśnięte zęby.

Wielkolud nie odpowiedział ani słowem, tylko się uśmiechnął. Mejza wziął zamach i wymierzył mu prawy sierpowy prosto w szczękę, zadziwiając samego siebie, jaką siłę jest w stanie jeszcze wykrzesać ze swojego sponiewieranego ciała.

Marcel zachwiał się lekko, starając się nie paść na ścianę obok, ale po chwili wrócił do wyprostowanej pozycji jak jakaś pieprzona wańka-wstańka. Plunął krwią, po czym uśmiechnął się, odsłaniając zaczerwienione dziąsła. Strzelił knykциями i wziął zamach.

Mejza dał nura pod prawym sierpowym i puścił się pędem w stronę schodów. Kątem oka widział ten cios. To nie było coś, co miało go spowolnić, nic, co mogłoby go znokautować. Nie.

Ten cios miał go zabić.

Ciężkie kroki goniącej go kupy mięsa dudniły mu w uszach jak wojenne bębny. Zbiegł najszybciej, jak potrafił, zeskakując z ostatnich stopni, i napał na drzwi. Słońce uderzyło go w twarz, gdy wypadł na zewnątrz. Psy czekały jak oszalałe, kłapiąc zaślinionymi pyskami prosto w jego stronę. Zauważył, że przy bramie stoi ten łysy, chyba zastanawiając się, czy ich nie rozwiązać.

Coś huknęło za plecami. Znak, że mięśniak zbiegł ze schodów.

Niewiele myśląc, rzucił się do ucieczki w przeciwną stronę, wprost na rozpościerające się za dworkiem pole. Wolał to niż kły tych dwóch bestii. Mięśnie paliły go żywym ogniem, płuca odmawiały współpracy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał okazję do takiego sprintu. Zamknął oczy i biegł przed siebie. Musiał przezwyciężyć cierpienie, musiał stąd uciec i zawiadomić policję, żeby przetrząsnęli to przekłete miejsce. Dziennikarz wciąż mógł tu być. Skurwysyny zabrały mu telefon...

Musiał...

Poczuł ból. Zabrało mu dech w piersiach. Przez chwilę nie rozumiał, co się stało. Nagle znalazł się na plecach. Oczy i usta wypełnione miał wilgotną ziemią. Wywrócił się? Gdy kilka razy mrugnął, dostrzegł rozpościerające się nad nim błękitne niebo, ale widział jedynie niewielki jego wycinek.

Wycinek o kształcie prostokąta.

Spróbował się podnieść. Lewa ręka bolała go jak diabli, musiał na nią upaść. Rozejrzał się. Dookoła jedynie ściany ziemi. Wijące się i wpełzające w niewielkie ziemiste otwory dżdżownice i inne robactwo. Leżał w dole głębokim na jakieś dwa metry. Przez chwilę nie potrafił zebrać myśli. Nie potrafił zrozumieć... Ale tak, nie było wątpliwości...

Grób.

Wpadł do świeżo wykopanego grobu.

Jęcząc z bólu, wstał i rzucił się na ścianę, starając się wspiąć z powrotem na górę. Pościg musiał być już blisko i jeśli chciał mieć szansę wyjść z tego cało, to...

Wbił stopę w ziemię, sprawiając, że część się odkruszyła, i zamarł w bezruchu. Zimny dreszcz prześlizgnął mu się po spoconych plecach. Ze ściany wystawało... Wystawało coś...

Coś nieprzypominającego mu żadnego znanego mu robala. Sino-błady kilkucentymetrowy cienki kształt. Nie poruszało się.

To coś miało paznokiec.

Pozwolił stopie osunąć się nieco mocniej, odłupując kolejną warstwę ziemi.

– Kurwa mać...

Na wysokości jego łydek, z jednej z ziemistych ścian przypominających świeżo wykopany grób wystawała ludzka dłoń.

Ludzka dłoń nieszczęśnika zakopanego w grobie obok.

– Nie... Proszę, tylko nie...

Padł na kolana, panicznie przebierając dłońmi w ziemi. Kopał coraz głębiej i głębiej, starając się wydobyć spod niej jak najwięcej ciała. Cały czas mamrotał do siebie.

– Różycki... Proszę... Nie... Tylko nie to.

Wstrzymał oddech, gdy ostatnia garść ziemi dzieliła go od twarzy zmarłego. Powoli przyciągnął ciało do siebie.

Znajome martwe oczy wpatrywały się wprost w niego. Gąsienica wiła się na sinym czole.

Nic nie miało już sensu.

Te oczy... Widział je jeszcze całkiem niedawno. Pełne życia.

Te oczy...

Nie należały do dziennikarza.

Widział je na zdjęciu, które dostał od Głowackiego. Oczy, które być może spoglądały na niego z balkonu, pośród rózu i fioletu. Oczy bladego blondyna, byłego chłopaka kobiety, która kilka dni temu omal nie zabiła Mejzy, spadając z nieba.

– Szkoda, że to zobaczyłeś. – Usłyszał głos nad sobą. Podniósł głowę, patrząc na stojącego nad grobem Marcela. Mięśniak podrzucał w dłoni niewielki kamień, jakby się nim bawił. Mejza zdążył dostrzec zamach, ale samego kamienia już nie.

Światło zgasło. Kurtyna opadła.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

*Poranek na posterunku zawsze pachniał tak samo. Papierochy, kwaśna rozpuszczalna kawa i podróbki perfum od Diora czy innego Paco Rabanne – wszystkie rozprowadzane przez jednego sierżanta, który sprzedawał je pozostałym gliniarzom z przepastnej sportowej torby. Każdy wiedział, że zwinął je po nalocie na nielegalną wytwórnę, ale mało kto się tym przejmował, gdy za równowartość paczki fajek można było pachnieć jak towar z najwyższych półek drogerii. Mejza też ich używał, ale nie dziś.*

*– Co to za zapach? – zapytał Głowacki, wchodząc do ciasnego pomieszczenia socjalnego. – Mejza, to ty? Czym się tak wysikałeś?*

*– Towar z torby, jak każdy...*

*– Oj nie. Wszędzie poznam towar z torby. Ty masz na sobie coś innego. A tak w ogóle to co to za strój? Wybierasz się na pogrzeb czy co?*

*– Zabawne – odparł ponuro, stukając łyżeczką o krawędź kubka w oczekiwaniu, aż spadną z niej ostatnie krople.*

*Ruszył na górę, do biura wydziału kryminalnego, które zajmował wraz z Głowackim. To prawda, że ubrał się dziś dużo lepiej niż zwykle. Pachniał też inaczej, czymś, na co wydał niemal pół wypłaty. Sprane džinsy i skórzaną kurtkę zastąpił garnitur – stary i niemodny, ale dobrze zachowany.*

*Zatrzasnął za sobą drzwi i podszedł do okna, dopijając kawę. Ból głowy od rana był bezlitosny, jakby organizm sam zachęcał go do...*

*Słyszał też muzykę, ale tym razem postanowił z nią nie walczyć. Podśpiewywał sobie w rytm wygrywanych w głowie akordów. Gdy z kubka zniknęły ostatnie krople, odwrócił się w stronę pancерnej szafy, wstukał kod i wyjął policyjnego walthera P99. Wrócił pod okno.*

*Pogoda była dobra jak każda inna, chociaż miło, że w końcu wyszło słońce.*

*Muzyka wybrzmiewała coraz głośniejsze, tak że w ogóle przestał słyszeć szum samochodów za oknem. Żył na skroniach pulsowały, pęczniąc od ciśnienia i towarzyszącego mu bólu. Dokładnie obejrzał i sprawdził trzymaną w dłoni broń. Działała. Czemu miałyby nie działać?*

*Postanowił specjalnie się nad tym nie zastanawiać. Zrobić to szybko, jakby zrywał plaster. Od zastanawiania się przychodzą wątpliwości... Na zastanawianie się miał czas wcześniej. Jeszcze znalazłby jakiś powód, dla którego nie warto by było tego robić. Może postanowiłby zadzwonić do Marioli. Pożegnać się... Tylko czy jej głos nie sprawiłby, że...*

*Tchórzył. Bał się coraz mocniej.*

*No, już, rzucił do siebie w myślach. Zaczynasz się zastanawiać, miałeś tego nie robić. Przystawił lufę do skroni i pociągnął za spust.*

*Zerwał plaster.*

*Tylko że coś było nie tak. Nie tak to miało wyglądać... Wszystko powinno być już czarne. Nie powinien był widzieć sufitu. Sufitu i Głowackiego.*

*Leżał na ziemi, nie potrafiąc zaczerpnąć powietrza, jakby coś blokowało mu krtani. Dławił się własną krwią. Wtedy tego nie wiedział, ale jego partner zdążył wejść do pokoju i pociągnąć go za ramię, gdy naciskał spust, dzięki czemu przestrzelił sobie szyję, a nie czaszkę. Usłyszałby go, gdyby nie ta przekłeta muzyka... Byłoby już dawno po wszystkim, gdyby nie wątpliwości.*

*Gdyby tak bardzo się nie bał. Gdyby się nie zawahał i nacisnął na spust ułamek sekundy wcześniej...*

*Ale czy to ważne? Przecież z braku krwi wszystko i tak już powoli ciemnieje.*

*Dopnie swego, tylko po drodze jeszcze trochę pocierpi...*



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Z pierwszej pobudki pamiętał tylko ostry ból promieniujący na całe ciało, dotyk podłogi ze spróchniałych desek na policzku i wbijające się w twarz drzazgi. Gdy tylko wstawał i zaczynał walić w zamknięte drzwi ciasnego pokoju, do którego go wrzucili, w progu szybko pojawiał się Marcel i zaraz znowu film się urywał. Nie miał pojęcia, jak długo trwał ten cykl, ale po jakimś czasie wizyty Marcela przestały kojarzyć się z bólem. Za każdym razem mięśniak przyciskał go tylko do podłogi, a doktor przygotowywał strzykawkę.

Ukłucie w ramię i odlot, tylko to pamiętał.

Brudny i ciemny pokój szybko wypełniał się kolorami i kształtami. Błogostan, w którym czas i przestrzeń przestawały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Miał wrażenie, że opuszcza własne ciało i przygląda się wszystkiemu z boku. Patrzył na żałośnie spuchniętą twarz człowieka na podłodze, ale nie czuł jego bólu. Był ponad to.

Po jakimś czasie przestał walczyć. Czekał na każdą wizytę doktora jak na zbawienie.

Na zmianę jego życie przechodziło z pięknego snu w koszmar. Ze stanu, w którym chciał zostać już na zawsze, w taki, którego nie mógł znieść już ani sekundy dłużej. Z każdym kolejnym cyklem, z każdym kolejnym upływającym dniem miał wrażenie, że błogostan po zastrzyku trwa coraz krócej, ustępując miejsca przerażającemu zjazdowi. W końcu zaczął mieć wrażenie, że został już tylko sam koszmar.

Leżąc na podłodze ciemnego pokoju, często czuł, że ktoś siedzi w kącie i stale go obserwuje. Przerażające uczucie jakiejś plugawej istoty czającej się w mroku. Nie wiedział, czy od czasu, kiedy ostatni raz widział słońce, minęła godzina, dzień, tydzień, czy miesiąc. Posiłki zdawały się przychodzić regularnie, ani razu nie zaznał głodu. Jediną możliwością rozprostowania nóg były krótkie spacery do toalety na końcu korytarza. Zawsze z eskortą mięśniaka. Szybko nauczył się, że próby ucieczki skutkują tylko koniecznością trzymania moczu do czasu, aż dadzą mu kolejną szansę.

Na początku zastanawiał się jeszcze, czy gdzieś tam w pokoju obok nie siedzi Różycki, tak jak on faszerowany jakimś świństwem, które sprawia, że bardziej niż na ucieczkę masz tylko ochotę na kolejną dawkę, jednak szybko zapomniał o dziennikarzu, córce klienta i jej dziecku, przez których w ogóle tu trafił. Bo czym było jakieś przyziemne zlecenie i problemy zwykłych ludzi w starciu z tym magicznym uczuciem zaraz po ukłuciu?

Doktor przychodził kilka razy. Chwytał go za twarz i oglądał jak konia na targu, zazwyczaj rzucając po tym krótkie „Jeszcze nie teraz” do chodzącego za nim krok w krok Marcela.

Kolejne dawki cudownego narkotyku przychodziły coraz rzadziej. Po jakimś czasie przestały przychodzić w ogóle. Świat realny zaczynał mieszać się z majakami przypominającymi sny w stanie gorączki.

Leżał na podłodze, męczony przez nieludzkie dreszcze. Darł się wniebogłosy, wzywając Nawarę, ale nikt nie przychodził. Miał wrażenie, że jego skóra nagle stała się zbyt ciasna, jakby całe ciało pod spodem puchło, mając zaraz ją rozerwać. Drapał się, krążąc od ściany do ściany, nie potrafiąc zająć umysłu niczym innym niż myśleniem o narkotykowym głodzie, by po chwili paść na ziemię ze zmęczenia. Starał się otrząsnąć. Nie popaść w obłąd. Doskonale zdawał sobie sprawę, że tego właśnie chciał. Uzależnić go od siebie, sprawić, żeby stał się potulny jak baranek. Jeśli chciał wyjść stąd żywy, musiał to zwalczyć.

Musiał, ale nie potrafił.

Siedział oparty o zimny mur, wpatrując się błędnie w ścianę naprzeciwko. Miał wrażenie, że ktoś wyświetla na niej film, jak w kinie. Przed oczami przelatowały mu różne sceny z życia. Widział siebie dopiero rozpoczynającego pracę w policji, w czasach, gdy to wszystko zdawało się mieć jeszcze jakiś sens. Wtedy, gdy jeszcze miał w sobie ten dziwny młodzieńczy ogień i myślał, że jego działania mogą zrobić różnicę. Zanim zdał sobie sprawę z tego, że rozbicie jednej czy drugiej grupy przestępczej albo wsadzenie mordercy na dożywocie nie sprawi, że pozostali się wystraszą, a zło wyniesie się z tego świata. To było jak walka z wiatrakami.

Widział swoje dawne miłości. Uśmiech na swej twarzy. Widział Mariolę... Widział te krótkie okresy, w których czuł się naprawdę szczęśliwy. Sceny przeplatały się z obrazami niekończących się kłótni o alkohol. Przebłyski wspomnień, w których rano wczołgiwał się do mieszkania jak bezpieczny pies, po kolejnej nocy przespanej na klatce, gdy własna żona bała się go wpuścić do domu. Krótkie spojrzenia wychodzących rano do pracy sąsiadów. Uczucie wstydu tłamszone przez mdłości i ból głowy, bo fizyczny ból był jedyną rzeczą, która mogła przyćmić ten psychiczny.

Znów zobaczył przed sobą drzewo w słabym świetle samochodowych reflektorów. Znów usłyszał ten paskudny dźwięk giętej blachy i piosenkę lecącą w radiu. Usłyszał płacz nienarodzonego dziecka.

Film przestał się wyświetlać. Jakby ktoś zgasił projektor. Na moment nastał mrok. Zmrużył oczy, przyglądając się ścianie naprzeciwko. Jego uwagę przyciągnęły ledwo widoczne refleksy światła. Wstał i podszedł bliżej.

Ujrzał lustro w pięknej ramie, które aż zachęcało, aby się w nim przejrzeć. Choć czuł, że to tylko halucynacja, to stopniowo przestawało go to obchodzić. Pierwszy raz od dawna ujrzał siebie takim, jakim był naprawdę. Twarz samotnego alkoholika w średnim wieku, po kilku bezskutecznych próbach porzucenia nałogu. Zmęczone, podkrążone oczy i zmarszczki sprawiały, że wyglądał na znacznie starszego, niż był. Zmierzwił włosy i zaniedbany, od dawna niegolony zarost wyścielający szczupłe, zapadnięte policzki. Twarz w lustrze w niczym już nie przypominała gładko ogolonego, czynnego chłopaka z sąsiedztwa ze wspomnień. Miłego pana policjanta pomagającego dziewczynce odnaleźć zaginioną mamę w supermarkecie.

Patrzył sobie głęboko w oczy, jakby prowadził pojedynek spojrzeń z własnym odbiciem. Nie widział już nic oprócz błędów, które popełnił. Błędów wpatrujących się w niego z drugiej strony lustra. Wpadł w szal. Zaczął z całej siły walić pięścią w swoje odbicie.

Jednak lustro za nic w świecie nie chciało się stłuc.

Z każdym ciosem zostawiał na szorstkiej, betonowej ścianie plamy krwi i skrawki skóry. To, czym uderzał, coraz mniej przypominało ludzką pięść a coraz bardziej papkę mięsa, krwi i kości.

Lustro nie pękało.

Nagle w pomieszczeniu rozległ się dźwięk. Okrutny, donośny zgrzyt wywołał natychmiastowy ból nawykłych do głuchej ciszy bębenków słuchowych. Wtoczył się do kąta jak wystraszony kundel, przerażony tym, do jakiego stanu się doprowadził. Błyskawicznie otrzeźwiał, wpatrując się w swoje odrapane, zakrwawione dłonie.

W drzwiach stanął doktor Nawara. Popatrzył się na żałośnie skulonego w kącie detektywa, by po chwili obrócić się w stronę stojącego mu za plecami Marcela.

– Chyba już czas – powiedział.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Siedział sam w pustym gabinecie doktora Nawary, rozglądając się apatycznie dookoła. Mrużył oczy nienawykłe do promieni słońca kładących mu się na zmęczonej twarzy. Po raz pierwszy przyjrzał się w dziennym świetle dziurawym jak powierzchnia księżycy przedramionom oraz pięści, którą uprzednio mu starannie opatrzone. Nagle za plecami coś kliknęło. Drzwi się otworzyły, a do środka wszedł Nawara. Sam.

Mejza nawet się nie obrócił, cały czas mocno oszołomiony kolejną porcją narkotyku, jaką niedawno mu zaaplikowano, przyglądał się drobnym strupkom na zgięciach ramion. Nawara usadowił się tuż przed nim.

– Wyglądasz już dużo spokojniej niż podczas swojej poprzedniej wizyty – powiedział doktor łagodnym głosem. – Czy ja widzę drobny uśmiech? Podoba ci się to, co ci podajemy, prawda?

– Skurwysynu... – Maks wciąż nie podnosił wzroku. – Dlaczego mi to robisz? Po co to wszystko?

– Narzekasz na to, że wtoczyłem do twojego żałośnie smutnego życia trochę endorfin? Żebyś widział radość na swojej twarzy za każdym razem, jak przychodziła kolejna dawka. – Nawara uśmiechnął się szpetnie, po czym wsunął na nos spadające okulary. – No, nie mów, że ci się nie podobało. Fakt, że szczęście pochodziło ze strzykawki, w niczym nie powinien ci przeszkadzać. Przecież chodzi tylko o uaktywnienie pewnych procesów w mózgu, a czy zrobimy to przez seks, jazdę na kolejce górskiej, czy awans w pracy, kogo to obchodzi? Przez proszki jest zwyczajnie łatwiej.

Mejza ironicznie zaśmiał się pod nosem.

– Powiedziałem coś śmiesznego?

– Trochę się na mnie wykosztowałeś... Jak byłem mały, to mamusia ostrzegała mnie przed złymi ludźmi, którzy będą mi chcieli wciskać narkotyki. W miarę jak dorastałem, zdałem sobie sprawę, że to za drogi biznes, żeby ktoś próbował dać mi je za darmo. Kto by pomyślał, że w końcu okaże się, że matula miała rację...

– Mamy pieniądze, detektywie. Każdy dokłada się do interesu.

– I po co to wszystko? Żebym teraz kupował od ciebie kolejne działki gówna, od którego mnie uzależniłeś?

– Nie... Nie jestem dilerem. – Nawara głośno westchnął, po czym wstał i spojrzął za okno. – Chciałem tu stworzyć korytarz – rzucił w przestrzeń. – Miejsce, w którym

każdy zazna tego, czego chce, nim postanowi odejść... Wielu chce spróbować narkotyków, dlatego je kupujemy... Trochę tłumią cierpienie, ale paradoksalnie pomagają ludziom w inny sposób.

– Albo to gówno, które mi wtłoczyłeś, zaczyna właśnie kopać, albo zwyczajnie pierdolisz od rzeczy. – Mejza patrzył mętnym wzrokiem na doktora stojącego na tle szerokiego okna, drapiąc się jak oszalały po strupach na przedramieniu. W tej dziennej poświacie doktor jawił się mu niemal jak anioł.

– Jak ze wszystkim w życiu, krótkie okresy radości przewijają się na zmianę z długimi okresami cierpienia. Tak samo jest z narkotykami. W końcu euforia, jakiej dostarczają, robi się coraz krótsza, ustępując miejsca przerażającemu zjazdowi. To właśnie podczas tych zjazdów ludziom najłatwiej jest podjąć decyzję. Dlatego wielu podajemy heroinę. Choć przyznam, że do tej pory zawsze było to dobrowolne...

– Jaką znowu decyzję?

– Najważniejszą. Decyzję, że czas odejść.

– I co, po prostu puszczasz ich po tym wszystkim z powrotem do domu? Naćpanych i uzależnionych jak nowojorscy bezdomni?

Doktor delikatnie parsknął śmiechem.

– Mało pan rozumie...

– To samo zrobiłeś Natalii Wolczak? – Mejza spróbował wstać z krzesła, ale mięśnie miał zbyt zwiotczałe. Osunął się jeszcze mocniej na oparcie.

– Co jej zrobiłem?

– Napchałeś narkotykami, środkami aborcyjnymi i cholera wie, czym jeszcze. Gdzie ona teraz jest? Jest tutaj?

– Natalia jest u mego boku dobrowolnie. To naprawdę wspaniała osoba.

– Kazałeś jej usunąć ciążę...

– To po to pan tu przyszedł, prawda? Działa pan na zlecenie jej ojca. Staruszek chce sprowadzić córkę z powrotem do domu?

– To takie dziwne?

– Tak... Zważywszy na okoliczności, przez które z tego domu uciekła...

– O czym ty...

– To nieistotne. Chciałbym skupić się na panu, detektywie.

Usłyszeli kroki na korytarzu, ktoś wszedł do pokoju obok. Na moment obaj zamilkli.

– Co zrobiłeś z dziennikarzem? – zapytał po chwili Mejza, jakby gubiąc poprzedni wątek.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Tak? Historię mojego odejścia z policji wyczytałeś sobie z gwiazd czy z dłoni tego chudego świra? Różycki musiał usłyszeć ją od znajomej policjantki... Ty usłyszałeś ją

od niego. Wiesz też, czym się zajmuję. Dziennikarz wciąż tu jest? Tak samo naćpany jak ja?

Nawara się uśmiechnął.

– Dziennikarz istotnie był tutaj. Udawał pacjenta w depresji... Próbował zapisać się do mnie na leczenie, które potem opisałyby w swojej nic niewartej gazecie. Zwykła hiena szukająca sensacji, ot co. Odprawiłem go z kwitkiem. Pana przyjaciel opuścił moją rezydencję równie szybko, co się w niej pojawił. To pana chciałem zostawić tu na dłużej. Widzę ogień, który pana trawi. Chcę pomóc.

Nawara wysunął jedną z szuflad swojego molochowego biurka, po czym rzucił na stół opakowania i blistry tych samych środków, jakie pokazywał Maksowi wcześniej.

– Teraz chcesz mi to dać? – Mejza rzucił okiem na tabletki. – Myślałem, że już wyczułeś, że ściemniałem. Przecież wszystkie maski opadły.

– Tak jak mówiłem wcześniej. Idea jest słuszna. Dziecko tej kobiety, z którą pana widziano, nie powinno się narodzić.

– Nie podam Marioli nic z tego, co tu masz, sukinsynu. Pytam po raz kolejny, gdzie jest dziennikarz?!

– Dziennikarz nie rozumiał depresji... Nie wiedział, z czym igrza. Miałem z nią do czynienia przez całe swoje zawodowe życie. Myślał, że może mnie nabrać. Te myśli... Myśli moich pacjentów... One są jak wirus, detektywie. Jak już raz zaczniesz się nad nimi zastanawiać, nigdy nie przestaniesz. Już zawsze w tobie będą. Przenoszą się z jednej osoby na drugą... Skaczą jak pchły. Wirus przekształca się w chorobę, jak ją niektórzy nazywają... Chorobę, którą ja nazywam życiem, a której objawy próbujemy zwalczać na najgłupsze sobie znane sposoby. Niektórzy leczą się wiarą, inni wypełniają pustkę pracą, a jeszcze inni, tak jak pan, wódą. Wszystko po to, żeby zająć czymś umysł, nie myśleć o tym, że nasza dalsza obecność na tym świecie nie ma najmniejszego sensu. Powiem panu prawdę, detektywie. – Przesząpił biurko i kucnął obok krzesła Maksa, po czym oparł mu dłoń na udzie. – Depresja i czarne myśli to wcale nie choroba. To tylko znak, że zaczynamy rozumieć, jak naprawdę funkcjonuje ten świat. Nie powinniśmy tych myśli zagłuszać, tylko wyciągnąć z nich wnioski. Był już pan tak blisko...

– Oszalałeś. – Maks zrzucił z siebie dłoń doktora.

– To ja oszalałem? A co powiesz o rodzicach sprowadzających na ten świat kolejne istnienia? O ludziach żyjących w głębokiej patologii, robiących sobie piąte dziecko tylko po to, by zaznało biedy, głodu, a być może w dalszym życiu niewoli w więzieniu? A to wszystko za poklaskiem społeczeństwa, bo przecież narodziny to cud, a zaludnianie tej planety wymaga najwyższego szacunku... W imię czego to wszystko, detektywie? Przecież nie biegniemy w jakimś określonym kierunku. Nie mamy

sztafety, którą musimy przekazać kolejnym pokoleniom. Jedyne, co przekazujemy tym wyjętym z nicości bytom, to cierpienie... Cierpienie, które będzie im towarzyszyć do końca ich dni.

– Dlatego namawiasz pacjentki do aborcji? Co ci do tego, kto tu kogo sprowadza?

– Ktoś musi przerwać to błędne koło. Pokazać ślepcom drogę. Uważam, że najwyższy czas, żeby ludzkość przestała się oszukiwać. Czas wyginać... Zaprześcić prokreacji... Wszyscy razem powinniśmy po prostu to zakończyć.

– Pokazać ślepcom drogę? Niczym się nie różnisz od tych ślepców. Sam też go szukasz, prawda? Nie widzisz tego?

– Słucham?

– Celu. Szukałeś i znalazłeś. Dokładnie taki cel nadałeś swojej żalosnej egzystencji. Wskazywanie drogi pozostałym. – Mejza ostentacyjnie splunął na podłogę. – Dlaczego nie chcesz pozwolić innym szukać swojego?

– Taka już nasza natura. Będziemy szukać celu, nawet wiedząc, że nie istnieje. Będziemy, dopóki tego nie przerwiemy. Pan też tak robi. Cały czas. Najpierw dołączył pan do policji, teraz szuka drogi jako prywatny detektyw... Zwyczajny kompleks bohatera. Skoro nie potrafi pan ocalić siebie, próbuje pan przynajmniej pomóc innym. Tak się składa, że ja robię to samo. Różnimy się tylko tym, że ja wiem, jak się to wszystko skończy. Pan wciąż się oszukuje, chociaż raz był już pan tak blisko. Wtedy, na komisariacie...

– Ten cały woźny w szkole... Ten, który wbił wiertarkę w brzuch ciężarnej kobiecie... To też twoja sprawa?

– Chciał nastraszyć pozostałe kobiety... Ambitne, prawda? Myślał, że w ten sposób każda zastanowi się dwa razy, zanim zdecyduje się na ciążę. Głupie i przeprowadzone na małą skalę. Ale taki miał pomysł na swój wkład w moje przedsięwzięcie, więc jedyne, co mogłem, to mu przyklasnąć.

– Jesteście chorzy... Wszystkich was tu pojebało...

– To świat jest chory, nie my. My, ludzie, staliśmy się aniołami w świecie, w którym anioły istnieć nie powinny. Dostaliśmy skrzydła i dzięki nim wzniesiliśmy się tak wysoko, jak to tylko było możliwe. Tym różnimy się od mitycznego Ikara, że w przeciwieństwie do niego wiemy, że w kontakcie ze słońcem nasze skrzydła spłoną, a naszym jedynym przeznaczeniem będzie kontakt z ziemią. Jesteśmy aniołami, które wiedzą, że na końcu lotu czeka nas jedynie twarde lądowanie. Więc po co latać?

– Bredzisz. Jak przekonałeś do siebie ludzi takim nonsensownym biadoleniem? Rozumiem, że ktoś tak głupi jak ten łysol z wyłupiastymi oczami albo ta góra mięcha mogli dać sobie zamieszać w głowie, ale...

– Poznałem Marcela, gdy był jeszcze dzieckiem. Byłem psychologiem w sierocińcu, do którego trafiła trójka braci z pewnej patologicznej rodziny. Jedyni ocalali z tragedii. Być może pan o tym nawet słyszał. Dziewięcioro dzieci. Sami chłopcy. Wszyscy utrzymywani w okropnych warunkach. Trzymani na przestrzeni niewiele większej niż ten gabinet. Dziewięciu chłopców w ciasnej piwnicy, w której nie mogli się nawet położyć. Często spali na stojąco, oparci o siebie nawzajem, bo podłoga była zbyt mokra od moczu i ekskrementów. Nadzy, bici, poniżani przez ojca, który rzucał im do środka ochłapy i resztki ze stołu, jakby karmił drób w chowie klatkowym. Sześciu zmarło, nie dożywając sześciu lat. Trójka ocalałych trafiła do domu opieki. Przerażająco chudzi, ułomni zarówno na ciele, jak i na umyśle przez ciągłe niedobory witamin. Minęły lata, nim nauczyli się mówić i myśleć jak pozostałe dzieci. A odkąd zaczęli rozumieć, co tak naprawdę ich spotkało... Nie pragnęli już niczego innego prócz śmierci. Potrafi pan to zrozumieć, detektywie? Jedyne, co trzyma ich przy życiu, to misja.

– Misja?

– Nie dopuścić do tego, żeby jakiegokolwiek inne dziecko musiało przechodzić przez to, co oni. To ja zająłem się nimi w sierocińcu, gdy jakiegoś anonimowego sąsiada ruszyło sumienie i doniósł policji o wydarzeniach z tamtego złego domu. Wiele lat później udało mi się uruchomić kontakty i załatwić dorosłym już chłopcom pracę. Dwóch najstarszych zostało pielęgniarzami na lokalnym oddziale położniczym. Jednego z tej dwójki nie ma już wśród nas... Postanowił odejść nie tak dawno temu. Przez pewien incydent nie mógł już kontynuować pracy w szpitalu, więc poczuł, że jego misja dobiegła końca. Marcel jest tu jeszcze z nami, bo chce mnie chronić. Ostatnio robi się tu dziwnie niebezpiecznie. Między innymi przez takich jak ty. Nie chcemy tu osób węszących dookoła i szukających sensacji. Chcemy w spokoju kontynuować nasze dzieło.

– Incydent w szpitalu? Pielęgniarze? O czym ty...

– Podawali ciężarnym środki, przez które w większości przypadków dochodziło do poronień. W pewnym momencie odsetek ten był tak duży, że zainteresował się tym minister zdrowia. Śledztwo wskazało na umyślne działanie i zarówno Marcel, jak i jego starszy brat zostali skazani. Jednak tylko na kilka lat, nie potrafiono udowodnić im zbyt wiele...

– Zaraz... Mówisz, że braci ocalała trójka. Ten trzeci też tu jest?

– Najmłodszy... Nie ma go z nami. Choć tym razem mówię dosłownie. Nie mieszka tu. Niedawno zatrudnił się w szpitalu i kontynuuje dzieło zwolnionych ze szpitala braci... Myśli pan, że kto dostarcza nam leki? Wspominał pan jeszcze o łysym



z wyłupiastymi oczami... Brzydko tak nazywać ludzi, bazując na cechach charakterystycznych. On ma na imię Dawid. I jest dla mnie szczególnie ważny.

– Oho, czyli masz na tego świra jakiś pomysł? Myślałem, że po prostu lubisz otaczać się głupszymi od siebie.

– Ten „świr” pracuje w miejskich wodociągach.

Mejza spojrzał pytająco.

– Nie rozumie pan, jak wielkie ma to dla mnie znaczenie? Nie jestem głupi, detektywie. Moje działania nie mają dużej skali. Niewielu, poza wąską grupką tu zebranych, w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co robię. Nikt nie słyszał o moich staraniach. Nie pokonamy śmierci w ten sposób. Nie zlikwidujemy cierpienia. Sam nie zmienię myślenia, jakim kierują się ludzie. Do tego potrzeba lat. Lat i wielu naśladowców. A żeby zdobyć naśladowców, potrzeba wielkich czynów. Wielkich i głośnych.

– Co ty...

– Dość już powiedziałem.

– Skurwysynu... Dlaczego mówisz mi to wszystko?

– Bo myślę, że jesteś jednym z nas.

– Mylisz się...

– Chcesz umrzeć, Maks, wiem to. Mogę ci pomóc, rozumiesz? Chcę w zamian tylko jednego. Od każdego wymagam tylko jednego.

Doktor spojrzał w stronę piętrzących się na stole tabletek.

– Przysłużenia się sprawie. Po to stworzyłem to miejsce. Z dala od wścibskich oczu. Społeczność ludzi myślących tak jak ja. Stąd każdy może odejść wtedy, gdy uzna, że jest gotów. Ja ze swojej strony zapewniam im to, czego chcą doświadczyć przed śmiercią. Pomagam spełniać ostatnie życzenia, a w zamian chcę tylko, żeby wsparli moją sprawę. Ludzie pytają o różne dziwne rzeczy. Tak jak mówiłem, niektórzy proszą o narkotyki, których bali się spróbować, gdy jeszcze łudzili się co do tego, jak długo będą chodzić po tym świecie. Część bała się konsekwencji społecznych, część zdrowotnych... Ostatnio miałem tu człowieka, który zapragnął seksu z kilkoma kobietami. Mieszkanki wioski bez wahania zgodziły się to jego pragnienie zaspokoić. Wystarczy w zamian przysłużyć się sprawie.

Mejza milczał.

– Niektórzy są jak bracia, o których wspomniałem wcześniej. Inni, jak woźny, próbują pójść o krok dalej... Chociaż już dużo wcześniej naprawił swój błąd, wjeżdżając z małą córeczką prosto w drzewo.

– Co ty...

– Co, myślałeś, że to był wypadek? Wiesław nienawidził tego małego potwora za to, że odebrał mu jego piękną żonę... Jediną osobę, którą naprawdę kochał... A pozostali? Cóż, jeśli sami przyczynili się do wytworzenia kolejnych istnień... Muszą naprawiać swoje błędy. To najmniej, ile mogą z siebie dać. Nie muszą naprawiać szkód innych. Ważne, żeby sami nie wyrządzali nowych. Muszą robić to, co słuszne.

– To, co słuszne...

– Tak...

– Na przykład wyrzucenie ciężarnej kobiety z dwunastego piętra...

– Słyszał pan o tym? Tak, to było jego dziecko. Ta nieszczęsna kobieta zdradziła swojego męża i postanowiła przeżyć krótką przygodę z byłym chłopakiem. Przygoda zakończyła się spłodzeniem potomka, więc musiał po sobie posprzątać... Kobieta nie musiała ginąć, ale skoro mój podopieczny wybrał taką metodę...

– Trzeba cię powstrzymać...

– A nie wolisz się do mnie przyłączyć? U nas nikt nie odchodzi z tego świata samotnie. Jesteśmy w tym wszyscy razem, tkwimy przy sobie i wspieramy się aż do końca. Mogę ci pomóc, Maks. Pomóc skończyć to, co zacząłeś. Tym razem się uda. Odejdiesz na zawsze. Czy nie tego właśnie chcesz?

Mejza nie odpowiedział. Spuścił głowę.

– Wystarczy, że weźmiesz to i podasz ciężarnej kobiecie, z którą cię widziano. Nic więcej. Powiedz, masz jakieś ostatnie życzenia? Coś, czego chciałbyś spróbować przed śmiercią? Zakładam, że nie będą to narkotyki. – Doktor uśmiechnął się cynicznie.

– Chcę...

– Tak? – Doktor nachylił się mocniej w jego stronę, wyraźnie zaciekawiony.

– Chcę... Żebyś się pierdolił.

Nawara pokiwał głową z rozczarowaniem.

– Przykro mi to słyszeć. Przecież wiesz, że i tak nie mogę cię stąd wypuścić. – Zebrał leki ze stołu. – Ale jej też nie mogę odpuścić, więc zrobię to za ciebie. Wiesz, uznaję Mariolę za jedną ze swoich porażek... Błędów.

– O czym ty...? Ty... Ty ją znasz?

– A błędy trzeba naprawiać.

Mejza wierzgnął gwałtownie, próbując w zamyśle rzucić się na doktora z pięściami, ale zwiotczałe od narkotyków mięśnie spowodowały, że jedynie osunął się z krzesła na podłogę. Doktor nawet nie drgnął.

– Zdenerwowałem cię? – Nawara wyszczerzył zęby i nachylił się nad leżącym na ziemi detektywem. – Skoro to nie twoja żona, to co ona w ogóle cię obchodzi?

– Zostaw ją w spokoju, skurwielu. – Maks spróbował się podnieść, ale po chwili znowu padł na deski, kopnięty w żebra ostrym czubkiem buta doktora. Zabrało mu

dech.

– Pozostaje pytanie, co zrobić z tobą. Jeśli mam być szczery, to chcę dać ci szansę, detektywie. Stworzyłem to miejsce specjalnie dla wyjątkowych ludzi. Dla ludzi zdecydowanych. Myślałem, że ty też taki jesteś, dlatego chciałem porozmawiać. Cóż, może potrzebujesz jeszcze trochę czasu. Wkrótce stanie się coś, co być może cię zachęci...

– O czym ty...

– Sam się przekonasz, jak łatwo jest zwyczajnie odpuścić... Jak blisko jest stąd na drugą stronę... Czymkolwiek by ona nie była.

Mejza poczuł nagle zawroty głowy. Jakby wystrzał adrenaliny tylko przyspieszył wędrówkę narkotyku po krwiobiegu. Po chwili zamknął oczy.

Odleciał.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Po raz kolejny obudził go chłód wilgotnych desek na policzku. Ten sam pokój. Ta sama ciemność. Twarz, cała poobdzierana od chropowatej, pełnej drzazg powierzchni, piekła go jak diabli. Uszy świdrował nieustający pisk, od którego mogłyby pękać szyby w oknach.

Podniósł się i podczołgał do najbliższej ściany. Oparty, chwycił się za bok. Już przez sam dotyk był w stanie stwierdzić, że w miejscu, w którym spadł na niego but doktora, miał teraz olbrzymiego sińca. Oddychanie przychodziło z bólem.

Zamknął oczy i ciężko westchnął, próbując sobie przypomnieć niedawną wizytę w gabinecie Nawary. Przynajmniej miał nadzieję, że była niedawna. Musiał skontaktować się z Mariolą, i to szybko. Nie wiedział, czy doktorek blefuje, ale nie mógł sobie teraz pozwolić na niewiarę. Trzeba ją ostrzec.

Tylko jak długo znowu spał?

Siedząc tak w ciemności i próbując pozbierać myśli do kupy, znów to poczuł – przerażające uczucie, że nie jest w pokoju sam. Że ktoś go nieustannie obserwuje.

Niechętnie otworzył oczy, jakby przerażony tym, co może wyłonić się z ciemności. Bał się, że działanie narkotyków wciąż nie ustąpiło, a pobudzona chemią wyobraźnia wymaluje w mroku coś nieopisanego. Mrużył oczy, starając się wypatrzeć cokolwiek w przestrzeni przed sobą.

I w końcu to dostrzegł.

Kształt.

– Już jej nie ma – odezwała się ciemność.

Mejza wcisnął się w ścianę tak mocno, że nieomal przebił się na drugą stronę. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Zacisnął powieki, cicho mrużąc siebie. Próbował się uspokoić. *Już przez to przechodziłeś, to tylko halucynacja*, powtarzał w kółko, gdy mrok ponownie o sobie przypomniął.

– Już jej nie ma, nie słyszę jej. – Głos siedzącej w ciemnym kącie sylwetki był cichy, spokojny i apatyczny zarazem. Rozchodził się po pomieszczeniu i rozlewał w głowie Maksu jak gorąca woda. Bez wątplenia należał do kobiety.

– Natalia? – zapytał w ciemność przed sobą.

– Nie żyje...

– Natalia nie żyje? Kto tam jest?

– Jestem chodzącą trumną, Maks.

Przeszył go nieopisany strach. Sposób, w jaki ciemność wymówiła jego imię... Miał wrażenie, że sam stwórca chwycił w dłoń pokój, w którym siedział, zatrzęsął nim i odstawił z powrotem do góry nogami. Ten głos... Przecież znał ten głos...

– Mariola? Boże... Mariola, co ty tu... – Podczołgał się do kobiety siedzącej pod ścianą po przeciwległej stronie pokoju. Było ciemno, ale nie miał wątpliwości. Jego była żona bujała się lekko na boki, obejmując przyciągnięte do piersi kolana, jak opętana, powtarzając pod nosem niezrozumiałe słowa. – Mariola, ty...

– Do tej pory słyszałam, jak jej serce bije we mnie. Teraz jest cicho.

– Co oni ci zrobili? Słyszysz mnie, co oni...

– Nie ma jej.

Kobieta nie reagowała na żadne bodźce. Powtarzała wciąż i wciąż podobne zdania. Mejza próbował nią potrząsać, ocucić z tego stanu, ale każda próba była z góry skazana na niepowodzenie. Choć zdawała się rozumieć, że jest przy niej, była zbyt naćpana, by wytłumaczyć mu, jak się tu znalazła.

– Mariola, proszę, ocknij się. Skurwysyny... Co oni ci...

– Ona ci raczej nie odpowie. – Z ciemności dobiegł go kolejny damski głos.

Mejza obrócił się gwałtownie w stronę drzwi. Starął się zrozumieć, czy to, czego jest świadkiem, to jawa, czy tylko powracające halucynacje.

– Kto to powiedział?

– Nafaszerowali ją. Dużo mocniej niż ciebie. Ale to, co powtarza... To nie jest majaczenie. Dziecko w niej naprawdę jest już martwe. Doktor nie chciał jej szukać, ale gdy już sama się tu zjawiała... Nie mógł przepuścić okazji. Kiedyś chodziła do niego na terapię, wiesz? Jak tylko otworzyliśmy tu klinikę. Miała problemy... Chciała ze sobą skończyć. Dużo opowiadała nam też o tobie. Doktor sporo nad nią pracował, ale... Ale poniósł porażkę. Znalazła sobie innego mężczyznę i postanowiła starać się o dziecko. Jako jedyna pacjentka chciała dalej walczyć. Naprawdę wierzyła, że to dziecko jest jej przeznaczone, że ją naprawi. Że jak tylko się narodzi, to wszystkie smutki znikną.

– Co jej zrobiliście, do kurwy nędzy? Jak się tu znalazła?

– Sama przyszła. Twierdziła, że zadzwonił do niej jakiś policjant, jakiś twój przyjaciel. Podobno poinformował ją, że zaginął, wędząc przy sprawie doktora. Chciała tylko cię znaleźć.

– O czym ty mówisz?! Kim jesteś?

– To mnie tu szukasz, Maks.

– Natalia? Natalia Wolczak?

– Często cię tu doglądałam. Zazwyczaj nie zdawałeś sobie sprawy z mojej obecności, choć czasem miałam wrażenie, że patrzysz prosto na mnie. To wszystko przez narkotyki, które ci dają. Nie powinni tego robić, ale chcieli cię tu uwięzić do

czasu, aż wymyślą coś lepszego. Może tego nie widzisz, ale fakt, że cię tu przetrzymują, przeraża ich bardziej niż ciebie. Nie wiedzą, co dalej. Nie mają pojęcia, co z tobą zrobić. Liczą na to, że przez narkotykowe zjazdy, gdy już całkowicie odetną cię od heroiny... Że wtedy będziesz bardziej chętny... Że nie będzie trzeba cię nawet zmuszać.

– Chętny na co?

– Na to, żeby odejść.

– Co ty tu w ogóle robisz?

– Podśluchiwałam waszą rozmowę. Twoją i doktora. To prawda, że przysłał cię ojciec? Jesteś prywatnym detektywem?

– Słuchaj. – Mejza podniósł się trochę wyżej. – Musimy stąd wiać. To miejsce jest nieźle popierdolone... Zrobili coś tej kobiecie i potrzebuje pomocy medycznej, słyszysz? Na dodatek doktor coś planuje. Nie wiem co, ale mówił, że ma to nastąpić wkrótce. Musisz nam pomóc, mnie i Marioli. Musisz...

– Powiesz mojemu ojcu, że dokonałam aborcji? Dziecko nigdy się nie narodziło. Możesz mu tak powiedzieć? Niech odpuści... Niech przestanie szukać. Bo tylko o to mu chodzi, prawda? O dziecko? Mówił ci może, że to dziecko... – Zamilkła.

– Że to dziecko co?

– Nieważne... To już tak naprawdę nieważne... Powiedz mu to, o co proszę.

– Najpierw musiałbym się stąd wydostać. Zresztą sama możesz mu to przekazać. Wystarczy, że pomożesz nam w ucieczce. Ta zgraja wariatów... Oni wszyscy pójdą siedzieć. Nie chcesz tu być podczas szturmów policji. Mogę pomóc ci się z tego wykaraskać, zaświadczę, że przetrzymywali cię tu siłą, tak jak mnie. Skoro tu weszłaś, to musisz mieć klucz. Musimy tylko...

– I że wybaczam.

– Co?

– Powiedz mu też, że wybaczam. Zrobisz to dla mnie? Chcę zamknąć wszystkie sprawy. Pogodzić się z tym światem...

– Co wybaczasz?

Dziewczyna milczała.

– Słuchaj, nie wiem, czy ciebie też nafaszerowali, ale skup się na moment. Musimy się stąd wydostać...

– Za chwilę wyjdę, nie zamknę drzwi. Zrobisz, co uważasz. Chcę tylko, żebyś obiecał, że przekażesz mojemu ojcu to, o co prosiłam.

– Co? Nie idziesz ze mną?

– Nie.

– Nie zostawię cię z tymi ludźmi... Twój ojciec bardzo chce, żebyś wróciła. Słyszysz? Nie rób mu tego? Wciąż możesz...

– Nie znasz ich. Nic o nich nie wiesz. Nie znasz też mojego ojca. Robisz tylko to, za co ci płaci. Jakby te pieniądze miały jakieś znaczenie...

– Wiem wystarczająco, żeby chcieć cię stąd zabrać.

– Za chwilę odejdę, zostawiając drzwi otwarte. Poczekaj pięć minut. Drzwi na dole będą uchylone. Jak będziesz ostrożny, to nikogo nie zaalarmujesz. Potem biegnijcie przed siebie i wyjdźcie główną bramą. Tylko uważajcie, jest już ciemno.

– A ten świr w stodole? Zauważyłem, że ciągle stoi na czatach.

– W stodole na zewnątrz nie powinno już nikogo być. Dawid poszedł do pracy. Ma nocną zmianę w wodociągach.

– Dlaczego mi pomagasz? Nie będziesz miała przez to kłopotów? Wiesz, że wrócę tu z policją...

– Dziś nie ma to już dla mnie znaczenia. Dziś robię to, co zechcę. Tutaj wszyscy mamy jeden dzień, gdy robimy to, co chcemy...

Mejza milczał przez chwilę. Walczył z całych sił, aby informacje zapisały się w otępiałym mózgu. Dziewczyna chwyciła za klamkę. Odrobina światła księżycy wlała się do pokoju przez świetlik w korytarzu. Dopiero teraz dostrzegł, że dziewczyna ma na sobie piękną wieczorową suknię.

– Poczekaj – odezwał się po chwili.

– Jeśli spróbujesz mnie zmusić do ucieczki, zacznę krzyczeć – odparła bardzo spokojnym tonem.

– Nie o to chodzi. Gdzie jest dziennikarz? Młody chłopak w okularach... Był tutaj kilka dni temu. Doktor mówił, że odszedł, ale...

– Maks.

– Tak?

– Uciekaj i nie oglądaj się za siebie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Drzwi się zamknęły. Mejza przez chwilę wyczekiwał dźwięku przekręcanego w zamku klucza, ale ten nie nadszedł. Dziewczyna nie kłamała. Wiedział, że mogła prowadzić go w pułapkę, ale nawet pracujący na pół gwizdka umysł nie potrafił doszukać się w tym logiki. W zamknięciu mogli zrobić mu cokolwiek tylko chcieli, nie było sensu prowokować go do ucieczki tylko po to, żeby mieć pretekst do dalszych tortur. Nikt też nie obiecywał nagród za bycie grzecznym, nie było więc powodów, żeby nie skorzystać z okazji.

Droga była wolna.

Tylko czy Mariola była w stanie uciec wraz z nim? Próbował ją cucić, ale bezskutecznie. Musiał zabrać ją ze sobą w takim stanie, nie miał wyjścia.

Za zegar posłużyło mu własne tętno. Żyły pulsowały rytmicznie, mógł za ich pomocą odliczać kolejne minuty. Ciśnienie rozsadzało czaszkę. Nawykłe do ciemności oczy sprawiały, że czuł się w tym mroku niemal komfortowo. To światła obawiał się teraz najbardziej.

Podniósł obolałe ciało z podłogi i stanął pod drzwiami. Nasłuchiwał jakichkolwiek dźwięków dochodzących z drugiej strony, co nie było łatwe, bo w uszach wciąż rozbrzmiewał mu ten irytujący pisk – pamiętka po niedawnym ogłuszeniu. Miał wrażenie, że coś słyszał, ale było to zbyt przytłumione, żeby mogło dochodzić z góry. Korytarz prowadzący do schodów musiał być pusty.

Bardzo ostrożnie nacisnął klamkę. Drzwi się uchyliły. Ciche skrzypnięcie rozpląnęło się w ciemności jak szept. Nie słyszał już nic poza odczuwanym w bębenkach ciśnieniem. Wyjrzał na zewnątrz.

Pusto. Nie było odwrotu, nawet jeśli pakował się w pułapkę, uznawał to za lepszą perspektywę niż dalsze tkwienie w ciemnej izolatce.

Wrócił po Mariolę, uniósł ją z podłogi, chwycił za rękę i pociągnął w stronę wyjścia. Kobieta nie stawiała żadnych oporów, jakby nic już nie robiło jej różnicy. Powoli opuścili pokój. Samodzielnie. Po raz pierwszy, odkąd tu trafił, poczuł, że odzyskuje kontrolę nad własnym losem. Nagły przyływ adrenaliny i pewności siebie sprawił, że zastanawiał się nad zemstą. Choć na chwilę ze zwierzyny stać się łowcą, gdzieś pod skórą tylko tego pragnął. Chciał znaleźć w domu coś ostrego i zarżnąć lokatorów w momencie, w którym najmniej się tego spodziewali. Zobaczyć strach w ich oczach – rekompensatę za utracaną godność. Jednak szybko pozbył się tych myśli. Obolałe



i otumanione ciało tylko krzyczało, żeby się stamtąd wynosił. Nigdy by też sobie nie wybaczył, gdyby naraził na coś Mariolę.

Czasem najlepsze, co można zrobić, to po prostu odejść.

Powoli stąpali ciemnym korytarzem, uważając na skrzypiącą podłogę. Była tak stara, że czuł się, jakby szedł po linowym moście, gdzie każdy nieprzemysłany ruch mógł skończyć się trafieniem na spróchniałą deskę i lotem w przepaść. Po chwili dotarli do schodów. Gdy Maks spojrział w dół, ujrzał tylko jeszcze większą ciemność. Jeden zły ruch, a spadną i skręcą sobie karki, zadowolając tym prawdopodobnie wszystkich lokatorów zastanawiających się, co z nimi zrobić.

Niepokoiliła go ta martwa, nieruchoma cisza. Jakby wszyscy gdzieś wyszli. Pałac wyglądał na pusty, dokładnie tak jak wtedy, gdy odwiedził to miejsce po raz pierwszy.

Zszedł na dół. Schodek po schodku, z duszą na ramieniu. Gdy dotarł do parteru, coś usłyszał.

Jednak nie był sam.

Wychylił się z za rogu i zajrzał w długi korytarz. W jednym z pokoi paliło się słabe światło. To stamtąd też dochodziły go odgłosy krzątania i cichych rozmów. Przez chwilę patrzył w pomarańczową aurę, przypominającą blask świec, przebijającą ciemność korytarza, ale szybko się otrząsnął. Cokolwiek się tu działo... Cokolwiek miało się stać dziś wieczór... Musiał to zignorować.

Ruszył przed siebie, do drzwi wyjściowych, ciągnąc za sobą Mariolę w rozsznurowanych trampkach, jakby jej długie, kościste ramię służyło za holowniczą linkę.

Wypadli na zewnątrz, gdzie zaskoczył go chłodny porywisty wiatr. Szum drzew stanowił teraz niepokojący kontrast dla przerażającej ciszy w środku. Wszystko wyglądało, jakby cały świat zmienił się na dobre w te kilka dni, kiedy siedział w zamknięciu. Niebo zasnuwane czernią zwiastowało rychłą nawałnicę. Grzmiało. Jasne zygzaki na niebie trzaskały jak bicze, co chwila oświetlając mroczny posąg anioła na środku placu.

Najbardziej bał się psów i ich szczekania. Zwrócenie na siebie ich uwagi zaalarmowałoby całą wioskę, a nie miał szans ich ominąć. Uznał, że zbliżą się z Mariolą powoli, dając im czas na zrozumienie, że nie stanowią zagrożenia, i w razie gdy plan nie wypali, ruszą przed siebie tak szybko, jak tylko są w stanie.

Szli powoli, naturalnie, trzymając się za ręce jak pełne motyli w brzuchach nastolatki, nie pozwalając zwierzętom wyczuć narastającego strachu. Wspomnienia uderzały jak zawodowy bokser, cios za ciosem przypominając mu, co utracił, za każdym razem, gdy spoglądał w twarz towarzyski. Ale teraz nie mógł o tym myśleć. Teraz liczyła się tylko ucieczka.

Stąd widział już bramę i uwiązane pod nią czworonogi. Był już tak blisko, gotów, by zerwać się w jeden moment i biec na oślep w stronę miasta, biorąc byłą żonę na plecy, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, gdy tylko psy zaczną szczekać.

Ale nie zaczęły.

Dwa kundły patrzyły na nich smutnym milczącym wzrokiem, jakby dawały im ciche przyzwolenie, żeby stąd odejść. Jakby rozumiały. Żałośnie skomlały i kuliły się pod płotem. Zdawały się przerażone perspektywą nadchodzącej burzy.

Dopadli do bramy i wyszli na zewnątrz. Wtedy na kogoś wpadli.

– Ej! – wykrzyczał łysy mężczyzna z wyłupiastymi oczami, gdy niemal zderzył się z wybiegającym zza bramy Mejzą. Przez ramię przepasaną miał olbrzymią sportową torbę, ciągnącą go w dół swym ciężarem. – N-nie powinieneś być w środku? W-wypuścili cię? – zapytał, jakby gotowy do krzyku po pomoc. Po chwili spojrzał na kobietę. – A to kto?

Mejza stanął jak wryty. Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Odezwał się dopiero, gdy coraz bardziej ogarnięta paniką twarz mężczyzny osiągnęła apogeum, przybierając rysy gotowego do krzyku dziecka.

– Wyszedłem na spacer – powiedział tonem tak spokojnym, jakby sam w to wierzył. – Doktor pozwolił mi się przewietrzyć. A to moja była żona. Przeprowadziłem ją tu, żeby... – Spojrzał w zamglone oczy Marioli, ale nie dostrzegł w nich kontaktu. – Żeby zrobić to, co trzeba.

– T-tak? – Mężczyzna wiercił się i próbował zaglądać Maksowi za plecy, jakby szukając tam kogokolwiek do pomocy.

– Tak, masz z tym jakiś problem? Chcesz, to do niego pójdziemy i sam zapytasz.

– N-nie widziałem cię kilka dni. Mógł... Mógł dać znać, że...

– Widać nie czuje potrzeby, żeby cię o czymkolwiek informować. Zresztą powiedział mi, że miałeś iść do miasta, miałem sprawdzić, czy już to zrobiłeś. Podobno masz nocną zmianę w wodociągach. Czemu wciąż tu jesteś?

– Po... Powiedział ci? Powiedział ci o wodociągach? Ja-ja tam sprzątam iiii... i czyścisz sprzęt. Czyli naprawdę cię wypuścił? B-będziesz tu z nami teraz mieszkał?

– Tak... Sesje z doktorem bardzo mi pomagają.

– Ma... Masz jakieś ostatnie życzenia?

– Co? – Mejza spiął wszystkie mięśnie, zaalarmowany przypominającym groźbę pytaniem.

– Za... Zawsze o to pytam nowych. Ja... Ja dopiero rano dostanę to, na co czekałem. Czekałem bardzo długo. – Mężczyzna zdawał się nienaturalnie pobudzony. Mejza zastanawiał się, czy wszyscy są tu pod wpływem jakichś środków.

– Na co?

– Na-Natałka. Dziś w końcu będę... Będę mógł. Ja... Ja ją kocham. Ja ją tak bardzo ko-kocham. Tylko muszę poczekać do rana, a na nocnej zmianie zrobić to... To, co należy.

– Co należy zrobić, Dawid? – Głos detektywa mocno posmutniał. Ścisnął delikatną dłoń swojej byłej żony.

Mężczyzna zdjął z ramienia wielką sportową torbę, położył ją na ziemi i rozsunął zamek, z dumą prezentując zawartość. Jednak w tych ciemnościach widać było tylko farmaceutyczne fiołki.

– Co chcesz z tym zrobić, Dawid?

– To, co powiedział doktor. Do-do-dodać do wody.

– Powiedział ci, co to jest?

– Tak. Ho-hormony. Przeterminowane. Medyczne odpady i... i takie tam.

– Chcesz zatruć wodę... Wiesz, co to robi?

– Wie... Wiem. W ten sposób uratuję cho-chociaż jednego. Doktor mówi, że mógłby urodzić się ta... taki jak ja. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek miał ta-ta-takie życie jak... jak... A jak to zrobię, to-to ja i Natałka będziemy w końcu... To mogę zrobić z nią, co tylko zechcę. Doktor tak powiedział.

Mejza wpatrywał się w szalejące po okolicy oczy rozmówcy.

– D-dawno mi to obiecał. Doktor dawno mi to obiecał. Zanim o-odejdę, miałem dostać ko-kobietę. Normalnie Natałka nigdy by się nie... nie zgodziła. Ale jak już będzie po wszystkim, to będę mógł. Wystarczy, że dodam to do-do wody. Obiecał, że nie będzie konse... Konsekwencji.

– Jak chcesz to zrobić? Jak chcesz zatruć wodę, Dawid? Przecież nie pracujesz tam sam, ktoś zobaczy...

– Do-dodaję mniejsze ilości do wody już od-od dawna. Ale teraz mam dużo. Potrafię sam obsługiwać maszynę... Dla-dlatego pozostałym dam... Dam leki na sen. A jeśli ktoś będzie chciał mi przeszkodzić, to... – Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął mały przedmiot, który dopiero w blasku kolejnej błyskawicy stał się wystarczająco widoczny, by móc go zidentyfikować.

Ostrze małego noża lśniło, odbijając od siebie światło kolejnych błyskawic. Łysol oblizał wargi, obracając go w dłoni. Zagrzmiało, a po chwili okolicę zasnuła martwa cisza. Pierwsze krople deszczu spadły na ziemię, która wchłonęła je jak niepijący od dziesiątek kilometrów wędrowiec na pustyni.

Mejza nie spuszczał wzroku z noża. Przybrał grobowy wyraz twarzy, jakby dopiero do niego dotarło, co planuje zrobić mężczyzna. Przełknął ślinę. Świr nie wyglądał, jakby żartował. Naprawdę zamierzał zatruć wodę hormonami i Bóg jeden wie, jak wpłynie to na zdrowie mieszkańców. To o tym wielkim czynie mówił Nawara, to da mu

rozgłos, jakiego potrzebował. Rozgłos, który da mu chwilę na przekazanie światu swojej filozofii. Rozgłos, który zrodzi mu następców.

Chciał pozbawić mieszkańców tego niewielkiego miasta szans na reprodukcję.

Mejza poczuł, jak jego serce próbuje przebić się przez żebra, a obraz przed oczami ciemnieje. Musiał jak najszybciej dostać się do miasta. Wezwać policję.

Ale przede wszystkim zacząć się na tego szaleńca i poczekać, aż tylko schowa nóż.

– Wracamy do spaceru – rzucił przez zaciśnięte wargi, próbując wyminąć trzymającego ostrze chudzielca. Pociągnął za sobą Mariolę. Chciał odejść jeszcze trochę w ciemność, zanim rzucą się do ucieczki. Nie chciał, żeby mężczyzna zaalarmował kogoś w wiosce. Raczej nie uciekłyby pościgowi w tym stanie, nie z ledwo poczapującą za nim naćpaną kobietą.

– Nie będziesz na odejściu Natalki?! – Łysol krzyknął mu prosto w plecy, wyraźnie zdziwionym tonem. – Przecież zaraz się zaczniesz! Doktor zawsze mówi, że musimy brać udział. Że... Żeby zobaczyć, że nie ma się czego bać. Ja... Ja już widziałem. To takie łatwe. Tylko nie pozwalają mi już chodzić. Za... Zawsze mam stać na czatach. To przez to, co zrobiłem...

Maks obrócił się powoli.

– Odejściu Natalki? Jakim odejściu?

– Na odejściu Kasi chciałem... Przecież... Przecież już nie żyła... Nie byłoby dla niej żadnej różnicy. A-ale doktor mi nie pozwolił. Marcel od tamtego czasu chyba mnie nie... nie lu-lubi. Ale teraz będę mógł wziąć ciało dla siebie.

– Jakim odejściu?! – powtórzył groźnie Mejza. Wciąż bacznie obserwował nóż zaciśnięty w kościstych palcach mężczyzny.

– Wszyscy są już pewnie w pokoju. Że... Żegnają się. Pytałem, czy nie chce być ze mną... Dziś. Za... Zanim pójdzie. Ale nie chciała. Dla-dlatego doktor obiecał, że będę mógł po wszystkim sam... Jej... Jej to już róż-różnicy nie robi.

– O czym ty...

– Ja... Ja nigdy nie byłem z kobietą. To przez... przez chorobę. One... One... Suki brzydzą się nawet na mnie patrzeć. Ja... Ja teraz w końcu...

Mejza spoglądał raz na oświetlany kolejnymi błyskami dworek, raz na znajdującą się za plecami drogę do miasta. Czuł się jak w koszmarze. Takim, w którym każdy wybór jest tym złym.

– P-powiesz mi może, jak... jak to się...? Bo ty-ty byłeś z kobietą, tak?

– Nigdzie nie pójdziesz. – Maks sposepniał. Delikatnie przycisnął barki byłej żony, sprawiając, że posłusznie usiadła na ziemi, po czym zostawił ją i wykonał kilka kroków do przodu.

– C-co? – Zaskoczony nagłą zmianą tonu głosu rozmówcy mężczyzna znowu zaczął wyglądać jak na skraju paniki.

– Oddaj mi nóż i torbę – rozkazał Mejza, wyciągając przed siebie dłoń. – Potem odwróć się do mnie plecami, wejdziemy do stodoły i dasz mi się związać.

– A-ale doktor mówił, że...

– Nie poproszę drugi raz.

– C-co? Ja... Ja... Marcel! – wykrzyczał, rzucając się panicznie w stronę bramy.

Maks dopadł go gwałtownie i przewrócił na ziemię, pociągając za ubranie. Mężczyzna zrobił wymach nożem. Mejza poczuł, jak zimne ostrze przecina mu skórę na ramieniu, jakby ktoś wylał na niego wrzątek. Po chwili pacjent Nawary zaatakował ponownie, krzyknął i z pełnym agresji wzrokiem wykonał dziką szarżę, ale zrobił to tak nieporadnie, że detektyw szybkim ciosem wybił mu nóż z dłoni. Ostrze upadło na piasek. Obaj wpadli na siebie z impetem i runęli na ziemię. Łysol wciąż próbował wołać o pomoc, gdy Mejza usiadł mu okrakiem na brzuchu i zacisnął dłonie na gardle.

Szamotali się na piaszczystej ziemi. Mejza, mimo niewielkiej wagi, wciąż był znacznie cięższy od wyglądającego na chodzącego trupa rywala. Zaciskał mu dłonie coraz mocniej wokół szyi, patrząc, jak oczy wychodzą mu z orbit, gotowe, by wystrzelić z pokrytej napęczniałymi żyłami czaszki.

Mężczyzna wił się, kopał w ziemię pod sobą, sypiąc piaskiem dookoła, charczał i drapał dusiciela po twarzy, ale nie był w stanie zrzucić dłoni z szyi. Jedną ręką chaotycznie szukał leżącego gdzieś obok noża. Mejza nawet nie zauważył ruchu, którym wbił mu znalezione ostrze pod obojczyk. Zawył z bólu, ale znieczulony narkotykami nie przestawał dusić chudzielca, który z sekundy na sekundę zdawał się słabnąć. Początkowo chciał tylko, żeby zemdlał. Odciąć szaleńcowi dopływ tlenu na tyle, by odpłynął. Nawet nie zauważył momentu, w którym minął punkt, gdy jeszcze było to możliwe.

Nie można powiedzieć, by światło w jego oczach gasło.

Tego światła nigdy tam nie było.

W końcu mięśnie chudzielca się poddały, zwiotczał, a Mejza, wciąż napędzany adrenaliną, rozgniatał mu krtań, wbijając kciuki głęboko w węzły chłonne. Ciałem mężczyzny targnęły spazmatyczne drgawki. Oczy spowiła powłoka czerwono-fioletowych żyłek.

W końcu odpuścił.

Ciężko dysząc, przyglądał się zastygłej w potwornym grymasie twarzy truciciela.

Jak na kogoś, kto chciał niedługo odejść z tego świata pod okiem Nawary, bardzo długo walczył o życie.

Podniósł się z wychudzonego ciała. Otrzeptał ubranie z ziemi, starając się nie patrzeć w dół. Fakt, że było ciemno, mocno ograniczał poczucie tego, co właśnie zrobił. Nie miał nawet czasu do namysłu. Działał instynktownie.

Rozbroił bombę, która wybuchłaby wcześniej czy później, w ten czy w inny sposób.

Rozejrzał się dookoła i poczuł, jak adrenalina znów strzela do krwiobiegu. Na tle ciemności rozświetlanej błyskawicami, jak krótkimi strzałami ledowej latarki, nie widział odznaczającej się kobiecej sylwetki. Nigdzie jej nie było.

Mariola zniknęła.

\* \* \*

Miał pewność, że nie uciekła w stronę zarośli. Usłyszałby szelest przedzierającej się w stronę miasta osoby. Nie. Musiała pobiec w kierunku jedyne go źródła światła w okolicy.

Z powrotem w stronę dworku.

Przeciągnął ciało chudzielca do rowu pod drewnianą kładką i szybko, w pośpiechu, zaczął przykrywać je warstwą ziemi zdrapywanej gołymi rękoma ze ścian zagłębienia. Pomyślał o psach po drugiej stronie bramy. Nawet nie był pewien, czy przez cały ten czas nie czekały. Przez adrenalinę i krew dzwoniącą w uszach słyszał jedynie przeciągły pisk.

Po kilku minutach trup z torbą leków spoczął pod cienką warstwą czarnej jak noc pierzyny. Mejza nie miał wątpliwości, że prędzej czy później ktoś go tu odnajdzie. Chciał kupić sobie tylko trochę czasu, na wypadek gdyby Marcel węszył w okolicy.

Wdrapał się na górę i ruszył w stronę szopy. Drzwi były otwarte, a wnętrze rozświetlone chybottliwym światłem świecy. Na stoliku stała napoczęta flaszka wódki. Chwycił ją w obie dłonie i pociągnął solidnego łyka, po czym złapał za tkwiący pod obojczykiem scyzoryk. Pociągnął, mocno zaciskając zęby. Ból sprawił, że zawróciło mu się w głowie, i opadł na krzesło. Szybko polał ranę wódką, rozerwał kawałek koszuli i wcisnął materiał do środka, choć trochę tamując krwotok. Ubranie szybko nasiąknęło bordową posoką.

Wstał. Ciężko dysząc, dopadł do wiszących na ścianie narzędzi. Wśród pił, młotków i łopat to siekiera wydawała się najrozsądniejszym wyborem. Chwycił za rękojeść i przyglądał się przez chwilę ubrudzonej, odrapanej głowni.

Błysnęło, rozświetlając na moment całe wnętrze stodoły. Po chwili nadszedł grzmot, potem głośny szum.

Zaczęło lać.

Wypadł na zewnątrz. Mokre od potu i deszczu, rozwiewane wiatrem włosy opadały mu na pałające ogniem oczy. Z siekierą w dłoniach przyglądał się rozświetlanemu kolejnymi błyskawicami pałacowi. Trup w rowie przypominał mu, że minął już punkt,

w którym mógł się z tego wycofać, ale prawda była taka, że minął go już tak dawno temu, że nie pamiętał nawet, jak ten punkt wyglądał.

Ruszył przed siebie, kompletnie nie zważając na przestrzeń dookoła. Minął psy i posąg anioła, po czym dopadł do drzwi rezydencji, pod którą zauważył porzucony but. Biały trampek, taki sam, jaki miała na sobie Mariola w dniu, w którym wpadli na siebie w sklepie. Rozsznurowany, musiał jej spaść ze stopy. Teraz nie miał już wątpliwości, że weszła z powrotem do środka. Nie pozostało mu już nic innego, jak zrobić to samo.

Pchnął masywne skrzydło drzwi i zajrzał do środka, spodziewając się komitetu powitalnego, ale zastał jedynie pusty przedpokój. Światło na końcu korytarza wciąż się paliło. Rozejrzał się dookoła. Piwnica na prawo od wejścia wciąż była zamknięta na potężną żeliwną kłódkę. Wszystkie pozostałe pomieszczenia na dole wydawały się puste. Kierunek mógł być więc tylko jeden.

Nie miał planu, pomysłu ani nawet nadziei. Ruszył przed siebie, odbijając się od ścian korytarza jak paintballowa kulka. Kręciło mu się w głowie. Krew sączyła się przez materiał i zalewała go już niemal do spodni. Czuł jednocześnie ciepło i chłód. Strach i odwagę.

Przykulił sylwetkę i skradając się, ostrożnie stawiał krok za krokiem, kurczowo ściskając w dłoni rękojeść siekiery. W końcu stanął naprzeciwko otwartego pokoju, uruchamiając w mózgu reakcję *déjà vu*.

Oto znów przyszło mu patrzeć na mieszkańców wioski ustawionych dookoła siedzącej na krześle osoby. Wszyscy nieruchomi, niemal jak manekiny, z głowami spuszczonej na centralną postać przedstawienia. Zasłaniaли ją własnymi ciałami jak mur, nie pozwalając detektywowi dostrzec choć fragmentu jej ciała.

Rozejrzał się po pokoju i już po chwili ujrzał czerwoną suknię, ale ubrana w nią kobieta nie siedziała na krześle, tylko leżała na połowym łóżku ustawionym pod ścianą. Leżała we własnej krwi, wyciekającej jej z przeciętych nadgarstków, targana ostatnimi przedśmiertnymi spazmami. Jej opadający na podłogę wieczorowy strój niemal zlewał się kolorem z ciemnoczerwoną posoką.

Natalia Wolczak. Nie zdążył.

Córka klienta nie żyła. Po dziecku ani śladu. Zlecenie dobiegło końca.

Nie każde zakończenie musi być szczęśliwe.

Nagle coś wyrwało go z apatii. Ponure twarze wszystkich zebranych odwróciły się w jego stronę w tym samym momencie, jakby na rozkaz. Wśród nich był Marcel i sam doktor Nawara. W murze pojawiła się szczelina i w końcu dostrzegł kobietę na krześle.

Kobietę, która tym razem nie miała na sobie pięknej sukni, a ubłocone dzinsy i jeden rozsznurowany but.

– Nie... – wydukał cicho.

Mariola. Najbliższa ze wszystkich mu osób.

– Szukałem cię, sukinsynu – odezwał się mięśniak, wychodząc przed szereg, jakby starając się zasłonić zgromadzonych własnym ciałem. – Myśleliśmy, że nam uciekłeś. – Spojrzał na trzymane przez Mejzę narzędzie. – Co ty robisz, do cholery?

Maks dyszał ciężko, patrząc groźnie spod mokrych włosów. Krople wody ściekały na drewnianą posadzkę.

– Maks, odłóż to – włączył się Nawara. – Pogadajmy.

– Nie mamy o czym gadać, skurwiele. Odejdźcie od niej.

– Maks, nie wiesz nawet, co my tu...

– Wszyscy won!

Krąg przestraszonych twarzy się rozluźnił, odsłaniając siedzącą na krześle byłą żonę. Kobieta spojrzała Maksowi prosto w oczy. Było widać, że płakała. Detektyw dopiero po chwili dostrzegł trzymany w jej dłoni nóż.

– Mariola, co ty robisz? – zapytał.

– Sonia... – Z jej oczu popłynęły kolejne łzy, cały czas gładziła się po brzuchu. – Dlaczego mi ją odebrałeś, Maks? Dlaczego odebrałeś mi ją po raz drugi?

– Odłóż ten nóż, kochanie. Słyszysz? – Jego twarz zalała się łzami. Zauważył, że Marcel wykonał krok w jego stronę. – Nie podchodź! – krzyknął, robiąc zamach siekierą. Mięśniak odskoczył przerażony.

Dziewczyna spojrzała spanikowana na Nawarę, ten wydawał się dziwnie spokojny. Tylko kiwnął głową, patrząc jej głęboko w oczy, jakby dając pozwolenie.

– Skarbie, spójrz na mnie. – Maks spróbował na powrót przyciągnąć jej uwagę. – Skarbie, nie rób tego. Podali ci jakieś środki, nie myślisz trzeźwo. Nie wiem, co ci powiedzieli, ale twojemu dziecku nic nie jest, tylko tak ci się wydaje. Potrzebujesz zobaczyć się z lekarzem i wszystko będzie w porządku. Mariola, proszę, wsłuchaj się w mój głos.

– Poczułam, gdy stanęło jej serce... Ja wiem, Maks. Wiem, gdy ono umiera. Ja już to kiedyś czułam. Ja nie dam rady tak dalej, ja nie...

– Pomyśl o mężu, który został w domu. On na pewno mocno się martwi. Ja się mocno martwię. Namieszali ci w głowie, rzuć ten nóż, skarbie... Proszę.

Mariola wpatrywała się w niego przez moment, jakby zobaczyła ducha.

– Rzuć, kurwa, ten nóż! Słyszysz mnie?!

Ponownie spojrzała na Nawarę. Ten ponownie skinął głową.

Powoli przeciągnęła ostrzem po wewnętrznej stronie nadgarstka. Metodycznie, w skupieniu.

Najpierw jednego.



Potem drugiego.

Z przeciętych żył popłynęły dwa strumienie krwi. Krwi, która w tym świetle zdawała się czarna jak smoła.

W tym momencie wszystko ucichło. Czas na moment przestał płynąć. Płynęła tylko krew. Nie było krzyku, płaczu, tryskającej w górę posoki, niczego, co nadałoby tej scenie jakąkolwiek wzniosłość, jakikolwiek dramatyzm, tak bardzo potrzebny umysłowi do poradzenia sobie z tym, co widzi. Była tylko niespiesznie lejąca się krew z przeciętych kawałów mięsa.

Mejza poczuł, jak miękną mu nogi. Cała nagromadzona pod powierzchnią skóry złość, która sprawiała, że jeszcze jakoś utrzymywał się na nogach, uleciała w jednej chwili. Ostatnim zrywem sił rzucił się z siekierą w krąg otaczających Mariolę osób, ale uderzenie Marcela było zbyt szybkie, zbyt celne. Zachwiał się i opadł na kolana, patrząc, jak życie jego byłej żony powoli kapie na podłogę.

Wszyscy mieszkańcy wioski trwali przy niej jak strażnicy. Niektórzy cicho łkali, niektórzy się uśmiechali, jak rodzice, z tęsknotą obserwujący znikającą w murach szkoły pociechę w jej pierwszym dniu nauki. Zdecydowana większość po prostu milczała.

Wstał i ostatkiem sił znów spróbował się do niej przebić, ale kolejny cios sprawił, że nagle zrobiło się bardzo ciemno. Leżał przez chwilę jak sparalizowany, gdy otworzył oczy, wpatrywała się w niego ta bezlitosna kupa mięcha.

– Wciąż możemy jej pomóc – wyszeptał Mejza zrezygnowanym głosem, krztusząc się krwią z wybitych zębów i przełamując martwą ciszę panującą w pokoju. – Możemy opatrzyć ranę i...

– Dlaczego mielibyśmy chcieć to zrobić, detektywie? – odparł doktor. – Czy sam nie próbowałaś zrobić tego samego, co ona? Czy chciałaś wtedy, żeby cię ktoś powstrzymał? Musisz zrozumieć jedno. Zrobiła to dobrowolnie.

– Dobrowolnie? – Maks prychnął zrezygnowanym, załamany głosem. – Dobrowolnie? Ty skurwielu...

– Nigdy nie chcieliśmy, żebyś stał się częścią tego, co tu robimy. To ty zacząłeś węszyć, nie zostawiając nam wyboru. Kto jak kto, ale ty, detektywie... Myślałem, że zrozumiesz...

– Mariola... – Mejza zwrócił się do niej, wciąż leżąc na plecach i walcząc z wiszącym nad nim jak kostucha omdleniem. Krew z przeciętych nadgarstków wciąż kapała, teraz niemal w niej pływał. Była ciepła, a im cieplej było teraz mu, tym chłodniej musiało być jej. – Proszę, mów do mnie... Mariola...

– Zimno mi – usłyszał słaby głos byłej żony. Głowa opadła jej na ramię. Czarna posoka ściekała z ramion na kolana, po łydkach i kostkach. Jej trampek nasiąkał

czernią jak gąbka.

– Wiem, skarbie – odparł doktor, gładząc ją po włosach. – Niedługo będzie po wszystkim.

– Ja... – dodała łamliwym głosem. – Ja nie chcę...

– Już cicho, skarbie. Zaraz będzie...

– Boję się. Ja... Ja nie chcę...

Mejza przewrócił się na brzuch i podniósł wzrok. Czarny od krwi trampek i czarna od krwi skarpetka, tylko tyle mógł dostrzec.

– Słyszałeś ją! – krzyknął do doktora. – Pomóż jej! Wciąż jest...

– Milcz! – wrzasnął Nawara. – Nie wtrącaj się!

– Pomóż... – odezwała się znowu kobieta. Jej głos zdawał się powoli nikać.

– Pomóżcie jej, do kurwy nędzy! – Mejza zerwał się na nogi, podnosząc siekiere, ale momentalnie poczuł zaciskające się na nim z tyłu ramiona. Marcel zaszedł mu za plecy. Próbował się wyrwać, ale nie był w stanie. Mięśniak nacisnął na ranę, sprawiając, że narzędzie wypadło mu z ręki.

Szamocząc się w żelaznym uścisku, spojrzał Marioli prosto w oczy. Coraz bardziej mętne. Sześć osób zebranych dookoła niej tylko się przyglądało. Wszyscy pozostawali głusi na nawoływanie detektywa.

– Co jest z wami, kurwa, nie tak?! Pomóżcie jej!

Żadne krzyki nie miały tu już sensu. Po chwili było po wszystkim. Plama krwi przestała się przemieszczać. Wszyscy cofnęli się na tyle, żeby nie ubrudzić sobie butów. Twarz Marioli zastygła w grymasie przerażenia, wywołując dziwne, nienaturalne uczucie, że zaraz się zmieni, że już za moment mrugnie albo zamknie usta, ale nic takiego nie miało miejsca. Nie żyła. A przed śmiercią odczuła niewypowiedziany strach, spinając klamrą historię kolejnego bytu. Rodzimy się w strachu i umieramy w strachu. Tylko on towarzyszy nam od początku do końca.

Doktor podszedł do niej i delikatnie nacisnął opuszkami palców na otwarte powieki, zamykając je. Teraz wyglądała już dużo spokojniej. Razem z dwoma innymi mężczyznami unieśli jej ciało. Delikatnie, jakby obchodząc się ze świętą relikwią. Przenieśli je do drugiego pomieszczenia.

Mejza przestał się wyrwać, nie było już sensu. Marcel zwolnił nieco uścisk, pozwalając mu stanąć stabilnie na nogach, po czym wykopał siekiere na drugi koniec pokoju. Bez potrzeby, detektyw i tak nie wyglądał na takiego, co ma jeszcze ochotę walczyć.

Trwali tak w ciszy kilka minut, każdy próbował ułożyć sobie to, czego właśnie był świadkiem, na swój sposób. Po chwili do pokoju wrócił Nawara. Obdarzył Marcela przygnębnym spojrzeniem, po czym popatrzył na Mejzę.

– Co z nim robimy? – zapytał mięśniak, ponownie zaciskając chwyt.

– Próbowałem z nim porozmawiać – odparł doktor. – Myślałem, że myśli jak jeden z nas.

– Nie możemy go puścić. Pójdzie z tym wszystkim na policję, a wiesz, co to będzie oznaczało.

– Wiem.

– Będzie oznaczało konsekwencje. Nie mam zamiaru skończyć w celi jak Wiesław. Mówiłeś nam, że zaznamy życia bez konsekwencji, tak długo, jak będziemy gotowi w każdej chwili je zakończyć. Tak się składa, że ja jeszcze nie odhaczyłem wszystkiego z listy rzeczy, które chciałbym zrobić, więc nie chcę, żeby policja przyspieszyła moją decyzję o odejściu.

– Wiem o tym, Marcel. Wszystko przecież wiem...

– To co z nim zrobimy? To samo, co z tamtym? Przecież to też problem, którym trzeba się zająć.

Mejza nagle jakby się ocknął.

– Gdzie jest dziennikarz? – zapytał słabym głosem.

Doktor podszedł do Maksa, przyglądając się jego wykręconej w grymasie bólu twarzy. Westchnął głęboko, poprawiając okulary. Marcel wciąż wykręcał detektywowi ręce za plecami.

– Nie jestem mordercą, Marcel – rzucił Nawara, przenosząc wzrok na mięśniaka. – Ty też nie. To, co robiliśmy do tej pory, to nie były zabójstwa. Nie da się zabić nienarodzonych. Ten tutaj już się narodził, ja nie mogę tak po prostu...

– Może pora, żebyśmy i my ubrudzili sobie dłonie? Tak jak pozostali chłopcy? Tak jak Wiesław i Blondyn. Dziennikarz i tak wykituje w zamknięciu, jeśli nie zdecydujemy, co z nim zrobić. – Zerknął w stronę masywnej szafy stojącej w pokoju. Dopiero teraz Mejza zauważył, że dochodzi z niej dziwne przytłumione stukanie. – Tak go faszujemy, że przestał jeść. Nie jadł i nie pił od dwóch dni. Chcesz tak samo trzymać tego detektywa?

– Nie. Może dziennikarza chociaż da się urobić, dla tego tutaj nie ma już nadziei.

– To oddajmy dziennikarzowi pokój detektywa. Nie możemy go trzymać tutaj. Nie ma jak rozprostować nóg. Leży... On leży we własnym gównie. Nie powinno się tak trzymać ludzi... To... To...

– Już dobrze, Marcel. Spokojnie. – Nawara pogłaskał mięśniaka po drgającej twarzy. – Przeniesiemy dziennikarza do pokoju. Był tutaj tylko przez kilka dni, bo był agresywny. Narkotyki nie działały na niego tak mocno jak na innych i ciągle się rzucał. Przecież wiesz, że inaczej nigdy bym tak nikogo nie potraktował.

– Nie można ludzi trzymać w takich warunkach...

– Wiem... Wiem. Już dobrze...

– Więc zróbmy coś.

Nawara westchnął, ponownie spoglądając na Maksa.

– No dobrze, detektywie, damy ci szansę dokończyć to, co zacząłeś – wyrzekł mu prosto w twarz. – Posadźcie go na krzesło! – rozkazał mężczyznom, którzy przed chwilą pomogli mu wynieść ciało Marioli do drugiego pokoju.

Mejza po raz kolejny zaczął się wyrwać, ale napięte do granic możliwości mięśnie Marcela były jak stalowe węzły, zaciskające się tym mocniej, im mocniej próbował z nim walczyć. Pozostała dwójka chwyciła go za nogi i wspólnymi siłami posadzili go na krzesło, na którym jeszcze przed chwilą dogorywała jego była żona, a wcześniej pewnie córka klienta. Wszyscy brodzili w kałuży ich krwi.

– No dobra, detektywie... Pozwolimy ci zrobić to po twojemu. Po męsku. Jak gliniarz, którym kiedyś byłeś. – Doktor wyszedł do pokoju obok, by po chwili wrócić z zawiniętym w ścierkę pakunkiem. – To pamiątka po naszym dawnym przyjacielu – rzucił, niespiesznie odwijając materiał. – Był policjantem. – Odsłonił rękojeść pistoletu. Policyjny walther P99.

Mejza szarpnął się, próbując odsunąć krzesło jak najdalej od broni. Bezskutecznie. Marcel chwycił go za dłonie, boleśnie je wykręcając. Pozostali starali się trzymać go nieruchomo. Kulturysta coraz bardziej przysuwał dłonie detektywa w stronę jego twarzy. Mejza czuł, jak mięśnie palą go żywym ogniem, jakby ktoś przypiekał mu ramiona palnikiem. Siłowanie się z Marcelem było z góry przegraną sprawą. W końcu Nawara wcisnął mu w dłonie policyjny pistolet. Maks instynktownie nacisnął za spust od razu, gdy tylko poczuł go pod palcem i wciąż miał doktora na linii strzału.

– Chyba nie miałeś mnie za aż tak głupiego? – zapytał Nawara, patrząc, jak detektyw bezskutecznie naciska na spust zabezpieczonego pistoletu.

Marcel zacisnął dłonie Mejzy na rękojeści i powoli, konsekwentnie łamiąc jego opór, przysuwał lufę walthera pod jego podbródek. Bezpiecznik opadł w dół z cichym klikciem.

Moment, w którym zimna lufa dotknęła skóry pod żuchwą, przypominał kopnięcie prądem. Mejza poczuł, jak opuszcza go resztką siły, przestał stawiać opór, palec manewrował chaotycznie, starając się nie dotknąć spustu.

– Wystarczy nacisnąć, detektywie – odezwał się Nawara, w napięciu przyglądając się scenie.

Maks poczuł, jak Marcel chwyci go za palec wskazujący prawej dłoni i delikatnie kładzie na spuście. Nie siłował się, nie chciał przypadkowego wystrzału.

– Na własnych warunkach. – Głos Nawary zdawał się w tym momencie dochodzić jakby z drugiego pomieszczenia.

Może mieli rację? Może naprawdę lepiej byłoby to skończyć tu i teraz? Na własnych warunkach. Nie zostało tu już nic, dla czego chciałby żyć, więc po co... Po prostu po co?

Palec Marcela spoczął na palcu Maksa. Ciężar opadający na spust był coraz większy. Nie był w stanie stwierdzić, czy to on sam zgina palec, czy zmusza go do tego mięśniak. Język spustowy płynnie zmierzał do końca swej drogi.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Huk wystrzału rozszedł się po pomieszczeniu w przebijającej błony bębenkowe eksplozji.

Mejza poczuł dziwną lekkość. Jakby wszystkie więzy trzymające go na tym świecie właśnie puściły.

Otworzył oczy.

Wciąż był w stanie je otworzyć.

Ujrzał dziurę w antycznej dwudrzwiowej szafie, którą miał przed sobą. Wielką niemal jak ślad po ludzkiej pięści. Otępiający pisk świdrował mu czaszkę. Dopiero po chwili mógł zestroić się z otoczeniem na tyle, że wyłapał rozchodzące się po pokoju krzyki.

– Nie ruszać się! – dochodziło do niego jakby z końca długiego korytarza. – Policja! Rzuć to!

Instynktownie spróbował rzucić trzymany jeszcze przed chwilą w dłoniach pistolet, ale gdy spojrzał w dół, już go tam nie było. Obrócił się na krześle w stronę drzwi. Ujrzał policjantkę, tę samą, z którą zapoznał go Różycki. W jej rozedrganych dłoniach klekotała służbowa broń. Twarz, pełna mieszanki skupienia i przerażenia, wpatrywała się w coś obok niego. Wciąż oszołomiony spojrzał w bok. Ujrzał Marcela celującego w policjantkę. Oboje mierzyli się wzrokiem. Cała reszta zgromadzonych w pokoju osób zamarła w jednej pozycji.

– Rzuć to, do kurwy nędzy! – rozkazała ponownie Ewa. Jej przerażenie manifestowało się w latającej niemal po całym pokoju lufie policyjnej spluwy.

W oczach mięśniaka można było dostrzec panikę. Nie rozumiał, co się dzieje i dlaczego się dzieje. Jego dłonie nie drgały. Rozumiał, że droga jest już tylko jedna. Wiedział to już wtedy, gdy próbował pomóc Maksowi rozlać swój mózg po pokoju.

Nagłe westchnięcie policjantki przeraziło chyba wszystkich zgromadzonych. Jakby zobaczyła ducha. Mejza przyglądał się jej przez chwilę, jak próbuje zerkać raz na trzymającego ją na muszce napastnika, raz na antyczną szafę tuż za nim.

– Co to jest?! – zawołała.

Wszyscy milczeli. Mejza zauważył, jak odwracają wzrok. Nikt nie chciał patrzeć ani na przedstawicielkę prawa, ani na szafę, którą wskazywała pistoletem. Jedynie Marcel wciąż tkwił w jednej pozycji, jak posąg wyrzeźbiony na kształt trzymającego broń żołnierza.

– Co to, kurwa, jest?! – zawołała ponownie. – Co?!

Mejza powoli odwrócił głowę. Ujrzał dziurę po kuli w drewnianych drzwiczkach szafy. Tę samą, którą wybiła policjantka swoim strzałem ostrzegawczym. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że szafa była...

...ranna.

Spod mebla sączyła się krew, wypływała pulsacyjnie jak z żywego organizmu.

W tym momencie podłoga w pokoju przypominała już niesprzątaną od miesięcy rzeźnię.

\* \* \*

Policjantka ostrożnie obesza zgromadzonych, nie zdejmując palca ze spustu. Cały czas celowała w Marcela, a Marcel w nią. Podeszła do szafy.

– Odsuń się! – rozkazała mięśniakowi.

Ten posłusznie wykonał kilka kroków w tył, pozwalając jej przyjrzeć się meblowi. Palcami lewej ręki dotknęła szafy, potem wyciekającej spod drzwiczek krwi, prawa dłoń nieustannie dzierżyła pistolet. Zbladła, patrząc raz na Marcela, raz na swoje ubrudzone posoką palce. Oddychała ciężko. Po chwili schowała pistolet do kabury i patrzyła przez chwilę Marcelowi prosto w oczy, jakby starając się wybadać, czy ten naprawdę gotów jest władować w nią kulę. Najwyraźniej uznała, że nie jest.

Otworzyła drzwiczki.

Zasłoniła usta dłońmi i odskoczyła. Zwymiotowała niecały metr dalej.

Z szafy wypadły zwłoki. Skrępowane i zakneblowane ludzkie ciało. Z dziurą po kuli na samym środku czoła.

Zalany krwią Różycki tkwił tam z przestrzeloną twarzą. Zanim dosięgła go kula strzału ostrzegawczego, musiał wciąż jeszcze żyć.

– Skurwysyny! – Policjantka podniosła się z podłogi i po raz kolejny zaczęła wymachiwać bronią. Tym razem celowała już w każdego w środku, w tym w siedzącego na krześle Mejzę. Jej twarz zalała się łzami. – Skurwiele! – krzyczała, ledwo utrzymując się na nogach.

Wszyscy mieszkańcy wioski cofnęli się pod ścianę. Przerażeni, że pistolet policjantki może wystrzelić w każdego, w każdej chwili.

Marcel spojrzął na Nawarę. Porozumiewali się bez słów. Doktor skinął tylko lekko głową.

– Dobra, jebać to wszystko – rzucił mięśniak przez zaciśnięte wargi, po czym napiął sylwetkę i owinął palec wokół spustu.

Wystrzelił.

Dokładnie w momencie, w którym Mejza, wciąż siedząc, kopnął go w bok kolana.

Chybiony pocisk powędrował gdzieś pod sufit. Pograżona w bitewnym szale i nastawiona już tylko na przetrwanie tego meksykańskiego stand-offu, policjantka zablokowała celownik na upadającej kupie mięśni. Władowała w Marcela pięć kul. Każdy kolejny pocisk targał jego ciałem w sposób przypominający uderzenie w świńską tuszę wiszącą w rzeźni. Wydawało się, że policjantka chciała podziurawić i wykończyć nie tylko człowieka, ale też ulatującą z niego duszę.

Wybuchła panika. Wszyscy mieszkańcy ruszyli w stronę wyjścia jak spłoszone stado dzikich zwierząt. Mejza wciąż siedział na krześle i przyglądał się ociekającemu krwią ciału Marcela. Po chwili podniósł wzrok. Policjantka, niepotrafiąca zrozumieć, co się wydarzyło, teraz celowała prosto w niego. Spojrzał jej prosto w oczy.

– Nawara... – powiedział cicho. – Nie można pozwolić mu uciec.

Ewa milczała, starając się opanować drżenie całego ciała. Kątem oka próbowała przyjrzeć się zwłokom na podłodze.

– Teraz wstanę i podniosę broń – dodał, powoli podnosząc się z krzesła z dłońmi uniesionymi do góry. – Trzeba zatrzymać doktora.

Policjantka nie odpowiedziała. Maks schylił się po pistolet zastrzelonego mięśniaka, po czym sprawdził stan amunicji. Poczł się pewnie. Choć minęły lata, nie zapomniał, jak go trzymać. Roztrzęsiona policjantka padła na kolana, kompletnie go ignorując. Nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, opuścił pokój i wypadł na korytarz.

Przestrzeń dookoła była pusta. Wszyscy zdążyli wybiec na zewnątrz. Już chwycił za klamkę od drzwi wyjściowych, gdy kątem oka dostrzegł, że wcześniej zamknięte drzwi prowadzące do piwnicy są uchylone. Strzegąca ich żelazna kłódka leżała na ziemi. Wycelował przed siebie i kopnął w zbite z desek drzwi, odsłaniając przed sobą ciemne schody prowadzące w dół. Zaczął schodzić.

Największe zło zawsze czaiło się gdzieś pod powierzchnią.

Stopień po stopniu zanurzał się coraz głębiej w wilgotnym mroku piwnicy. Szalejące do niedawna na zewnątrz upały zdawały się w tej chwili dotyczyć jakiegoś zupełnie innego świata, nie tego, w którym się znalazł. Na dole rozpostarł się przed nim labirynt korytarzy, ledwie tylko oświetlony bladym światłem odpalonych gdzieś tam świec. Zapalone knoty były jak ścieżka prowadząca go do otwartych drzwi na samym końcu jednej z odnóg labiryntu.

Ani na moment nie przestawał celować, choć ciężko było mu opanować drżenie prawej ręki. Cieknąca rana paliła go w tym momencie żywym ogniem.

– Nawara! – wykrzyczał, widząc przed sobą otwartą komnatę. – Nawara, jesteś tam?! To koniec! Słyszysz?!

Powoli zajrzał do środka, ale nie potrafił dostrzec niczego poza nieskończoną czernią. Oczy odwykały od ciemności równie szybko, jak potrafiły do niej przywyknąć. Jedynie przedsiónek oświetlony był wpadającym z korytarza światłem świecy.

Już chciał się wycofać, gdy nagle coś go zaatakowało.

Z ciemnego kąta ruszył na niego niewielki cień, coś jakby zwierzę. Usłyszał agresywne warknięcie, po czym coś pchnęło go na jedną ze ścian, jednak na tyle lekko, że nie stracił równowagi. Zdążył jedynie kopnąć atakujący go cień, tak że ten, dziwnie skomląc, uciekł z powrotem do ciemnego kąta.

Dźwięki, jakie wydawało zwierzę, były niezwykle, przerażające i jakby... ludzkie. Wycelował w stronę odgłosów i już miał naciskać na spust, gdy usłyszał głos Nawary.

– Już dobrze – powiedział doktor łagodnym głosem. – Nie bój się.

Pomieszczenie nagle rozbłysło w blasku podpalonej świecy. Nawara jedną ręką odpalał kolejne stojące na stole świeczniki, drugą głaskał po głowie coś... kogoś...

Dziecko – ubraną w obdarte łachmany, wtulającą się w niego z przerażeniem sześciolatkę...

Mejza zamarł w bezruchu, wciąż celując w dwie sklezione ze sobą ciemne sylwetki.

– Opuść tę broń, detektywie – odezwał się po chwili Nawara, podpalając ostatnią świecę i nie patrząc nawet w jego stronę. – Nikogo tu nią nie przestraszysz.

Maks nie posłuchał. Przyglądał się dłoni doktora, delikatnie gładzącej krótkie włosy dziewczynki. Dziecko wpatrywało się w niego z mieszanką strachu i agresji. Sześciolatka była nienaturalnie blada. Jej dziwnie powykręcane, kościste kończyny i tułów sprawiały w tym świetle przerażające wrażenie, przywodzące na myśl coś wyjątego wprost z sennego koszmaru.

Tak nie wygląda człowiek.

– Czy... – Mejza z trudem przepchnął przez krtań kolejne słowa. – Czy to...

– Dziecko, którego pan szuka? – dokończył Nawara, głaszcząc dziewczynkę i ocierając jej usta z błyszczącej w blasku świecy strużki śliny. – Tak. To córka Natalii. Gratuluję, wykonał pan swoje zadanie.

– Ale...

– Co pana tak dziwi?

– Ja...

– Wciąż może pan odejść. Może nas pan tu zostawić.



– Milcz, skurwielu. Ani słowa więcej. – Wycelował prosto w Nawarę. – Odsuń się od niej.

Nawara nie usłyszał.

– Już! – krzyknął ponownie Mejza, sprawiając, że dziecko zawyło żałością i jeszcze mocniej przyłgnęło do doktora.

– Nie widzisz, detektywie, że ona się ciebie boi? Nie wiem, jakie możliwe scenariusze urodziły się w pana głowie, ale zapewniam, że nie robię jej tu krzywdy.

– Trzymasz ją w pierdolonej piwnicy! Powtarzam ostatni raz, odsuń się od dziecka.

– Chronię je.

– Chronisz? Oszalałeś, Nawara, przysięgam, że...

– Tak. Przed cierpieniem. Przed tym przeklętym biologicznym paradoksem, jakim stała się ludzka egzystencja. Nie mogłem pomóc jej inaczej, Natalia zbyt długo nie potrafiła podjąć decyzji o usunięciu ciąży, więc... Dziewczynka musiała się narodzić. Teraz możemy już tylko łagodzić jej ból.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– O samoświadomości, detektywie. Natura dała nam więcej, niż byliśmy w stanie dźwignąć. Człowiek jako jedyne zwierzę na tym świecie nie jest w stanie dłużej normalnie funkcjonować. Staliśmy się zbyt świadomi. Jako jedyny gatunek dostrzegamy rzeczywistość taką, jaką jest naprawdę. Analizujemy przeszłość nam podobnych i widzimy, że naszym jedynym celem... Naszym ostatecznym przeznaczeniem jest umrzeć. I pomimo całej tej wiedzy wciąż pragniemy żyć... I to jest właśnie ten biologiczny paradoks. Szukamy sensu i celu w świecie, w którym sensu i celu zwyczajnie nie ma. Wstajemy z łóżka i wciąż istniejemy jako gatunek wyłącznie dlatego, że wykształciliśmy w sobie mechanizmy obronne, które zagłuszają ten uporczywy głos w naszych głowach. Głos, który pyta nas: „po co?”. Problem zaczyna się wtedy, gdy bariera upada i nic nie jest w stanie przekrzyczeć tego głosu.

– Co zrobiłeś dziecku? – Mejza spojrział na małą. – Co on ci zrobił? Słyszysz?! Jak ci na imię?

Nawara spoglądał dziewczynce prosto w oczy i wciąż gładził po głowie, wyraźnie ją uspokajając.

– Nie odpowie panu, detektywie. Nigdy nie nauczyłem jej ludzkiej mowy.

– O czym ty...

– Miałem tylko jedno wyjście. Musiałem upodobnić ją do innych zwierząt. Tych bardziej prymitywnych, innych niż człowiek. Tylko tak można było oszczędzić jej cierpienia. Dziewczynka nie ma imienia. Nigdy też nie widziała zewnętrznego świata ani nawet własnego odbicia. Ta piwnica i ja... To jej cały świat. Tutaj nigdy nie spotka jej żadna krzywda. Nigdy też nie będzie cierpiała tak jak my. Nie zazna uczucia

złamanego serca. Nie zazna głodu i biedy. Nie zazna szykan rówieśników w szkole. I w końcu... Nie zazna tego momentu, w którym zda sobie sprawę, że to wszystko było na nic... Rządzą nią tylko najprostsze instynkty. Nigdy nie będzie się zastanawiała, jaki jest cel tego wszystkiego. Nigdy nie pomyśli, czy warto dalej żyć. Rozumie pan? Świadome życie jest niczym innym jak bezcelowym cierpieniem! Jako gatunek zmierzamy donikąd. Możemy po prostu przestać się oszukiwać. Zakończyć to!

Mejza milczał.

– Dziewczynka szybko nie doszłaby sama do podobnych wniosków. Musiałem jej pomóc, tak jak potrafiłem...

Maks spuścił głowę. Opuścił broń i powoli podszedł do klęczącego Nawary splecionego w uścisku z dziewczynką. Przystawił doktorowi lufę do czoła. Głowę wypełniała mu pustka. Czuł, że najlepsze, co może teraz zrobić, to odesłać obie złączone ze sobą postacie na tamten świat.

Zakończyć cierpienie.

– Miałem kiedyś syna – odezwał się Nawara, jakby majaczył, patrząc trzymanemu dziecku prosto w oczy. Jednak jego wzrok widział chyba w tym momencie coś znacznie bardziej odległego. Jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z dotyku zimnej stali na cienkiej skórze okalającej jego czaszkę. – Urodził się tylko po to, żeby cierpieć i sprawiać cierpienie innym. Przez całe siedem lat swojego życia był przykuty do łóżka. Siedem lat. Żeby pan słyszał jego krzyki w nocy, detektywie... Żeby pan to tylko słyszał... Wie pan, jak czuje się rodzic, którego dziecko tak mocno cierpi i nie może nic z tym zrobić? Prosił mnie tylko, żeby ból się skończył. Raz powiedział, że wolałby się nigdy nie urodzić... Że żałuje. Gdy przykładalem poduszkę do jego drobnej twarzy, walczył tak mocno, że do dziś się zastanawiam, czy naprawdę chciał to za...

Szczęk odciąganego kurka policyjnego walthera przeciął monolog doktora jak katowski topór głowę skazańca. Nawara podniósł głowę, jakby wyrwany z innego świata. Spojrzał Maksowi prosto w oczy.

– Proszę. – Złapał Maksa za rękaw. – Proszę, pozwól nam odejść. Ja... Ja nie zrobiłem nic złego... Nikogo nie zabiłem. To wszystko... Oni wszyscy... Ci zakopani na polu... To oni sami.

– Ty pierdolony tchórze...

– Dziewczynka nie ma nikogo oprócz mnie. Słyszysz!? Jej matka... Ona leży teraz na górze. Powiedziała ci, kto jest ojcem tego dziecka? Powiedziała?! Myślisz, że czemu uciekła od tego twojego klienta, co?! Myślisz, że co jej robił? Do czego zmuszał? Własną córkę, która nie prosiła się na ten świat! Powiedział ci, że to wcale nie jego wnuczka?! Nie wnuczka... Nie wnuczka... Może byś zrozumiał, dlaczego Natalka

zrobiła to, co zrobiła... Proszę, nie możesz pozbawić małej opieki. Proszę... Nie możesz zabrać jej jedynej osoby, która ją rozumie!

Doktor próbował kupić trochę piasku do swojej przesypującej się właśnie klepsydry. Niestety, Mejza nie miał już na sprzedaż nawet ziarenka.

Detektyw zamknął oczy i zacisnął palec na spuście. Wstrzymał oddech, jednak huk wystrzału znowu przyszedł wcześniej, niż zdołał go wywołać.

Przerażający dźwięk rezonował wśród ścian jeszcze przez długą chwilę.

Doktor padł jak na rozkaz, przyodzabiając ścianę za sobą czerwonym kleksem, przypominającym test Rorschacha. Dostał prosto między oczy, chlapiąc ciepłą krwią w twarz detektywa. Mostek jego okularów pękł, przepoławiając je na dwie równe części.

Policjantka stanęła w wejściu do pomieszczenia, po czym podeszła jeszcze kilka kroków i wystrzeliła kolejne trzy razy, jakby upewniając się, że martwy już takim pozostanie. Dziecko krzyknęło w panice, spłoszone jak zwierzę, po czym rzuciło się na ciało Nawary, skomląc cicho i płacząc z cierpienia. Cierpienia, którego miano mu oszczędzić.

Detektyw i policjantka przyglądali się tej scenie przez zdającą się ciągnąć w nieskończoność chwilę.

– Jak długo tam stałaś? – zapytał Mejza, nie podnosząc wzroku.

– Wystarczająco długo.

– Czy tam w szafie dobrze widziałem...? Czy to był Różycki?

– Tak...

– Jak tu trafiłaś? Skąd wiedziałaś, że tu...

– Nie wiedziałam. Jakiś zaprzyjaźniony z tobą gliniarz zgłosił zaginięcie, nieoficjalnie, ale pytał, czy nie kręcisz się gdzieś po barach w mieście. Chyba uznał, że poszedłeś w cug... Mówił, że ci się to zdarza i nie odbierasz telefonów... Na początku miałam to gdzieś... Zresztą byłam tu niedługo po tym, jak zniknął... Jak zniknął Piotr... I nie chciałam sprawdzać tej dziury ponownie, ale ten gliniarz wciąż dzwonił i dopytywał, więc w końcu się zebrałam. Mówił, że na pewno tu zaglądałeś. To miało być rutynowe sprawdzenie, chciałam zadać jeszcze kilka pytań i wrócić, ale... Gdy przechodziłam przez kładkę, zobaczyłam tego trupa i... I to, jak ktoś niedbale zasypał go ziemią... Deszcz wszystko odsłonił... Od razu wezwałam wsparcie, ale musiałam wejść do środka, gdy zobaczyłam ciało... Pomyślałam sobie wtedy, że może Piotr wcale nie opuścił wioski... Że dzieje się coś złego. Nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby znów stracić kogoś bliskiego... Ja... Ja nie mogłam czekać...

– Ocaliłaś mi życie. Jeszcze chwila i...

– Tylko on był przy mnie, gdy zmarła mi matka... – Ewa zdawała się błędzić gdzieś myślami. – Inne dzieci traktowały mnie jak trędowatą...

– Mówiłaś, że posiłki są już w drodze?

– Ten trup w rowie... Ktoś go udusił. Poznałam po śladach na szyi... Wiesz coś o tym?

Mejza spuścił wzrok.

– Znajdziesz tu wiele trupów – odparł po chwili. – Możesz uznać go za jedną z ofiar Nawary?

– To zależy... A ty możesz uznać, że strzelałam do doktora w samoobronie?

Kiwnął twierdząco głową, przez chwilę trwał w bezruchu, po czym odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się, gdy usłyszał znajomy klik wycelowanej mu w plecy broni.

– Jeśli chcesz, to strzelaj – rzucił, nie odwracając się. – Nie zostanę tu ani chwili dłużej.

– Nigdzie nie pójdziesz. Musimy ustalić wspólne zeznania. Jako świadek musisz zaświadczyć o mojej wersji...

– Nie musimy nic ustalać. Możesz powiedzieć im, co tylko chcesz.

– Co?

– Mnie nigdy tutaj nie było.

Wyszedł. Gdy dotarł na górę, przez chwilę wpatrywał się w korytarz prowadzący do pokoju z krzesłem, ale nie znalazł w sobie siły, by zajrzeć tam ponownie. Martwym na nic zda się teraz jego towarzystwo...

Ruszył na zewnątrz. Wciąż padało, ale nie przejmował się spływającymi po brwiach strużkami wody. Przeszedł kawałek pustym placem, na moment zatrzymując się przy pomniku anioła. Oklepał kieszenie spodni w poszukiwaniu papierosów, po czym włożył sobie jednego przemoczonego w usta. Chciał paść na kolana. Paść i strzelić sobie w łeb.

Usłyszał szczeknięcie. Wykrzesując z siebie resztkę sił, poszedł dalej, odwiązał dwa uwiązane do płotu psy, po czym, nie oglądając się za siebie, ruszył z nimi w stronę miasta.

\* \* \*

Gdy wszedł do baru, kilkoro siedzących bliżej wyjścia gości natychmiast wyszło, jakby w strachu.

Prowadzając na smyczy kundły, kroczył powoli alejką prowadzącą do kontuaru, nie rozglądając się dookoła. Cała trójka ociekała deszczem. I on, i psy.

Usiadł na wysokim krześle pod barem. Psy usadowiły się grzecznie tuż pod nim. Przerażony barman obserwował w ciszy ociekającego krwią i wodą klienta. Wyglądał,

jakby miał za chwilę złapać za telefon i wezwać pomoc, ale klient się odezwał.

– Podasz mi piwo? – zapytał Mejza, próbując gdzieś wymacać portfel.

– Nie potrzebuje pan pomocy? Pan... Pan krwawi...

– Nic mi nie będzie. – Wciąż szukał pieniędzy, gdy poczuł, jak ktoś klepie go w ramię. Odwrócił się. Ujrzał przysiadającego się na krzesło obok księdza Kozika.

– Nie kłopotz się z tym piwem – rzucił ksiądz w stronę barmana. – Nalej nam dwa drinki, na mój koszt. – Położył na ladzie zwitek banknotów, po czym kiwnął głową, jakby chcąc pokazać barmanowi, że sam zajmie się sytuacją. Właściciel baru przyjął to do wiadomości i zabrał się do nalewania whisky do niskich szklanek.

– Ciężki wieczór? – zapytał Kozik.

Nie odpowiedział.

– Wykonałeś zlecenie?

Mejza wciąż milczał. Spuścił wzrok.

– Rozumiem. Czasem jedyną rzeczą gorszą od szukania prawdy jest jej znalezienie.

Obaj stuknęli się szklankami, po czym wypili swoje drinki na hejnał. Barman natychmiast zajął się dolewką, z zaciekawieniem przysłuchując się rozmowie. Mejza podniósł wzrok na właściciela baru, po czym spojrzał na psy.

– Będą potrzebowały nowego domu. – Detektyw kiwnął głową w stronę czworonogów.

– Słucham? – zapytał barman.

– Zajmiesz się nimi?

– Ja... – Mirek obszedł bar i klęknął przed psami, które na jego widok zaczęły rytmicznie merdać ogonami. Mejza przekazał mu smycze, po czym wrócił do drinka.

– A co z dzieckiem? – zapytał ksiądz.

– Nigdy się nie narodziło.

– Rozumiem... To szkoda... Wielka szkoda...

– Tak myślisz?

– Dzieci zapewniają równowagę. Wprowadzają odpowiednią ilość dobra na świecie. Są dobre z natury. Zmieniają też nas, dorosłych. Czasem zmuszają nas do patrzenia na świat z ich perspektywy. Perspektywy, której nie potrafimy już sami dostrzegać. Uwierz mi, detektywie, bez nich zostałyby już tylko zło.

Obaj osuszyli swoje szklanki. Mejza obrócił głowę w stronę właściciela baru. Właśnie ze łzami w oczach głąskał zabrane doktorowi Nawarze psy.

– Szybko się zaprzyjaźniliście – skomentował ksiądz.

– Świat, w którym istnieją te stworzenia, nie może być złym miejscem – odparł barman z uśmiechem, wciąż głaszcząc czworonogi.

– Co dalej zamierzasz, detektywie? – Kozik skierował się z powrotem w stronę Mejzy. – Może zostaniesz z nami przez jakiś czas?

– Coś mi mówi, że w tym mieście może niedługo być dla mnie za gorąco. – Wstał z krzesła. – Dzięki za drinki.

Ksiądz kiwnął głową.

Mejza klepnął go w ramię, po czym ruszył w stronę wyjścia.

– Maks! – Głos księdza zatrzymał go, gdy już chwycił za klamkę.

Odwrócił się.

– Dzieci nie dadzą rady same. Do zapewnienia równowagi są też potrzebni dorośli, tacy jak ty. Nigdy o tym nie zapomnij.

Mejza nie odpowiedział. Pozdrowił jeszcze raz księdza skinieniem głowy, po czym zniknął w mroku nocy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Na kilka dni zaszył się w mieście nieopodal Stawirowa. Nikt go nie szukał, nikt nie dzwonił, nawet Głowacki, który czytając nagłówki artykułów, zapewne wiedział, że Mejza i tak nie jest w stanie odebrać i pewnie topi się w gorzale w jakimś obskurnym i brudnym hotelu. Choć Maks domyślał się, że jedyny przyjaciel i tak mu pomógł. Policja nie upominała się o niego, choć pewnie każdy w mieście wiedział, że węszył wokół posiadłości Nawary. Druga sprawa to to, że Ewce też nie zależało, żeby jego nazwisko wypłynęło. Nie potrzebowała świadka.

To dziwne, ale od śmierci Marioli minęły bóle głowy. Może to wpompowywana non stop do krwiobiegu woda, może fakt, że coś się zakończyło. Może cały ten ból powodowany był poczuciem winy, długu wobec drugiej osoby, którego nijak nie szło spłacić. Może tym, że coś głęboko w nim ciągle chciało, żeby spróbowali znowu, przypominając mu raz za razem o wydarzeniach tamtej nocy, a może był to duch małej Soni, nękający go zza świątów tak długo, jak miał się kogo na tym świecie trzymać...

W końcu ją pożegnał. Żałował tylko, że nie zdobył się na to wcześniej. Wiele rzeczy mogłoby wyglądać teraz inaczej.

Nie wiadomo, jak ból zniknął, zamknięty rozdział zniszczył też odpowiedzialne za ataki neurony. Tylko że jakoś wcale nie było mu z tego powodu lepiej. Do tej pory mógł traktować to jak karę. Teraz kara minęła, a grzechów na sumieniu nie ubyło. Brak kary to paskudne uczucie.

Z pogrzebu pamiętał jedynie urywki. Tylko tyle, że tamtego dnia ciągle coś się lało. Z nieba lał się rzęsy deszcz. Z oczu stojącego nad grobem czterdziestoletniego mężczyzny, który jednego dnia, tak jak i on, stracił żonę i nienarodzoną córkę, lały się łzy. A z butelki jacka daniel'sa wieczorem w barze lały się kolejne drinki.

W trakcie ceremonii Mejza stał z tyłu, daleko za rodziną, krewnymi i przypadkowymi osobami przechadzającymi się po cmentarzu. Nie brał udziału w uroczystości, nie sypnął na wieko opuszczonej trumny garści ziemi, nie złożył kondolencji facetowi, który złączył się z Mariolą po ich rozstaniu. Tylko stał i ścisnął w dłoni butelkę, starając się nie rozpaść na kawałki i nie zgorszyć nikogo swoją aparycją menela i smrodem gorzały parującym z ust. Gdy cmentarz opustoszał, podszedł do mogiły i pożegnał się na swój sposób. W ciszy, po prostu zapamiętując ten moment i kładąc na ubitej ziemi pojedynczą czerwoną różę, znacząc tym samym

kończącą się scenę. Czuł, że tak trzeba. Zrobić w mózgu stop-klatkę, zapisać obraz i ruszyć dalej.

Pamiętać.

Nad grobem zastanawiał się, czemu to zrobiła. Czy pchnęło ją do tego odurzenie narkotykami i zachęty doktora? Dni spędzone w zamknięciu zlewały mu się w jedno, wiecznie odurzony, wiecznie we śnie i majakach. Nie wiedział, czy Nawara miał czas popracować nad Mariolą, ale domyślał się, że tak. Czy to naprawdę była jej decyzja? Czy tak jak on nigdy nie poradziła sobie ze stratą nienarodzonego dziecka? Mała Sonia miała być spoiwem łączącym dwie oddalające się od siebie dusze, miała być powodem, dla którego warto było wstawać rano z łóżka i z mozołem brnąć do przodu, choć sił często brakowało. Mała Sonia dwa razy próbowała przyjść tu i ocalić swoją matkę od podobnego końca. Od końca w ziemi. Widać Mariola nie miała sił na kolejną próbę.

Uderzył go przeszywający trzewia smutek. Matka jego nienarodzonego dziecka spała już głębokim snem, nic jej po jego łzach. Nie zobaczy, jak bardzo cierpi. Nie wybaczy. Mimo to zalewany deszczem kopiec usypanej ziemi zroszyło kilka dodatkowych kropel.

Potem odszedł.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wnętrze biura pachniało kurzem i mocną kawą, której aromat rozwiewał się dookoła przez plastikowy wiatrak ustawiony tuż przy parującym kubku. Skwar powrócił na ulice miast, a wraz z nim ciągle zmęczenie, lepkość i irytacja.

Jeszcze nie był gotów wrócić do mieszkania, dlatego ze Stawirowa przyjechał wprost tutaj. Chyba bał się myśli, które przyjdą, gdy zostanie tam sam na sam ze sobą. Tutaj, na parterze ciągnącego się przez całą ulicę bloku, przynajmniej czuł się blisko ludzi. Zza mlecznej szyby widział przechadzające się po ulicy sylwetki przechodniów.

Ostatnio coraz częściej myślał o kobiecie, która wypadła z dwunastego piętra niemal wprost na niego. Ta myśl przerażała go i pociągała zarazem. Myślał o tym, czym jest upadek i co czuje ten, kto zderza się z ziemią. Stara blizna swędziała tak mocno, że w zamyśleniu i upojeniu potrafił rozdrapywać ją do krwi. Dokładnie tak jak teraz.

Spojrzał na czerwień pod paznokciami, wrywając się z transu. Zegar w biurze wskazywał południe, butelka taniej whisky wskazywała jedną czwartą. Wpatrywał się w drzwi swojego biura, czekając na umówionego wcześniej klienta i myśląc, co powinien zrobić, gdy już się pojawi. Gdy usłyszał pukanie, zerwał się w krzesło i wcisnął butelkę pod biurko.

– Zapraszam – rzucił tak cicho, że nikt po drugiej stronie nie mógł go usłyszeć. Mimo to drzwi i tak się otworzyły.

Miłosz Wolczak przekroczył próg, uśmiechając się od ucha do ucha. Wyglądał, jakby od ostatniej wizyty nieco odmłodził. Dziwne, Mejza miał wrażenie, że przyjmował to zlecenie wieki temu i sam, wprost przeciwnie do klienta, postarzał się podczas jego trwania o dobrych kilka lat. Wolczak zaciągnął się lekko spirytusowym powietrzem, lecz nie wyglądał, jakby robiło mu to jakąś różnicę. Rozpromieniony rozsiadł się w krzesło.

– No proszę. Naprawdę się panu udało – rzucił jako pierwszy po chwili krępującej ciszy. Wyglądał na nieco speszzonego przez groźny, a jednocześnie zamglony wzrok detektywa. Mejza emitował niewidzialne napięcie, przez co wydawał się dziwnie nieobliczalny.

– Co mi się udało?

– Odnalazł ją pan. Odnalazł pan moją wnuczkę. Nie wiem czemu, ale do tej pory cały czas myślałem, że to na pewno był chłopiec, i muszę przyznać, że się miło

zaskoczyłem, dowiadując się, że to jednak dziewczynka...

- Miło się pan zaskoczył... Robi to jakąś różnicę? Czy to chłopiec, czy dziewczynka?
- Zawsze łatwiej było mi się dogadać z dziewczynkami.
- Z córką jakoś się pan nie dogadał.

Wolczak spojrział na detektywa nieco z ukosa, jakby dotknięty rzuconą od niechcienia uwagą. Poprawił się w fotelu i odciągnął od spoconych pleców moką koszulę.

– Przyznam szczerze, że byłem nastawiony sceptycznie do tego całego przedsięwzięcia. Gdy wróciłem do domu po pierwszej wizycie w pana biurze, żałowałem utopionych pod wpływem emocji pieniędzy... Parę razy nawet chciałem pana odwołać. Zadzwoić i powiedzieć, że się wycofuję. Oczywiście zapłaciłbym za godziny, które pan poświęcił... Ale panu się udało.

– I przyszedł mi pan pogratulować?

– Tak. I poinformować, że przelałem na pana konto całą kwotę. Dorzuciłem też małą premię.

– Co stanie się z dzieciakiem?

– Obchodzi to pana?

– Pytałbym inaczej?

– Na razie jest w szpitalu. Mała ledwie przeżyła kontakt z zewnętrznym światem po latach, które spędziła w tej śmierdzącej piwnicy. Podobno dostała szoku i omal nie oślepla, gdy policja ją stamtąd wyciągnęła. Oczy nienawykły do słonecznego światła, wie pan. Ale jakiś czas pod kroplówką i opieką psychologa powinien załatwić sprawę.

– Powinien... I co potem?

– Jak to co potem?

– Co się z nią stanie?

– Jak to co? Dziewczynka należy się mnie, więc trafi pod moją opiekę. Jestem teraz jej jedyną rodziną.

– Należy się panu...

– Tak...

– To nie jest pańska wnuczka, prawda?

– O czym pan...

– Dlaczego Natałka postanowiła uciec, zerwać wszystkie kontakty? Dlaczego podcięła sobie żyły?

– Przecież mówiłem. To ten jej doktor...

– Pańska krew, ale nie wnuczka...

– Dosyć tego. – Wolczak wstał, chyba zbyt szybko, bo po chwili momentalnie oparł rękę o blat biurka, jakby zakręciło mu się w głowie.

– Już pan wychodzi? Ja dopiero się rozkręcam.

– Nie mam zamiaru tu siedzieć i słuchać jakichś chorych oskarżeń. Niech pan się cieszy, że już wykonałem przelew, bo po czymś takim nie zobaczyłby pan ode mnie za wykonaną robotę ani grosza.

– Czyli rozumie pan, o czym mówię...

Drzwi trzasnęły. Klient zniknął.

– Taaa... Też się pan pierdol – wymamrotał Mejza, patrząc na rozwiane przez trzaskające drzwi dokumenty. Sięgnął pod biurko po butelkę i szklankę, nalał sobie kolejnego drinka, po czym wykręcił numer na stacjonarnym telefonie.

Czas oczekiwania był długi, ale w końcu ktoś odebrał słuchawkę.

– Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, w czym mogę pomóc?

– Chciałbym przelać na wasze konto sporą sumę... Proszę mnie poinstruować, jakie kroki powinienem podjąć...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Winda znów nie działała. Wdrapywał się resztką sił w górę klatki schodowej. Zdezynfekowana i pozaszywana naprędce przez taksówkarza ze Stawirowa rana wciąż bolała jak diabli. Tak jak portfel po napiwku, który mu za to zostawił. Nie mógł iść z tym do szpitala, zadawaliby za dużo pytań i policja mogłaby się w końcu o niego upomnieć. W torbie, zamiast szczęku butelek piwa, dało się słyszeć tylko szelest opakowań środków przeciwbólowych i wody utlenionej. Teraz, gdy w końcu wracał do mieszkania, miał wrażenie, że to wszystko tylko się mu przyśniło. To, co we śnie było jasne jak słońce, teraz przestawało mieć jakikolwiek sens.

Gdy chwycił za klamkę drzwi prowadzących do swojego mieszkania, zauważył, że są otwarte. Zamek był wyłamany.

Przeklął pod nosem. Gdy wszedł do środka, jego oczom ukazał się widok jak po huraganie. Przetrzepali mu dosłownie wszystko. Wszystkie szuflady, każde najmniejsze pudełko... Wszystko wywrócone na drugą stronę. Ktoś wiedział, że nie będzie go w domu. Złodziej w ogóle się nie spieszył.

Zrezygnowany usiadł na brzegu łóżka i schował twarz w dłoniach, trwając w tym stanie dłuższą chwilę. Jego myśli powędrowały w stronę nocnej szafki. Wśród porzucanej dookoła bielizny nie znalazł zdobionego pudełeczka z pociskiem w środku. Coś w nim pękło. Starał się trzymać w jednym kawałku tak długo, a teraz sypie się jak domek z kart. Chciał zalać się łzami, ale miał wrażenie, że żadne już mu nie zostały.

Podszedł do balkonu i otworzył drzwi. Wiatr rozwiewał zasłony, tak jakby otwierał przed nim bramy niebios. Przyjemny gwar ulicy brzmiał niemal zachęcająco. Chodnik z tej wysokości wydawał się miękki jak gąbka. Spojrzał w dół na przechodniów i zastanowił się, któremu nieszczęśnikowi zepsuje dziś dzień. Oby tylko nie zabrał ze sobą któregoś z nich...

Gdy podszedł do barierki, poczuł przyjemny wiatr. Zamknął oczy, przez moment rozkoszując się tą chwilą.

Wkrótce potem usłyszał skrzywienie drzwi. Ktoś wszedł do środka. Podniósł głowę.

Dziewczynka – dziecko sąsiadów z naprzeciwka, nieśmiało zajrzała do środka, patrząc wielkimi oczami na stojącego przy barierce Maksa. Gotowego do skoku.

– Usłyszałam, jak pan wchodzi – rzuciła cichutko.

Mejza nic nie odpowiedział. Dziewczynka podeszła bliżej, trzymając coś za plecami, więc wszedł z powrotem do środka. Po chwili mała wręczyła mu znajome zdobione pudełeczko. Otworzył je. W środku wciąż tkwił pocisk – jego talizman.

– Tata, ten drugi tata, mówił, że było ukryte. Przepraszam pana za to, co moi rodzice tu zrobili. Mógł pan nie mówić mojej mamie, że pan wyjeżdża.

Mejza spojrzał pytająco, starając się zrozumieć.

– Pomyślałam, że chciałby pan to odzyskać. Ukrywamy to, czego nie chcemy, żeby nam zabrali. Ja tak samo robię z monetą, którą dał mi tata. Ten prawdziwy tata, który zmarł, zanim przyszedł ten drugi, który teraz jest z moją mamą... Nie chcę, żeby ktoś ją sprzedał. – Wyciągnęła zabytkową monetę przed siebie. – Zawsze na nią patrzę, gdy mi smutno. Tata potrafił zrobić tak, że zniknęła, a potem wyciągał mi ją zza ucha. Tata zawsze potrafił mnie rozśmieszyć... To coś w pudełku musi być dla pana ważne, skoro pan to ukrył. O kimś przypomina, tak? Nikt nie powinien panu tego zabierać.

– Dziękuję – odparł przez zaciśnięte gardło.

– Było ładnie zapakowane. Jak prezent. To prezent?

– Czasem... – Poczuli, jak załamuje mu się głos. – Czasem sam się zastanawiam.

– Coś oznacza?

– Przypomina mi...

– O czym?

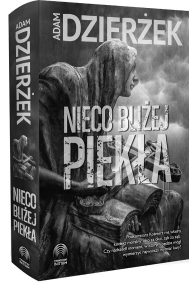
– O tym, że w pewnym momencie, gdy byłem bardzo daleko stąd i bardzo się bałem, myślałem już tylko o tym, jak bardzo chcę wrócić. Teraz, gdy czasem znów przychodzą do mnie złe myśli i czuję, że chcę... Że chcę wyjechać... W takich sytuacjach zawsze patrzę na ten pocisk. Patrzę na niego i przypominam sobie, jak bardzo, będąc tam, pragnąłem być tu. – Uśmiechnął się pod nosem. – To głupie, prawda? Rozumiesz coś z tego?

– A powinnam?

– Nie, mała. Nie powinnaś. – Pogłaskał dziewczynkę po głowie. – Leć już do domu, zanim twoja mama zobaczy, że tu jesteś. Dziękuję, że mi to oddałaś.

Dziewczynka uśmiechnęła się, obdarzyła go szybkim uściskiem, po czym wybiegła z mieszkania. Zostawiła go wpatrującego się w uszkodzony pocisk. Zacisnął pięść, zatapiając kawałek ołowiu w miękkiej tkance.

Znowu zapragnął tu być.



## JUŻ W KSIĘGARNIACH

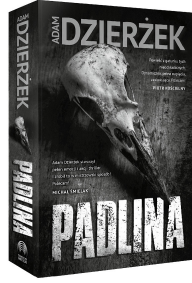
„Pamiętaj, Karol, po co to robisz – powiedziała spokojnym głosem. – Tu nie chodzi o zemstę czy odwet, ale o wyrównanie. O równowagę. A równowaga to pokój. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o pokoju? Jak zrozumiecie, że za uderzenie brata albo siostry czeka was dokładnie to samo, to przestaniecie się bić. Będzie między wami równowaga. Lepiej, jak nikt nie jest nic nikomu winien, prawda?„

W małym mazurskim uzdrowisku dochodzi do pierwszego od wielu lat brutalnego morderstwa. Ofiarą jest bezdomna kobieta, a jej śmierć zostaje powiązana z przypadkami tajemniczych zgonów, do których dochodziło w Młodziejewicach na przestrzeni ostatnich kilku tygodni.

Lokalna komenda policji może polegać na swoim jedynym śledczym, podkomisarzu Karolu Koźnierzu. A ten, choć ma opinię pracoholika, nie może poszczycić się wybitnymi osiągnięciami w rozwiązywaniu spraw kryminalnych. Aby ratować dobre imię miasta, szczyjącego się od lat najniższym poziomem przestępczości w województwie, do pomocy skierowany zostaje komisarz Wiktor Bogart z komendy wojewódzkiej – legendarny śledczy prowadzący wiele znanych spraw kryminalnych.

Co jednak, jeżeli nie da się uciec przed tym, co w nas siedzi? Nikt nie wie, że podkomisarz Koźnierz ma własny kodeks moralny: oko za oko, ząb za ząb, pobicie za pobicie. Czy nadszedł moment, w którym będzie mógł wymierzyć najwyższy wymiar kary? Czy sprowadzony do pomocy w śledztwie komisarz Bogart zdoła zmierzyć się nie tylko z mordercą, lecz także z własnymi demonami?

W zapomnianym przez Boga miasteczku zło zdaje się zawsze pełzać tuż pod powierzchnią ziemi.



Marek Taran, były egzekutor długów mafii narkotykowej, opuszcza mury więzienia. Dzięki współpracy z policją udaje mu się uzyskać skrócenie wyroku, ale już u bram dostaje pierwsze ostrzeżenie od byłych zleceniodawców. Sęp krąży. Sęp czeka, aż Taran wykona na siebie wyrok. Czy to tylko legenda?

Spotkanie z bratem i jego rodziną zmienia się w koszmar. Zamiast ciepła domowego ogniska na światło dzienne wychodzą dawne pretensje i cienie przeszłości. Taran po raz kolejny w życiu wybiera drogę na skróty. Małe zlecenie, które pozwoli mu na szybki łyk gotówki, żeby zacząć od nowa, stanąć na nogach i uniknąć oceniających spojrzeń rodziny. Nie przypuszcza jednak, że zegar już tyka i wkrótce jego życie stanie się walką z czasem. A stawką w tej walce będzie życie siedmiolatka.

Każdy ma kogoś, na kim mu zależy tak mocno, że będzie gotów na wszystko. Ale czy na pewno? Czy da się przechytrzyć śmierć?

Adam Dzierżek zabiera czytelnika w szaleńczą ucieczkę przed przeznaczeniem. „Padlina” to trzymający w napięciu thriller, stawiający bohaterów przed wyzwaniem, w których nie ma dobrych decyzji.

„- Mam dla ciebie wiadomość, Taran. Ale powiem ją tylko raz, więc lepiej słuchaj uważnie. Gotowy? – Spojrzał na zdezorientowanego już prawie byłego więźnia, ale nie doczekał się potwierdzenia. Nabrał więc powietrza w płuca i kontynuował: – Sęp już nad tobą krąży. Jest głodny. Wiesz, czym żywią się sępy?”

Wydanie I

ISBN 978-83-67545-38-9

[www.initium.pl](http://www.initium.pl)

e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)

[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)

